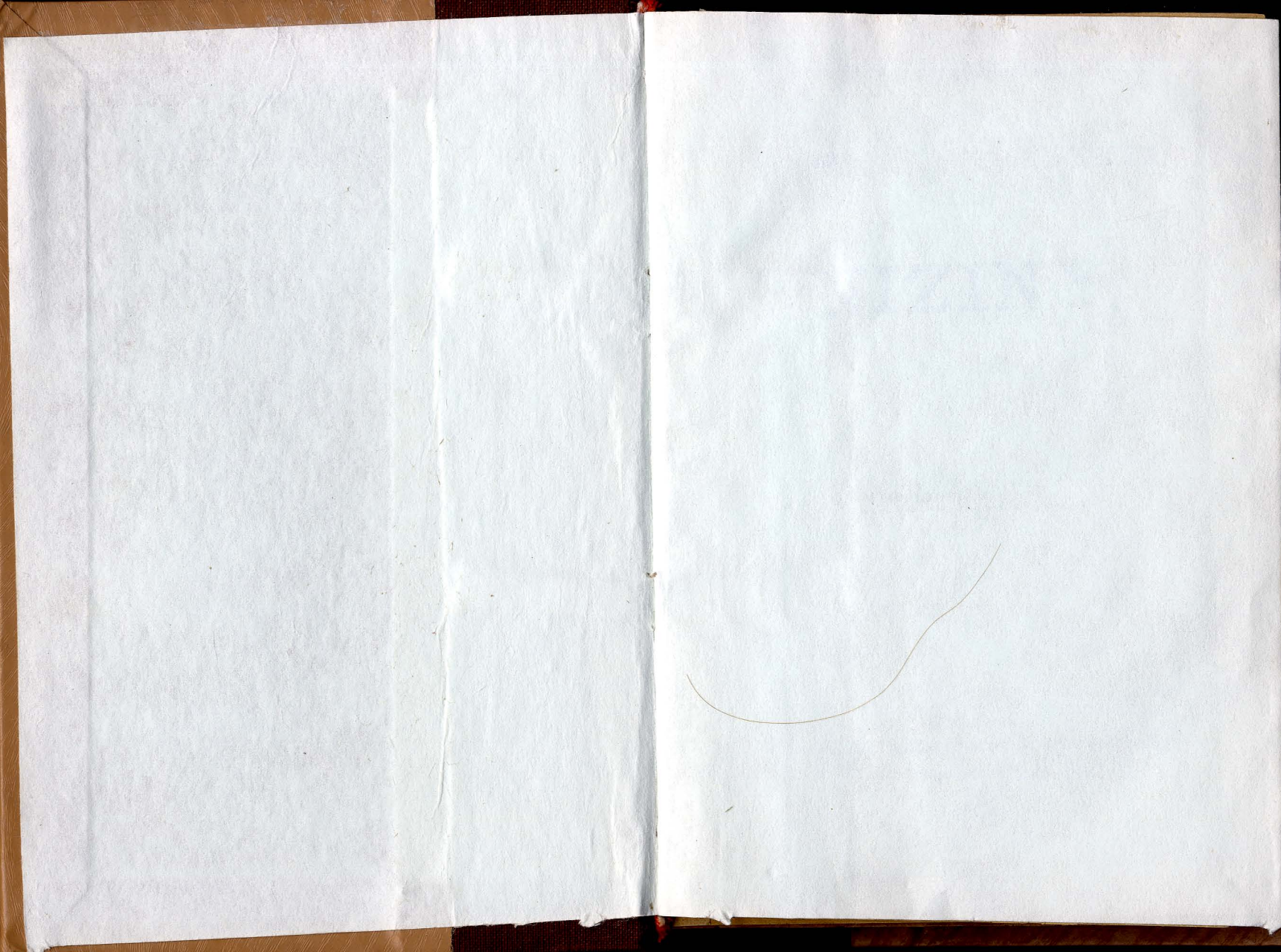






ELIZA ORZESZKOWA.

POWIEŚCI WIEJSKIE

NIZINY.

POWIEŚĆ

Z ilustracyami E. M. Andriollego.

WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat Nr. 41.

1888.



KOMPUTER

884-5

821.162.1-3M

Дозволено Цензурою

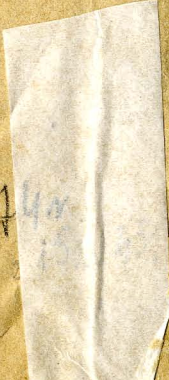
Варшава, дня 1 Января 1888 г.



22

mp.

WILNIE



I.

Wiosenny wieczór spadał na pola, ziejąc mocną wonią świeżo zoranéj ziemi. Mglisto było, pochmurno i cicho. Drogą z rzadka osadzoną drzewami, szła kobieta bosa i w siermiędze. W zmroku i mgle, szła prędko i prosto, nie omijając kałuż ani głębokich kolein, które z pod bosych stóp jéj bryzgały wodą i rzadkiém marcowém błotem. Bose te stopy ciężkie były i silne, doskonale snadź zażyte z ziemią, po której stapały. Wszystko im jedno było, poczem szły, byle-by tylko szły prędko. Wszystko jedno było idącój kobiecie, co ją otaczało, byle-by jak najprędzej doszła, do tego, co było przed nią. Nie lękała się niczego: ani zwiększającój się coraz ciemności, ani obejmującój widnokrąg ciszy, ani rozsianych po polu widmową postać przybierających grusz i topoli. Nie chwyciała się téż niczem: ani sklepieniem nieba, niechomém i utkaném z białych i szarych obłoków, wonią ziemi, którą z nad zagonów podnosiły

ciepłe powiewy, ani gwiazdami, które tu i ówdzie błyskały z pomiędzy chmur. Nie lękając się niczego i na wszystko otaczające obojętna, wyprostowana, silna, do pośpiechu czémś gnana, szła i szła...

Przed nią, u końca drogi, błysnęły dwa oświetlone okna. Były tam budynki jakiegoś folwarku, oczone prostym płotem z ostrokołów. Pomiedzy długą stodołą, a warzywnym ogrodem można było rozpoznać, z prostych téż kołów zrobioną i na jedną tylko stronę otwierającą się bramę. Brama ta w téj chwili właśnie skrzypnęła, posunęła się z ciężkością i zaryła się w błocie, tak, że posuwająca ją ręka targać nią zaczęła. Z łoskotem, sprawianym przez trzęsienie i targanie bramy, złączył się gruby, męzki głos wymawiający słowa:

— *Kab ty skisłał kab ciebie wolki!*

Życzenie, aby wilki zjadły bramę, nie zostało przecież dokończoném. Wyrażający je człowiek z ciężkim worem na plecach stękając przecisnął się przez ciasny otwór i począł iść drogą w kierunku przeciwnym temu, w jakim dążyła kobieta. Zdawało się z razu, że rozminą się, nie zwracając na siebie żadnej uwagi. Chłop jednak, nie odwracając twarzy, zgarbiony trochę pod ciężarem niesionego wora, przemówił:

— Krystyna?

— Ja, — odpowiedziała kobieta.

— Jaki czort nosi ciebie po nocy?

— Ten sam co i ciebie — odrzuciła.

Z tonu, jakim przemówili do siebie, wnosić byłoby można, że nienawidzili się, albo zostawali z sobą w zażartej kłótni. Jednak chłop przystanął.

— Czego? — zapytał znowu.

— Do *wukonoma* (ekonoma), — odrzekła kobieta przystanęła także. Stali z daleka od siebie u dwu rzęgów drogi.

— Ordynarya? — zapytała ruchem głowy na wór wskazując.

— *Ale* (a tak!) ośminę żyta za przeszły miesiąc... z *pośladem* zmieszała... żeby jój kości pokreślił!

— Kto? Bahrewiczycha? czy to ona wydawała?

— A ona... wiedźma! Żeby on wydawał, *pośladu* by nie dał... ale sama z kluczami przyleciała... „Dawaj, chamie worek!” I nasypała: pół żyta, a pół plewy... żeby jój tak chorób nasypało...

W miarę jak chłop mówił, Krystyna zbliżała się ku niemu. Gdy stanęła, widać było, że wpatrzyła się w twarz towarzysza.

— Oj Jasiuk, Jasiuk! Żeby ona dzień i noc sypała, nie nasypała-by tobie tyle plewy, ile łez wylało się przez nią z moich oczu... Oczy ja przez nią, nad sobą i synkami mymi wypłakiwałam i myślałam, że za moję krzywdę, Pan Bóg na nią prędki koniec spuszcza... Nie spuścił. Panuje i króluje.

Stała prosto i trzęsła głową. Chłop raz tylko lekceważącym ruchem, głową kiwnął.

— Aha! — mruknął.

Wnet jednak zapytał:

— Czego ty tam leziesz? Popatrzeć jeszcze chce się? Kiedy młoda byłaś, wypędził, to co już teraz leżeć w oczy? Spała-byś lepiej w chacie na piecu!

Wyprostowana wciąż i nieruchomym wzrokiem w towarzysza wpatrzona, brodę ująwszy w palce prawej ręki, kobieta mówić zaczęła.

— Wypędził to i wypędził... Ale dlaczego on wprzódę swatów, co przyjeżdżali do mnie, wypędzał? Kiedy nie lubił, to dlaczego swatów wypędzał?

Wymówiła to monotonnym, zamyślonym, czy zdumionym głosem.

I dalej tak samo mówiła.

— Mówił bywało: „Krysiu, poczekaj tylko! jak *wukonomem* mnie zrobią, ożenie się z tobą.” Swatów wypędzał... Ni mnie kiedy dróżki na dzieży sadzały, ni mnie śpiewały: „koni do cugu! koni do cugu!” ni ja ziarno w kąty mężowskiej chaty sypała, ni mnie *teszcza* (matka męża) głowę dzieżą nakrywała...

Głos jej przybierał brzmienie monotonnego śpiewania. Jasiuk niecierpliwym ruchem wór na plecach poprawił.

— Ot — rzekł — przymniała sobie baba dziewie wieczór i płakać *stała*... (zaczęła).

Ale Krystyna nie łatwo snadź dawała sobie przezywać zwierzenia i skargi. Mówiła, a raczej zawodziła dalej.

— Ni mnie kto harować pomagał, ni kto synków moich na rękę swoim lulał, ni kto główki mojej kiedy pożałował. Sama jedna ja żyła, pracowała, harowała, skórę z rąk sobie zdierała, boso chodziła, z postem jadała, a wszystko o synkach swoich...

— *Hodzi! hodzi!* (dosyć) — mruknął Jasiuk — chodź do chaty! razem iść weselój będzie!

— Nie mogę ja do chaty iść, Jaśku, nie mogę do chaty! — zawiodła kobieta. — Muszę ja iść do Bahrewicza i pokłonić się jemu nisko i, o ratunek dla mego Filipka poprosić...

— Aha! — mruknął chłop, jakby teraz zrozumiał już, czego Krystyna szła do ekonoma.

— Mądrzejszy on ode mnie... może zlituje się nad swoim własnym dzieckiem... może poradzi... może pomoże... może poratuje...

— Aha! — powtórzył chłop.

I dodał:

— Z Bogiem!

— Z Bogiem! — powtórzyła kobieta i rozeszli się. Rozstanie to było nagłe i pożegnanie krótkie.

Jemu ciężko było stać z ośminą żyta na plecach; jej było pilno prosić o ratunek dla Filipka. Zresztą mieszkać musieli razem albo blisko siebie, bo uszedłszy kilkanaście kroków, chłop odwrócił się i rzucił zapytanie.

— Kiedy wrócisz do chaty?

— Dziś, zaraz! albo ja tu hulać będę? Odkrzyknęła.

Przez ten sam otwór uchylonej nieco bramy, przez który z worem swym przecisnął się zaledwie Jasiuk, z łatwością weszła na ciemny i błotnisty dziedziniec folwarku. Pośrodku dziedzińca, grupa drzew nie wysokich a krzaczystych, może akacyj i koralowego bzu, odcinała się na szarém tle zmroku jak wielka czarna plama. Kilka szerokich promieni padało na nią z dwu oświetlonych okien niewielkiego domu, złocąc i w delikatne desenie rzeźbiąc, ogołocone jeszcze z liści gałęzie! Krystyna stanęła pod drzewami temi i zalała się całkiem z ich czarnością.

Za oświetlonych okien, były na dziedziniec donośne głosy. Jeden z nich, gruby i rozjątrzony krzyczał.

— Nie po niemiecku i nie po francuzku mówiłam tobie. Nie raz i nie dziesięć razy, ale sto razy, tyś się razy, milion razy mówiłam „jak jedziesz na mszę do Rudni, przywieź butelkę pontaku!” Czy przywiozłeś kiedy? he? Dlaczego nie przywiozłeś? Wziąłeś z sobą rubla, a do domu odwiozłeś dziesiątkę... jakieś spać poszedł, wszystkie kieszenie w surducie i w kamizelce przewróciłam i dziesiątkę tylko znalazłam. A gdzie podział się rubel? pewnoś za niego dla faworyty jakiejś wstążek nakupił! a wina dla żony i dzieci żeby miały czém gościa przyjąć, żałujesz...

Tu potok wymowy niewieściój przerwany został

przez inny głos, niewieści także i także rozgniewany, ale z młodszém i przyjemniejszém brzmieniem.

— Moja mamciu! Albo to tatko myśli kiedy o nas? Albo to tatko dba o to, co z nami będzie?

Trzecia niewiasta, także snadź młoda, podchwyciła.

— Przecież my nie pierwsze lepsze, żeby gościa jak jacy chłopci przyjmować... Co kuzyn Kaprowski pomyśli sobie, że nawet wina...

— Ależ na miłość bożką, Madziu, Róziu, Karolciu... — spróbował odezwać się głos mężki, basowy i widocznie zmartwiony.

— Milczéć! — z wybuchem nadzwyczajnym przerwała mu najstarsza z krzyczących niewiast; — będziesz mi tu jeszcze gębę otwierał. Nie z chamką ożeniłeś się i dzieci twoje nie chamskie dzieci! Z Kaprowską ożeniłeś się i uszanowanie miéj! czy słyszysz?

— Słyszę, Madziu, ale myślę sobie, że z krewnym nie trzeba tych ceremonij robić i w naszym stanie... wino...

— W naszym stanie! W naszym stanie!... W twoim stanie, nie w moim! Łapciastym szlachciurą byłeś i łapciastym szlachciurą zostałeś! Trzeba było ze swoją chamką Krystyną żenić się a Kaprowskiej nie brać... Dureń!

Po téj ostatniej nucie, która z energią wielką zakończyła szumny ten pasaż, słyszeć się dało głośnie stuknięcie drzwiami i na ganek domu, w dwa cienkie

słupki i dwie ławki zaopatrzone, wypadł mężczyzna średniego wzrostu, barczysty, ciężki, z odkrytą głową. Wypadł tak jak stał, bez czapki na ganku znalazłszy się, do tylnéj kieszeni surduta sięgnął, chustkę do nosa z niéj wyjął i twarz nią sobie otarł. Ciężko stęknął, z ganku zeskoczył i kilka kroków uszedł, w taki sposób, jakby stanowczo zamierzał iść, dokąd oczy zanosą. W tém, z głębokiéj czerności, jaką na środek dziedzińca rzucała grupa krzaczystych drzew, ozwało się bardzo ciche wołanie.

— Panoczku! panoczku!

Bahrewicz stanął, a w téjże chwili od czarnéj plamy oderwała się i na jeden ze spływających z okien szlaków świetlistych pomiędzy złotą rzeźbą spleatanych gałęzi, wysunęła się Krystyna. Bose jéj nogi grzęzły w błocie, wysoka i cienka postać w grubéj siermiedze zgarbiła się trwożnie, czy pokornie, głowa czerwona chustką owinięta, schyloną była w niskim pokłonie — tak, że twarzy niepodobna było rozpoznać, i tylko, parę razy, w złotawém świetle, ognisćie błysnęły czarne, zapadłe oczy. Oczy te poznał snadź Bahrewicz.

— Aha! to ty, Krysiu! — mruknął.

I wnet ruchem przerażenia pełnym rękę wyciągnął.

— Czego na światło wyłazisz? — z przerażeniem szeptać zaczął; — chowaj się prędko! ot, tam stań między drzewami! No czego chcesz, gadaj prędko,

bo jak baby, broń Boże, zobaczą, dobrze będzie i mnie i tobie. Czego chcesz?

Chłopka w siermiedze i z nizko schyloną głową złała się znowu z ogromną czarną plamą, którą tworzyły drzewa i w czarnéj téj ciemności, w której zniknęła, ozwał się szept stłumiony, ale nagły i błagalny.

— Pani! drogi! miły zlituj się nade mną nie-szczęśliwą sierotą! poradź, pomóż, ratuj Filipka!

Bahrewicz, którego barczysta postać ciężko zarysowała się na tle pozłacanych gałęzi, oglądał się wciąż na okna domu i machinalnym ruchem co chwila chustkę do nosa ku czołu podnosił. Usłyszawszy imię Filipka, rękę z chustką w dół opuścił, mocno sapnął i wahającym się, bardzo zniżonym głosem zapytał:

— No! wzięli chłopca do wojska! Wiem o tém przecież, boś mi tak samo trzy miesiące temu, uszy objadała prośbami, abym go ratował...

— Raz tylko, panoczku, dalibóg, raz tylko prosiłam... — zaszemrał w czarnéj cichości głos pokorny i bardzo cichy, ale Bahrewicz ręką niecierpliwie rzucił.

— Wzięli to i wzięli! nie tacy jak on idą... panowie i grafy do wojska idą... durna ty! co ja ci na to poradzić mogę?... ot darmo tylko łazisz tu, mnie i siebie na biedę narażasz... Siedziała-byś lepiej w chacie. Cóż? jakże ci teraz? Jasiuk lepszy dla

ciebie, jak był Maksym? Widzisz, że ja dobry jestem, nie żwierz żaden... jak dowiedziałem się, że Maksym was krzywdzi, to zaraz umieściłem was w czworaku Jasiuka. Z Jasiukami lepiej ci żyć, ha? Ordynaryę Antosiek bierze taką, jak i Jasiuk, choć młodszy i słabszy. Chleba macie dosyć, ha?

Otarł znowu chustką czoło i na odpowiedź czekał. Nie otrzymał jej jednak. Długięj mowy jego, kobieta wysłuchiwała cierpliwie, nie przerywając jej głośniejszém choćby odetchnieniem, ale, gdy umilkł, zamiast odpowiedzieć na zadawane jej pytania, zaczęła:

— Wzięli to i wzięli. Wiem ja, że nie *takie*, jak on, do wojska idą... na to już oni rodzą się, żeby iść... popłakałam, popłakałam, taj i płakać przestałam. Piśmienny, myślę sobie, i taki maleńki, taki śliczny... rady sobie da, ludzie go lubić będą, opieka bozka nad nim sierotą...

Przyciszony głos jej urwał się na chwilę; słysząc w nim było łzy.

— No, to i czegoż teraz chcesz? — niecierpliwiąc się i coraz częściej na okna domu spozierając, zapytał Bahrewicz.

W czarnych ciemnościach tak coś klasnęło, jakby dwie ręce załamały się z rozpaczą.

— Panie, drogi, miły! jego *szluć* (szlą) teraz, *szluć* daleko, daleko, na skraj świata... Pisał on do mnie robaczek mileńki: „Mameńka, nie wytrzymam...

piersi mnie bolą i w *żywocie* (żołądku) siły żadnej nie mam... drogi takięj dalekięj nie wytrzymam, zimna tamtejszego i ludzi cudzych nie wytrzymam... Mameńko, żeby mnie tu zostawili, to-bym choć czasem mógł ludzi naszych zobaczyć i twoje stare oczy pocałować... Ale nie mnie, nie mnie już między wami bywać... pójdę, taj zamrę na końcu świata... przyjdź ty jeszcze do mnie, mameńko, choć razik, niech ja choć pożegnam się z tobą!”

Teraz na dobre już zapłakała, ale w trwodze, że wszystkiego co wypowiedzieć miała, wypowiedzieć jej nie dadzą, stłumiła łkanie i szeptała dalej:

— Poszła ja zaraz do Ongrodu... świata za łzami nie widziała, ale szła... przyszła do *kazarmów*. — „Filipku!” wołam. Wyskoczył na schody... hrymnał mnie do nóg i w kolana całuje... „Mameńko, my już z tobą ostatni raz widzimy się na tym świecie!”

— Głupstwo! — sarknął Bahrewicz — albo to on jeden w dalekie strony idzie... Idą inni i wracają...

— Oj, dolo moja! — jęknęła kobieta — idą, *taj* nie takie mizeractwo, jak on... bładzieńkie to było i słabieńkie od urodzenia... potem go ta gorączka chwyciła...

— A no! to czemu-żeś Antoska lepiej nie oddała? ten zdrow i silny...

— Albo ja kogo oddawała, panoczku! oj, dolo moja! Filipka *pozwali*... (wezwali) poszedł. Starszy.

Dwadzieścia i jeden roczek na przeszłego, znaczy, Świętego Józefa, skończył, a Antoškowi dziewiętnasty od jesieni poszedł... Żeby on zdrow był... ale takie mizeractwo... Zaczęliście, panoczku, jego uczyć, taj nie skończyliście... Zapomnieliście o biednej sierocie... Parobka zepsuliście, a księdza nie zrobiliście...

Bahrewicz rzucił się niecierpliwie.

— O! jeszcze mi tu wymówki prawić będzie! silnego chłopca przy niej zostawili, a cherlaka wzięli. To i czegoś więcej chcesz? Co ja tobie poradzę? Idź precz i nie włóż się tu darmo, bo jak zagniewam się, to cię z Antoškem całkiem z majątku wyprawię...

Uczynił ruch do odejścia, ale z ciemności, na złoty szlak światła wychyliły się na przód dwie ręce, które rękę jego pochwyciły, a potem głowa w czerwonej chuście, która pochyliła się nisko i rękę tę pocałunkami okrywać zaczęła.

— Panie! najdroższy! — pośród pocałunków szeptała kobieta — zlituj się... ty mądrzejszy ode mnie i od nas wszystkich biednych ludzi... Daj radę! Gdzie mnie iść, kogo prosić, żeby jego daleko nie ślali, żeby jego tu zostawili... Żebyście sami do miasta pojechali... macie znajomych różnych... możebyście co dla niego wykołatali... toż to twoje rodzone dziecko... toż ja przez ciebie całe życie nieszczęśliwa byłam... Ni mnie družki na dzieży sadzały, ni mnie do ślubu śpiewały, ni mnie kto *horować* pomagał, ni kto główki mojej kiedy pożałował...

Nagle przerwała. Podniosła głowę. Czarne, zapadłe, spłakane oczy błysnęły i utkwily się w twarzy mężczyzny.

— Paniczul! Stefankul! ja na ciebie nie *hniewna* (nie gniewam się)... Nie przeklinała ja ciebie i przeklinać *nie stanę*... (nie będę).

Głos jej znowu roztopił się we łzach.

— Lubila ja ciebie, oj, lubila jak swoją własną duszę... pożałuj ty mnie choć *kryszkę* (trochę) i Filipka mego wyratować pomóż...

Bahrewicz czuł się snadź zakłopotanym i rozrzuwnionym. Z nogi na nogę przestępował, głośno sapiał i ciągle mruczał.

— No i czegoż? cóż? dość już! no dość! pomogę, poradzę się... może...

Wtém na ganku, rozległ się krzyk potężny, basowy i zarazem wiolinowy. Tony bardzo niskie wiązały się w nim z tonami nadzwyczaj wysokimi, a jeden tylko wyraz, jedno tylko imię głośliły:

— Stefan! Ste-e-e-fan! Ste-e-efa-a-a-an!

Stefan Bahrewicz, od stóp do głowy drgnął i śpiesznym, przerażonym szeptem Krystynie kilka słów cisnął:

— Zmykaj! prędkiej! żeby i ducha twego nie było!

Zmykała, ale niestety, w trwodze ucieczki nie zważała na grę światła i cieni, sprawianą pośród dziedzińca przez oświetlone okna. Nietylko duch jej, ale i ciało wysokie i szczupłe, strachem przygarbione,

Miejska Biblioteka P. Biczko

bosemi stopy głośno po błocie klapiące, ukazało się w jednym ze świetlistych szlaków, przemknęło przez nie i przepadło w cieniach. Lecz spostrzegła je i poznała kobieta, stojąca na ganku i z szerokiej piersi wydająca owe potężne wołania. Całą połowę grubiej kibici pochyliła się naprzód, szyję wyciągnęła; blask padający z najbliższego okna oświetlił głowę jej, ubraną w gładko przczesane włosy, twarz okrągłą, tłustą, ponsową i oczy wypukłe, błękitne, takiego wyrazu pełne, jak gdyby ujrzały nagle upiora lub bazylijszka.

— A-a-a-a!

Zniknęła z ganku, we wnętrzu domu zniknął też i Bahrewicz; za dwoma oświetlonymi oknami zagotowało się, jak w garnku.

Za temi oknami istniał pokój dość obszerny, kwadratowy, z prostym, belkowanym sufitem, z prostą, na czerwono pomalowaną podłogą, z mebelkami staroświeckimi, obitemi kwiecistym perkalem, z mnóstwem obrazków świętych i świeckich w błyszczących ramkach, na ścianach oklejonych najtańszem z papierowych obić, z mnóstwem na komodzie i stolikach pretensjonalnych i bardzo brzydkich fatałaszek, jako to: bukietów z włóczkowych i papierowych kwiatów, koszyczków z paciurek, kieliszków i kałamarzyków z kolorowego szkła, lalek gipsowych, piesków i aniołków z cukru i t. p. U okien nie było roślin, ani zielonych, ani kwitnących; w zamian, na siatkowych,

ręcznego wyrobu firankach, wisiały różne dziwne koszyczki, wazoniki, bukietiki, także ręcznej roboty, z włóczek, paciurek, papieru, perkalu i t. p. Pośrodku, na stole nakrytym do wieczery, paliła się spora lampa, przyciemniona przezroczystą zasłonką, którą także kobiecie jakieś paluszki wykonały z papieru, bardzo misternie i pracowicie, w przeróżne wzory wyklutego szpilką. Umeblowanie pokoju tego kompletował w jednym jego rogu, szeroko rozpościerający się piec z zielonych cegieł i w drugim rogu stojący bardzo stary i znędzniały fortepianik, ze splezlą politurą i wyżółkłymi od starości klawiszami.

W tym to pokoju, w świetle lampy, obfitęm choć przyćmionem, cztery osoby krzycząc i gestykulując, wirowały dokoła siebie, w walce jakiejś dziwnej a żałośnej. Mężczyzna tam był jeden, mianowicie: Stefan Bahrewicz. Niewiasty zaś znajdowały się w liczbie trzech, z których najstarsza, gruba i szerokich piersi, w sukni wełnianej z luźnym kaftanem, trzymała w tłustej, czerwonej ręce elegancką, pozłacanym nagłówkiem ozdobioną laskę, i wywijala nią w powietrzu, wysoko, nad głową swoją i nad głowami dwóch młodych, ślicznie ubranych dziewcząt, które, wspinając się na palce nóg i ramiona wyciągając w górę, czyniły rozpaczliwe usiłowania w celu pochwycenia i odebrania złotogłowej laski. Takież i w takimże celu skierowane usiłowania próbował czynić i Bahrewicz, ale nie mógł, gdyż małżonka je-

go, Madzia, z domu Kaprowska, jedną ręką broniąc narzędzia pomsty swojej, drugą trzymała kołnierz jego surduta tak silnie, że ugiął on nisko szerokie plecy i oczy błękitne, na-pół tylko przytomne, niemożliwie szeroko wytrzeszczał. Kobieta szamotała się, sapała i wywijała laską; dziewczęta wspinały się ku lasce, podskakiwały, jęczały; mężczyzna wyrывał się, ręce podnosił, kołnierz sukni swój wyzwolić usiłował, i coraz głośniej sapał, przytém na podobieństwo posuwającego się po przestrzeni planetarnego systemu, grono walczących, w miarę przedłużania się walki, posuwało się do pokoju, okrążając stół do wieczery nakryty. Nikt z grona tego nie milczał; owszem, wszyscy razem mówili. Mowy to były urywane, zdyszane, niemniej można z nich było wyróżnić peryody i słowa następujące:

— Z kim ojczulek gawędzi... w klombie... Jezusie Chrystusie... Z Krysiunią swoją... wieczorkiem... miły ojczunio... wilk do lasu ciągnie... szlachcie łapciasty do chamki...

— Madziu! Serce moje... dzieci patrzają...

— Mamol! proszę oddać laskę! to kuzynka Ludwika laska... mama złamie laskę kuzynka...

— Miotły! Jezusie Chrystusie! przynieście miotłę, to laskę oddam... Wieczorkami... po klombach z Krysiunią...

— Madziu! serce moje... ty wiesz, że to przeszkoda!...

— Pokażę ja tobie przeszłość, aż ci gwiazdy w oczach zaświecą...

— Mamol! to nie wypada tak z tatką kłócić się...

— Mama nas kompromituje... my przez to nigdy za mąż nie powychodzimy...

— Miotły! Jezusie Chrystusie! Miotły! precz, błaznice! nie przeszkadzajcie...

— Mamol! proszę laskę oddać... My nie pozwolimy...

— Nie przeszkadzajcie, bo dam...

I nie była to obietnica próżna. Laska upadła na ziemię, kołnierz Bahrewicza odzyskał wolność, natomiast dwie pięście, spadły na plecy dwóch dziewcząt, które, wybuchając płaczem, z pola walki ustąpiły, i z chustkami przy oczach, odwróciły się twarzami do zielonego pieca. Bahrewicz jednym skokiem znalazł się przy drzwiach, wtém za oknami rozległ się turkot bryczki.

— Ludwik przyjechał! — krzyknął Bahrewicz, na którego twarzy wybuchnęła niewymowna radość. Jak zając przez miedzę, przez próg przeskoczył i zniknął w sieni. Bahrewiczowa potężnie odsapnęła, czepek na głowie poprawiła, suknię ociągnęła i w kącie pokoju postawiła laskę z brązowym nagłówkiem. Panienci chuchały w chusteczki i oczy sobie z łez osuszały. Układ ust ich, przed chwilą skrzywionych, objawiał zadowolenie; przyglądały dłońmi włosy, dotknęły kokard zdobiących staniki i chustkami do no-

sa, jak wachlarzami, ochładzając twarze, chodząc po-
częły do koła stołu, jedna za drugą, powoli, po-
ważnie, z dystynkcyą, to jest z dumnym podniesie-
niem głów i niedbałym rzucaniem łokci w tył i na
przód. Ogółem biorąc, przedstawiały one widok
wdzięczny. Figurki miały zgrabne, twarze okrągłe
i szerokie, jak u ojca i matki, ale białe i świeże,
noski zadarte i oczy małe, buzie ponsowe i włosy
bujne. Ubrane były bardzo modnie, a moda w owym
roku właśnie rozkazywała ubraniom kobiecym, jak
najwięcej wydymać się i wypuklać na biodrach i pier-
si. Sukienki ich tedy z materyi wielce taniiej, wyde-
te były i uwypuklone, w sposób zupełnie niepospoli-
ty. Różia, brunetka, włosy miała przyozdobione
wstążką ponsową, a Karolcia, blondynka, błękitną.
Wszystko tedy było na nich i w nich staranne i wy-
kwintne; od cery twarzy, której widocznie nie nadwe-
ręzały nigdy upały ani wiatry, do bucika, ślicznie ob-
ciskającego nóżki duże i płaskie. Rączki też z gracyą
poruszające chusteczkami, szerokie były, grube i zna-
komitą siłę na pierwszy rzut oka zdradzające, ale
powleczone skórą białą i gładką, jak atłas. Tak
ubrane i wyglądające, z główkami podniesionemi wy-
soko, z łokciami rzucającemi się to w tył, to naprzód,
chodziły jedna za drugą dokoła stołu. Nie można
powiedzieć, aby kroki ich sprawiały tyle tylko szele-
stu, ile go sprawia przelatujący zefir, niemniej, ten-
tent ich przygłuszonym był dzwonieniem, a raczej

przeraźliwém szczękaniem talerzy, ustawianych na
stole przez rozognioną jeszcze i sapiącą, ale już nieco
uspokojoną Madzię. Dwa razy obeszły stół dokoła,
gdy rozwarły się z trzaskiem drzwi od sieni, i do po-
koju wszedł Ludwik Kaprowski. Za nim, jako cień
mdły i nieśmiały, wsunął się i wzrokiem badając po-
zycę, u ściany kroki swe powstrzymał gospodarz
domu.

Gdyby w bawialni Bahrewiczów było ciemno,
oświetliła-by ją postać przybyłego. Był to młodzie-
niec niezbyt już młodziutki, bo trzydzieści kilka lat
mieć mogący, ale nadzwyczaj elegancki, śmiały, mo-
żna powiedzieć świetny, szczupły, niewysoki, od stóp
do głowy okryty cienkim i zgrabnie skrojonem
suknem, błyszczał on szerokim, sztywnym, śnieżnym
przodem koszuli, złotym łańcuchem od zegarka, zło-
tą oprawą błękitnych szkieł, umieszczonych na nosie
niezupełnie greckim, rudemi faworytami, które ota-
czały twarz bladą i gąbkowatą, z czołem niskiem
i zbrudzonem, z oczyma rzucającemi z-za szkieł pó-
łyksi ostre i przenikliwe.

— Pana adwokata dobrodzieja, witamy! wita-
my! — prostując się i ku przybyłemu czerwona i tłu-
stą rękę wyciągając, z nadzwyczaj przymilonym uśmie-
chem zawołała Madzia Bahrewiczowa. Panienki za-
szczebiotały:

— Dobry wieczór, kuzynku! Gdzież to kuzynek
tak długo siedział?

— Ja już myślałam, że kuzynek zakochał się tam w kim i o nas zapomniał.

Nie przerywając przechadzki swój, słowa te rzucały gościowi przez ramię. Potém, zachichotały, i na znak porozumienia trąciły się łokciami.

Ludwik Kaprowski z rozmachliwą i szumną elegancją przystąpił naprzód do gospodyni domu i, z lekka musnąwszy jój rękę, ku paniom podbiegł. One, wciąż koło stołu chodziły, tylko ujęły się teraz pod rękę; on zaczął przed niemi chodzić, cofając się wstecz, z ruchami i uśmiechami wytrawnego zjadacza serc niewieścich. Gwar powstał znów wielki, ale tym razem wesoły. Paniutki domagały się u kuzyna wiadomości: czy kocha się on w kim, tam, w Ongrodzie, czy tu, w ich parafii? Na co on, wyraźnej odpowiedzi nie udzielając, dawał jednak do zrozumienia, że w kimś kocha się bardzo, i pannę Rozalię, brunetkę, prześladował jakimś panem Karolem z sąsiedztwa.

— Niech jego lichy weźmie! — sarknęła paniutka — miała-bym téż kim sobie głowę zawracać!

— Dla czegoż-by nie? przystojny kawaler...

— Oj, kawaler! *Korszun* taki! — odpowiedziały obie jednogłośnie.

— Jak? jak panie go nazywacie? — z migoczącymi od wewnętrznego śmiechu oczyma, zapytał Kaprowski.

— O! szlachciura! niezgrabidło i koniec! Nigdy w świecie nie wyszła-bym za takiego...

— Ani ja. Nam obydwom tutejsi kawalerowie nie w guście. My lubimy tylko młodzież miejską... co za porównanie!...

Kaprowski ukłonem i wdzięcznym uśmiechem podziękował za młodzież miejską, do której sam należał. W tém miejscu, Bahrewiczowa, która przedtém zniknęła była z bawialni, wniosła i postawiła na stole dwa półmiski, z których na jednym skwierczały jeszcze smaźone kiełbasy, a na drugim dymila się jeszcze barania pieczeń. Bahrewicz gościu na wódeczkę zapraszał, Bahrewiczowa, krojąc pieczeń, starszą córkę, Karolcię, łokciem w ramię trąciła:

— Skocz-no do kuchni, przynieś kartofle smaźone...

Paniutka nie odpowiedziała nic, ale zrobiła minkę bardzo poważną, odwróciła się i, skubiąc kokardę przy staniku, z wolna, sztywnie odeszła ku piecowi. Tu już, po napiciu się wódeczki, przystąpili do stołu obaj panowie. Zapytany, czém służyć sobie pozwoli, pan adwokat oświadczył, że kiełbas nie jada, ale o pieczeń prosi... Bahrewiczowa, młodszą córkę Rózię z lekka dłonią w plecy uderzyła.

— Kartofle smaźone do pieczeni... skocz do kuchni...

Paniutka nie odpowiedziała nic, ale zrobiła minkę poważną, odwróciła się, i z wolna, sztywnie ku oknu

odeszła. Bahrewiczowa sponsowała, syknęła, ale powściągnęła się tylko. Nie wzywając już niczyjjej pomocy, sama skoczyła. Od skoku tego zatrzęsł się stół, dzwignęły talerze i drgnął Bahrewicz. Dwie minuty jednak nie upłynęły, a salaterka pełna smażonych kartofli stała już na stole, i całe towarzystwo, nie wyłączając gospodyni, do wieczerzy zasiadło.

W czasie wieczerzy, rozmowy toczyły się ożywione i rozmaite. Przedewszystkiem wytoczoną została przez Madzię sprawa o pontak. Przepraszała gościa, że wina nie ma i opowiedziała, jako Stefan zapomniiał przywieźć z Rudnik pontaku, chociaż mu to gorąco poruszała. Z migocących oczu gościa i drgania mięs pod rudawym zarostem, ktoś przenikliwy mógł-by wyczytać myśl: „Ta baba wyobraża sobie, że ja-bym pił takie paskudztwo, jak pontak! czy ona o inném winie nigdy nie słyszała?” Głośno zaś rzekł:

— Ale niech-że kochana ciocia ceremonii ze mną żadnych nie robi... czy to ja cudzy człowiek!

— To prawda, Ludwisiu, to prawda... twój ojciec był moim stryjecznym bratem... ale teraz... ty pan adwokat... wielka figura...

Mówiąc to, uśmiechała się z uprzejmością i błogością nieopisaną, a gdy z twarzy krewnego na twarz Karolci wzrok przeniosła, zdawało się, że promieniami oczu swych parę tę połączyć i związać-by pragnęła. Wyglądała w téj chwili łagodnie, nawet rzewnie.

Uspodobieniem tém jój obdarowany i ośmielony Bahrewicz, z cicha naprzód, lecz potem ccoraz raźniej rozmawiać począł z gościem. Z rozmowy téj pokazało się, że pan adwokat z Ongrodu, bawił u krewnych już od kilku dni, codziennie wyjeżdżając w okolice dla załatwiania interesów. Interesem dziś załatwionym było rozmówienie się z chłopami jednéj z sąsiednich wsi, w przedmiocie procesu, który ciż chłopi, wytoczyli jednemu z większych właścicieli ziemskich o trzy włóki łąki, i dwie włóki ornéj ziemi, graniczącéj z ich gruntami. Kaprowski proces ten prowadził, i głównym celem przybycia jego tutaj było wydobycie od chłopów na kosztu interesu pewnéj pieniężnéj sumy. Bahrewicz wytrzeszczonemi oczyma wpatrywał się w mówiącego.

— Bój się Pana Boga! — zawołał — to dzika pretensya! Ta łąka i ta ziemia, jak świat światem, do Dzietskiego należały! Ja tu, panie, urodzony... wiem...

Kaprowski spoważniał i, złożywszy na talerzu sztućce, ręce w kieszenie ubrania włożył.

— Hm! — rzekł — jeżeli nie wygrają, to... przegrają...

Żaśmiał się i, pochylony ku Bahrewiczowi, przenikliwie oczy w twarzy jego topiąc, lekceważąco wymówił:

— Gdyby, panie kochany, ci tylko prowadzili

procesy, którzy je wygrać pragną, mybyśmy z głodu poumierali...

Szczególny, ukośny uśmiech, ukazujący wśród ryżego zarostu część zczerniałych zębów, rzucił mu na twarz wyraz przebiegłego sprytu, połączonego z nieświadomym siebie cynizmem. W familijném kółku, pod wpływem obfitego jada, jako téż może i świeżego buziaczka siedzącej naprzeciw Karolci, uczuł potrzebę wywnętrzania się i zarazem pochołpienia się nieco tém, co umiał i o czém wiedział. Nie tracąc powagi, która spłynęła na niego wraz z pierwszą zmianą o interesach, odżywił się i opowiadać zaczął nie o sobie wprawdzie, ale o niektórych kolegach swoich, którzy po drodze téj do nadzwyczaj pomysłnych rezultatów dochodzili. Były to sprawy różne i dziwne. Ten, zagrodowego szlachcica wprowadził w proces z sąsiadem o kawał gruntu, mający wartość stu rubli, a wycisnąwszy z niego w ciągu lat paru dziesięć razy większą sumę, nie tylko proces przegrał, ale jeszcze, honorarya swe egzekwując, krowy i konie klienta na publiczną sprzedaż wystawił. Tamten znowu, złapał wdowę po małym właścicielu ziemskim, a po kilku latach obrabiania różnych jég procesów, sam folwarczynę jég niewielką, ale śliczną, za bezcen i tak potajemnie nabył, że baba ani obejrzała się, jak z czworgiem dzieci na bruk miejski wleciała.

Bahrewicz uderzył się w kolano i z szerokim śmiechem zawołał:

— A to bestya sprytny! I teraz własny folwark sobie ma! Ho, ho! czemu to człowiek nie urodził się z takim sprytem!

Kaprowski opowiadał dalej. W braku onego nie-szczęsnego pontaku, Bahrewicz dolewał mu wciąż do kieliszka doskonałej wiśniówki domowego wyrobu. Musiała być ona doskonałą, bo gość z miną znawcy i amatora ustami cmokał, kieliszek po kieliszku wypijał i opowiadania swoje przerywał pochwałami:

— Dobra! istotnie dobra! wyborna!

Rozgrzewał się téż, giestykulował, albo ręce w kieszeniach zatopiwszy, bujał się wraz z krzesłem, na którém siedział, w tył i naprzód. Błękitne szkła w złotej oprawie spadły mu z nosa i, na sznurku kołysząc się, dzwoniły o łańcuch zegarka. Bez szkieł, oczy jego ukazały się szare, bystre, ruchliwe, wciąż jakby czémś zaniepokojone. Teraz błyskały one namietnością, którą drażnił i rozbudzał przedmiot rozmowy. Właściwie był to długotrwały monolog, w którym, co chwilę zjawiały się większe i mniejsze cyfry, przedstawiające różne wygrywane i przegrywane procesy. Co chwilę także, powtarzały się w nim wyrazy takie, jak: pałata (izba), sądy mirowe (sądy pokoju), dzieła (sprawy), artykuły prawa, *ukazy* senatu i t. d. Ten z pomiędzy kolegów kupił już sobie w Ongrodzie śliczną kamieniczkę; tamten ożenił

się niedawno i umeblował mieszkanie, jak ksiązę, a ów jeszcze ma już pewnie teraz trzydzieści tysięcy rubli gotówką, czystych, jak grochu. Stawał do licytacyi majątków i brał sumy znaczne za odstąpienie od targów, posiadał sztukę znajdowania na zapotrzebowanie wszelkich fałszywych świadków i na koniec, od włóścian bogatęj jakiegóś wsi plenipotencyę otrzymał taką, że do tęg pory jeszcze tę mleczną krowę doi i doi...

— Ot, szelma sprytny!... — zawołał znowu Bahrewicz. — Że to człowiek, z takim sprytem nie urodził się!

— Nie dla psa kielbasa! — z pogardliwem na męża spójrzeniem mruknęła Bahrewiczowa.

I słuchali dalej. Od sposobów zdobywania pieniędzy mówiący przeszedł do sposobów ich używania. Kilka razy zwiedził wielkie miasta, był w Warszawie i w Petersburgu; cuda opowiadał o tém, jak to ludzie na świecie żyją: jedzą, piją, bawią się. Po całych nocach gra w karty, szampan leje się, a jakie kobiety! Czy Kaprowski w wielkich miastach widział coś więcej nad karty, szampana i kobiety? Nie wiadomo. Ale z wyrazu, łakomstwa i nieledwie rzeczownęj tęsknoty, której wyraz wybił się na twarz jego, zgadnąć było można, że i te trzy ingredyencye rozkosznego życia widział tylko z daleka, nietylko użyć, ale i dotknąć ich nie mogąc. Westchnął głęboko.

— Dalibóg — rzekł — życie bez pieniędzy jest takiem głupstwem, że...

Machnął ręką. Nie stało mu słów na zaokrąglenie melancholijnego okresu.

Bahrewicz odetchnął także.

— At! — rzekł — niektórym ludziom Pan Bóg taki spryt daje, że z niczego na bogaczów wychodzą.

— Spryt swoją drogą — odpowiedział Kaprowski — a okazyje swoją drogą. Jednym przychodzą one do rąk, drudzy i szukając, nieznajdą. Do wszystkiego szczęścia trzeba.

Westchnął znowu.

— I przytém — dokończył — konkurencyja straszna... walka o byt, jak mówi Darwin.

— Kto taki? — wyciągając szyję i nastawiając ucho, zapytał Bahrewicz.

— Darwin — patrząc w sufit i wraz z krzesłem odchylając się w tył, powtórzył gość.

— Aha! — z ustami pełnemi smażonych kartofli zawołała Róża — pamiętam... panna Szurkowska, nasza guwernantka, czytała powieści Darwina...

— Powieści on nie pisał; był to uczony — objaśnił Kaprowski.

— To ty, Ludwisiu, uczone książki czytałeś? — zagadnęła Bahrewiczowa.

Gość uśmiechnął się wzgardliwie.

— A dlaczegoż-by nie, ciociu? ja wszystko czytałem.

— Uważasz, Madziuniu — nadzwyczaj słodkim głosem przemówił Bahrewicz — jaki z kuzyna uczony adwokat! Wszystkie prawa, panie dobrodzieju, jak rzepę na pamiąg gryzie...

Madziunia wstała i, stół obszedłszy, w obie dłonie głowę stryjecznego synowca ujęła, i na czole jego złożyła pocałunek, tak niemal głośny, jak wystrzał z pistoletu.

— Jezusie Chrystusie! — zaczęła — oto-by się twój ojciec, a mój stryjeczno-stryjeczny brat, wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, ucieszył, gdyby teraz synka zobaczyć i posłuchać mógł. Biedaczysko marzyło o tém, aby Ludwika swego do uniwersytetu posłać i na doktora kierować; a tu i szkół nawet nie było o czém dokończyć... Ot, z czwartej klasy wyszedł, a nie gorszy od drugiego...

Kiedy głowę podniosła, oczy miała pełne łez. Zazawionemi temi oczyma zaraz spójrzała na Karolcię, która téż podnosiła ku matce źrenice wilgotne i rozmarzone. Ale gościowi wzmianka o nieskończeniu i o czterech klasach nie była zupełnie miłą. Pocałunek ekonomowej wywołał mu na usta wyraz niesmaku, szybko przecież powściągnięty i przez nikogo nie postrzeżony.

— O, moja ciociu! — zawołał — te szkoły i uniwersytety, to głupstwo! Ja i bez nich umiem wszystko, a dalibóg, znam takich, co i z drugiej klasy powychodzili, a pieniądze robić umieją lepiej od każde-

go z tych panów *przysięgłych*, co to niby uczeni bardzo, a często takie interesy z rąk wypuszczają, które-by człowiek jak za siebie zarzucił i obliżał się. Mówią oni, że to nieuczciwe, tanto niehonorowe, tanto znów z krzywdą ludzką, i dlatego nie chcą.. ale niech im ciocia nie wierzy... łga! jak Boga kołham, łga! Nie przyjmują interesów takich, bo nie wiedzą, jak do nich brać się... nie umieją... nie ich sprytem!...

— Pewnie! pewnie! — potwierdzili jednogłośnie Bahrewiczowie i znowu mowy krewnego słuchać zaczęli, tak jak jój słuchali wprzód: on, z tłustym karciem, wygiętym w stronę mówiącego, z wytrzeszczonemi oczyma i przymilonym uśmiechem na zaokrąglonych wargach; ona, z łokciem na stole, brodą w dłoni i otwartemi rękoma. Różia, brunetka, z ponsową wstążką we włosach, słuchała także, ale nieuważnie, bo wszystkiemi swemi białemi ząbkami łomotała kielbasy, pieczeń i kartofle. Karolcia, blondynka, z głową przyozdobioną wstążką błękitną, nie słuchała pewnie, ale tylko patrzała. Nie jadła téż nie prawie. Patrzała na kuzynka, jak w tęczę, i z wyrazu twarzy jój widać było, że daleka od rozbierania moralnych lub psychicznych znaczeń jego rozmowy, szczegółowo w zamian i z zamiłowaniem analizowała rysy jego i ruchy. Te ostatnie zachwycaly ją szczególniej. Ile razy Kaprowski, z rękoma w kieszeni tak odgiął się w tył, że można było mniemać, iż tuż, tuż, na wznak, pomiędzy cztery nogi krzesła swego upadnie,

oczy Karolci przymrużały się rozkosznie, na ustach jój osiadał rozkochany uśmiech. Widocznie ruch ten wydawał się jój ostatnim wyrazem eleganckiego układu i wywierał na nią powab nieprzeparty. Jój też postawa stawała się coraz bardziej wdzięczną i malowniczą. Jedną z białych rącek kręciła machinalnie gałki z chleba, na drugiej wsparła zadumane czoło. Nagle drgnęła. Kuzynek do niej mowę zwrócił. Przez stół pochylając się, głosem pełnym sympatii i współczucia wyrzekł:

— Kuzyneczka nic nie jé...

Podniosła głowę, powłóczył się spójrzaniem odpowiadając ognistemu jego wzrokowi i, silnie rumieniąc się, odrzekła:

— O, to nic; tak najadłam się dziś przy obiedzie, że i teraz syta jestem.

— Karolciu! dońku! — zawołał Bahrewicz — zaśpiewaj cokolwiek!

Wieczera była skończona. Bahrewiczowa z pomocą dziewczki bosój i ubraniej w grubą spódnicę i koszulę, sprzątała ze stołu. Dziewka, choć bosa i w grubiej koszuli, była tęgą i hożą wieśniaczką. Na szyi miała kilka sznurów kolorowych paciurek, a z pomiędzy policzków jój, rozognionych od kuchennego płomienia i czoła poplamionego sadzą, świeciły młode, turkusowe oczy. Kaprowski okiem znawcy i lubownika tak zopatrzył się na nią, że nie słyszał wygłoszo-

nego przez Bahrewicza, a do córki zwróconego, wezwania. Usłyszał jednak głos Bahrewiczowej:

— Karolka! słyszysz? a nuż! Wstawaj i idź do fortepianu! Czy to panna Szurkowska na to was grać i śpiewać uczyła, żebyście przed wróblami popisywały się!

Panienska wstała, do fortepianiku poszła, usiadła przed nim i, uderzywszy kilka akordów, z oczyma w kuzynka wlepionemi, zaśpiewała:

„O aniele! co z tój ziemi
W górne strefy lot podnosisz...”

Była to ulubiona pieśń Bahrewicza, to też przy drugim zaraz wierszu, cieniutkiemu głosowi córki tubalnym głosem zawtórował:

„W górne strefy lo-o-o-ot po-o-o-od...”

Nagle umilkł, Madzia bowiem przeszła go spójrzaniem piorunującym. Kaprowskiemu, do którego przysiadła się, szeptała w same prawie ucho, wyobrażając sobie zapewne, że w ten sposób mówiąc, słuchać mu śpiewu córki nie przeszkodzi.

— Guwernantki do nich trzymałam... trzy ich było... jedna po drugiej... po francuzku kazałam uczyć, muzyki, śpiewania, wszystkiego... Różia do muzyki zdatności nie miała, ale Karolce Pan Bóg dał wielki talent, to też, przy pannie Szurkowskiej z niej dużo skorzystała... Jezusie Chrystusiel co mnie ich edu-

kacya kosztowała! Tój Szurkowskiój, mój Ludwisiu, pięćdziesiąt rubli płaciłam, a jeszcze mała ta tak dużo jadła, że niczego nastarczyć się jój nie było można... Weźmie, bywało, i caluteńki, głęboki talerz śmietany zjé... A taka była, za pozwoleniem, świnia, że idzie, bywało, i rye się po spiżarni... cukru rąbanego do kieszeni nabierze...

Tu głos Karolci i fortepianowe akordy umilkły.

— No, a teraz sztukę jaką zagraj... tę, co to z przekładaniem rąk... prawa ręka na lewo, to lewa na prawo...

Klawisze zaklapały znowu, struny zabrzęczały, bas huczał, wiolin pisał i w najpatetyczniejszym miejscu kompozycyi, wybornie naśladował krzyk kogoś, kogo za włosy ciągną: „aj! aj! aj! ajajajajaj!”

Bahrewiczowa przybliżyła znowu usta do ucha kuzyna.

— Strasznie pracowite dziewczęta! Te firanki i te *patarałki* (podstawki), i te koszyczki, i ten *abażur*, same własnemi rękoma porobiły. Siedzą sobie biedaczki po całych dniach, jedna przy jedném oknie, druga przy drugiem, i dłubią... Ot, przyznam się przed tobą, Ludwisiu, jak przed księdzem na spowiedzi, że, czasem patrząc na nie, moje macierzyńskie serce krwιά się zalewa... marnują się. Panny edukowane, w kącie takim... czy to może wyjść za mąż, jak się należy? czy to partya jaka stosowna znajdzie się?...

Rozmowa o przypuszczalnym małżeństwie kuzy-

nek nie musiała Kaprowskiemu do gustu przypadać, bo, wznosząc oczy ku lampie, przerwał ją uwagę:

— Śliczny *abażur*! czy to panna Karolina zrobiła?

— A Karolcia! Karolcia! — z błogim uśmiechem głośno już zawołała Bahrewiczowa i, zdjawszy z lampy zasłonkę, ze stron wszystkich gościowi ukazywać ją zaczęła. Była to istotnie robota bardzo misterna i mozolna. Ażeby jój dokonać, trzeba było co najmniej tysiąc razy końcem szpilki przekłuć papier. Sformowały się z tego dziurkowate szlaki i arabeski. Kaprowski podziwiał cierpliwość i pracowitość panny Karoliny, gdy nagle, Bahrewicz, który za krzesłem żony siedząc, przysłuchiwał się ich rozmowie, wysunął mu przed twarz i oczy sporą, pękatą, z kanapy zdjętą poduszkę, z uśmiechem i rodzajem dygu wymawiając przytém jeden tylko wyraz:

— Rakaka!

Poduszka była tak duża i pękata, a wysunięcie się jój przed sam nos Kaprowskiego tak niespodziane, że Kaprowski, którego system nerwowy musiał być nieco nadwreżonym, drgnął od stóp do głowy, i po kilku dopiero sekundach, wróciwszy do przytomności, zapytał:

— Co to?

— Rakaka — powtórzył Bahrewicz.

— To także robota panny Karoliny! Dlaczegoż pan tak ją nazywasz?

— Ot, był tu niegdyś młody pan Dzielski... pan

Gustaw, z wielkiego świata kawaler; z polowania zajechał, i jak na ich roboty popatrzył, powiada: „Roboty córeczek pana dobrodzieja, to prawdziwe *rokaka*...” Wtenczas Karolcia właśnie tę poduszkę wyszywała.

— Może: *rokoko*? — w zamyśleniu zapytał Kaprowski.

— A może! Kto go wie? Ale co to takiego oznacza?

— Co?

— A te *rokaka*, czy *rokoko*? Co to oznacza?

— Aha! nie wiesz czasem, Ludwisiu, co to oznacza? — powtórzyła mężowi Bahrewiczowa. U obojga oczy od ciekawości błyszczały.

Kaprowski czmychnął, wydał trochę policzki i w sufit spójrzał.

— A no! — rzekł — tak nazywały się dawniej różne budynki.

— Aaa! — zdziwiło się małżeństwo, nie a nie nie rozumiejąc, dlaczego właściwie roboty ich córek nosiły tę samą nazwę, co różne budynki.

Karolcia wstała od fortepianu, Różia, poziewając szeroko, podniosła się z kanapy. Bahrewicz, patrząc w oczy gościowi, tak jakby mu wielką tajemnicę powierzyć miał, zapytał:

— Cóż? może już pan adwokat dobrodziej do Morfeusza tęskni?

Tęsknił istotnie, może nie do Morfeusza, ale tęsknił. Rozmowa z Bahrewiczową i jej mężem, roz-

łała po bladój i zmiętój jego twarzy wyraz znudzenia, połączonego z wyrazem smutku. Smutkiem napęłniała go może myśl, że ciężkie okoliczności życia zmuszają go do przepędzania podobnych wieczorów... Powstał.

— Słowo honoru! — rzekł — człowiek tak strząśnięty po tych waszych dyabelskich drogach, że może już i pora odpocząć. Jutro rano dacie mi, panie Stefanie, koniki... do domu powracać muszę.

Na te słowa, wszyscy prócz Karolci ruszyli się z miejsca i upraszać zaczęli gościa o dłuższe pozostanie w ich domu; Bahrewicz obejmował go i tak w oba policzki całował, że aż stały się wilgotne i błyszczące; Bahrewiczowa, otaczając go także krótkimi i tłustemi ramionami, krzyczała, że nieboszczyk ojciec Ludwika przewrócił-by się w trumnie, gdyby widział, jaką krzywdę wyrządza on jego *siestrze*, przyczém, rozplakała się tak, że aż chlipać zaczęła. Różia wołała, że kuzynek, z wielkiego świata kawaler, pogardza swymi krewnymi dlatego, że są wieśniakami i parafianami; jedna tylko Karolcia, usłyszawszy wzmiankę o odjeździe kuzynka, stanęła, jak wryta, i wpatrzona w niego, jak w tęczę, błagała tylko zasmuconemi oczyma.

Ale on okazywał się nieugiętym.

— Interesy! — powtarzał — interesy! interesy!... dalibóg, nie mogę! słowo honoru! interesy! tam na mnie czekają!

I zaczął wszystkim oddawać życzenia dobrej nocy. Przy Karolei zatrzymał się chwilę i szepnął jej kilka bardzo cichych słów. Dziewczyna pokraśniała, jak mak polny, i na znak zgodzenia się na propozycję jakąś, główką skinęła.

W kilka minut potem, w ekonomicznym mieszkaniu panowała cisza. Ciemności okrywały bawialny pokój i wszystkie zdobiące go rokoką. W przyległej za to izdebce, tak pełnej skrzyń i gospodarskich sprzętów, że zaledwie można było przecisnąć się przez nie, na jednym z dwu łóżek szerokich i obfitą pościelą zasłanych, Madzia Bahrewiczowa, już tylko w krótkiej spódnicy z grubego, domowego wyrobu i w nocnym, brudnawym kaftanie, rozplatała i układała na noc swój ubogi, szczupłutki warkoczek. Przed nią, z rozpuszczonymi też, lecz bujnymi i długimi włosy, stała Różia. Stanik już zdjęła i rozpinając gorset, nadzwyczaj ciasno obciskający jej pulchną i grubokościastą figurkę. Bahrewiczowa, z błyszczącymi oczyma zapytywała córkę?

— Jakże ci się zdaje, Róziu, będzie co z tego, czy nie?

— Albo ja wiem, mamol! Karolka w nim tak zakochana, że po całych nocach nie śpi, tylko wzdycha, albo płacze. Mnie się zdaje, że i on w niej także zakochany. Kiedy byliśmy w Ongrodzie, ciągle z nią na spacer chodził, a tutaj widziałam kilka

razy, jak całowali się z sobą. Ale czy ja wiem? Może on tylko tak sobie... bałamuci Karolkę!

— Niech-by śmiał! — zawołała Bahrewiczowa, ściśniętą pięść podnosząc i płomienie z oczu ciskając.

Różia rozpięła na koniec gorset i wydała z piersi głośnie westchnienie ulgi.

— Tak mi się te rogi w ciało wjadają — zaczęła — że czasem wytrzymać nie mogę... Wszyscy mężczyźni tacy...

— Jacy? Co ty bredzisz?

— Bałamuty! A tatko lepszy był? Krystynę porzucił... Może i kuzyn Karolcie...

— Co ty znasz? — krzyknęła matka — chamka co innego, a szlacheckie dziecko co innego... Śmiałby on Karolcie zbałamucić i porzucić...

Ogarnął ją niepokój wielki, ale nie o Karolkę.

— Gdzie tatko? — zawołała.

— Albo ja wiem! — odparła Różia, bardzo zajęta rozwiązywaniem sznurków od turniury.

— Słyszałaś, co mówiłam? idź mi zaraz i zobacz gdzie tatko...

A gdy Różia, przytrzymując obu rękoma rozpiętą spódnice, wyprostowała się, i sztywna, z wydętą buzią, zamierzała odejść ku piecowi, pięść macierzyńska z głuchym łoskotem spadła na białe i pulchne jej plecy.

— Ruszysz się ty, czy nie? kiedy ci mówię...

Ruszyła się, skoczyła, a tak żywo, że turniura

sama przez się spadła z niej pod stopy matki. Na zgubienie téj części stroju nie zważając, Rózia wykoczyła z pokoju i, wpadłszy na ganek domu, dostrzegła czerwone światło latarni, migocące tu i owdzie pomiędzy zabudowaniami folwarku. Co tchu wpadła napowrót do domu i, nie wchodząc już do rodzicielskiej sypialni, z izdebki, którą wraz z siostrą zajmowała, a która była nadzwyczaj ciasną, brudną i wszelakich nieporządków pełną, przez próg zawołała:

— Tatko z latarnią budynki obchodzi...

Bahrewiczowa znaczenie tych słów snadź rozumiała, bo uspokoiła się i po chwili zapytała:

— A Karolcia gdzie?

— Albo ja wiem! Może z kuzynem na spacer poszła — odpowiedziała nadąsana Rózia.

Bahrewiczowa nie odrzekła nic, tylko przez chwilę głośno sapała i czmychała. Snadź uspokojona o męża, zaniepokoiła się znowu o córkę. Może namyślała się, co czynić. Nie uczyniła jednak nic. Zakopała się pod kołdry i zawołała jeszcze do córki:

— Rózia! patrzaj, żebyś mnie we wtorek przypomniała o postnym obiedzie. Będziem wszyscy na intencję Karolki dziewięć wtorków do Świętego Antoniego pościć.

Przez parę minut odpowiedzi nie było. Rózia zbierała się snadź na odwagę, aż zadąsanym jeszcze głosem odpowiedziała:

— Moja mamol jeżeli kuzyn Karolkę prawdziwie kocha, to ożeni się z nią i bez Świętego Antoniego; a jeżeli tylko bałamuci, to i sam dyabeł nic nie pomoże.

— Głupia jesteś! szczęście twoje, że już ja leżę, bo tak-bym ci dała... Jak Karolka przyjdzie, to jej powiedz, żeby tu szła. Muszę i ją moresu trochę nauczyć...

Na dziedzińcu, czerwone światło latarni długo posuwało się i migotało pomiędzy zabudowaniami folwarku. Okrążyło ono mieszkanie parobków, stodołę, oborę, spichrz. Bahrewicz od wielu już lat, codziennie w ten sposób doglądał nocnego porządku, przed położeniem się do snu, przekonywając się własnymi oczyma, czy ognie wszędzie pogaszone, czy nocni stróże czuwają, czy nie zakradli się gdzie złodzieje. Gospodarz z niego był czujny i pracowity, dlatego też od lat już blisko dwudziestu, zajmował najlepszą z kilku ekonomicznych posad, znajdujących się w wielkich dobrach Krasnowolskich. Właściciele dóbr tych, wielcy panowie, przebywali zwykle tam, „gdzie pomarańcze i cytryny kwitną”; stary i wielki dwór, w największym z majątków, zajmował rządca dóbr; ekonomowie mieszkali po folwarkach, dobrze opłaceni, pod kontrolą rządcy, dość niezależni. Bahrewicz mieszkał w Leśnej i miał pod dependencją swą drugi jeszcze folwark, Wólkę, o trzy wiorsty od Leśnej położony. Pieniężną sumę otrzymywał nie-

wielką, wraz z corocznemi gratyfikacyami wynoszącą około dwustu rubli, ale ordynaryę dawali mu obfitą, ze wszelkich gatunków zboża złożoną, i miał prawo trzymać krów kilka, koni parę, drobiu, ile się podobало, trzody chlewnęj trochę; miewał na rzecz swoją lnu mórg, kartofli morgów parę, duży i wyborny ogród warzywny. Słowem, w ekonomskim domu wszystkiego było w bród: nabiału, warzywa, wędlin, maki i krup różnego gatunku. Dzięki Madzi, pomimo obfitości téj, od której policzki całej rodziny tłuste były i obfitą krwią zabarwione, zbierało się i w szufladzie komódki trochę asygnatek; niewiele, bo skądże-by wiele być mogło? Ale, i na tę odrobinę, około dwudziestu lat gorliwie i ciężko pracowali oboje z Madzią... O! ta Madzia! to brylant był, nie kobieta! Nikt-by nawet spodziewać się nie mógł, aby panna asesorówna, u której rodziców pierwsi w *uczęstku* obywatele bywali; którą tylko w skutek utraty miejsca, ojciec zdecydował się wydać za ekonomę; aby córka urzędnika, która z córkami sprawnika była niegdyś na ty i na wieczorkach w obywatelskich domach parę razy tańczyła, mogła stać się taką skrzętną i pracowitą gospodynią. Wprawdzie, asesor Kaprowski usunięty z posady, którą zajął nowo przybyły *stanowcy*, umarł-by w nędzy, gdyby go zięć, przez parę ostatnich lat jego życia, do ekonomskiego swego domu nie przyjął. Wprawdzie, Madzia nie wniosła do mężowskiego domu nic, prócz srebrnych

łyżek, ofiarowanych niegdyś asesorowi przez jakiegoś obywatela, który z racji nieopłaconych w porę podatków, zawsze względów władzy egzekucyjnej potrzebował. Ale, z innej strony, połączenie się z tą kobietą węzłem małżeńskim, okryło Bahrewicza splendorem takim: Kaprowscy byli wobec Bahrewiczów arystokracją taką, że gdyby nawet Madzia próżniaczką była, nikt nie śmiał-by jęj z tego czynić zarzutu. Lecz ona przeciwnie, była tą niewiastą, która mężowi dom buduje. Pracowała, szczeniła, dom napełniała obfitością, od której jeszcze zostawało czasem coś do włożenia w szufladę komody. O świcie wstawała, w grubiej odzieży i grubszym jeszcze obuwiu naglądała wszystkiego: krów, drobiu, ogrodów, kuchni. Handel prowadziła: do Ongrodu na targ wysyłała garnki z masłem, zmieszane w jakiś części z kaszą kartoflaną. Ludzie kupowali masło z kaszą, z czego Madzia śmiała się do rozpuku, przy akompaniamencie śmiechu zachwyconego nią męża. Wysyłała też na sprzedaż sery, jaja, ptastwo, pierze kurze i gęsie. Jeżeli w którymkolwiek z tych produktów mogła dokonać malwersacyi czy falsyfikacyi jakiej, dokonała jęj; jeżeli któremu z parobków przy wydawaniu ordynaryi mogła dosypać trochę pośladu albo plewy, dosypała ich; a szlachetne ziarno, które niemi zastąpiła, na swoje dobro zabierała. Niedosypiała często i rąk nigdy nie składała; raz tylko w tydzień, w niedzielę do kościoła jadąc, starannie przystrajała się; o tém

tylko myślała, nad tém tylko głowę łamała, aby domowi, rodzinie, sposobem jakimkolwiek, przysporzyć rubla, złotówkę, choć grosz. Jeść tylko lubiła smaczno i wiele, ale innych zbytków nie pragnęła; konkurentów do córek, a także kolegów mężowskich przyjmowała z rozkwitłą od wesołości twarzą i z dymiącemi miskami w rękach; ale o innych zabawach ani nawet myślała. Nieraz, w czasie prania, bicia masła lub rozbierania wieprzów, całutki boży dzień bosa i z zawiniętymi po łokcie rękawami, chodziła i tak umęczała się, że gdy tylko na łóżko padła, w jedném mgnieniu oka, na podobieństwo kilku zjednoczonych instrumentów dętych, chrapać poczyniała. Taką była. A macierzyńskie jęj uczucia i rozum nadzwyczajny, okazany w sposobie wychowywania córek?! Bahrewicz sam, nigdy-by nie potrafił wychować tak córek swych, jak wychowała ona. Gdzie tam! nie wiedział-by nawet, jak do tego wziąć się!

Ona to, która niegdyś z córkami sprawnika była na ty, i parę razy na obywatelskich wieczorkach w tarlatanowej sukni tańczyła, nietylko pomyślała o tém, aby córkom dać edukację, ale i potrafiła zadaniem tém pokierować. Wiedziała, czego panny uczyć się powinny, ona, która sama miała niegdyś edukację. Za ekonoma wyszedłszy, zapomniiała wkrótce ze szczerem wszystko, czegokolwiek uczyła się, co więcj, zgrubiała i sprościła. Niemniej posiadała rzecz najważniejszą: teorię. Nią to powodo-

wana, wyszukiwała z wielkim trudem guwernantek; zrazu, na początek byle jakich, a nakoniec, na zakończenie edukacyi, wynalazła pannę Szurkowską, która wprawdzie brała znaczną pensyę, bo aż pięćdziesiąt rubli rocznie i w dodatku okropnie wiele jadła, ale za to doskonale uczyła. Przy niej to Karolka nauczyła się śpiewać: „O aniele! co z téj ziemi” i grać *La prière d'une vierge*, a Rózia, która do muzyki talentu nie miała, tak wprawiła się w język francuzki, że gdy raz do pana Gustawa Dzielskiego, odwiedzającego ojca jęj, tym językiem przemówiła, kawaler z wielkiego świata aż oczy ze zdumienia szeroko otworzył. Ta panna Szurkowska, pouczyła je także słicznych robótek, któremi teraz, gdy gości nie było, trudniły się po całych dniach i wyjaśniła im mnóstwo szczegółów, odnoszących się do dystynkcji układu damskich toalet. Koszt utrzymania tak drogiej nauczycielki, obzarstwo jęj i kaprysy, Madzia zносиła z tak anielską cierpliwością, że przez lat trzy nie złażała jęj więcj nad razy dziesięć, a nie wybiła ani razu. Źródłem téj cierpliwości i panowania nad sobą, było nie innego, tylko miłość macierzyńska. Wprost, przepadała za córkami. Czasem, gniewało ją to, że żadnej z nich pomocy w gospodarstwie nie ma, i kiedy dziewczęta samowara nawet nastawić, ani jedzenia z kuchni przynieść nie chciały, zamyślała się nad tém, czy czasem edukacyi ich za wysoko już nie posunęła. W wypadkach podobnych i w wielu

innych, jako téż i bez żadnego nieraz wypadku, plecy panienek zapoznawały się z macierzyńską pięścią, z miotłą i skręconym motkiem nici domowego wyrobu. Pod wszelkimi przecież innemi względami przejętą ona była dla nich miłością, posuniętą do furi. Gdy chorowały, zalewała je morzami ziół i okładała górami plastrów; gdy zażądały jakiego stroju, dostarczała im nań pieniędzy; o honor ich i wszelaką doskonałość gotową zawsze była walczyć, aż do wydrapania oczu, choćby ojeu rodzonemu, gdyby żył jeszcze. A że skłonną była do płaczu tak prawie, jak do gniewnych uniesień, więc sto razy na rok płakała nad niemi, to z żalu nad ich dolą, to z zachwyty nad ich doskonałością, to ze złości, że są w domu do niczego.

Taką była. Mógł-że Bahrewicz perły takiej nie ocenić, mógł-że dla wszystkich zalet nie przenieść w pokorze jedynę jej przywary, jaką było hojne szafowanie donośnym głosem i niedelikatnemi wyrazami, a także łatwe zrywanie się do miotły? Owszem, te objawy silnego charakteru zwiększały jeszcze szacunek, jaki miał dla żony i rozogniały przywiązanie do niej. Należał do téj obszernéj kategorii ludzi, obszerniejszój nierównie, niż-by o tém mniemać mógł ktoś z pozoru o ludzkości sądzący, która czci batog i miłuje przedstawicieli jego na ziemi. Bahrewicz lękał się żony, i ta właśnie trwoga budziła w nim dla niej cześć i wdzięczność. Gdyby nie ten batog,

który ona trzymała nad jego głową, byłby może, jak tyłu innych, rozpił się, rozhultał i do niczego porządnego nie doszedł. Gdyby ten batog nie znalazł się wnet po ślubie w jej energicznych rękach, on-by go trzymał nad nią i znęcał się nad łagodną, słabą i uległą. Dokoła téj, która dzierżyła narzędzie, będące berłem ziemskiego królestwa, chodził na palcach ostrożnie, przemawiał do niej miękko, nieśmiało; patrzył w jej oczy z wyrazem psa, usiłującego odgadnąć wolę swego pana; w chwilach dobrego porozumienia okrywał pocałunkami jej grube, czerwone ręce. Gdyby ręce te były drobne i delikatne, spuszczał-by on na nie zamiast pocałunków, rzemie nie batoga.

Jednak, był czas, w którym Bahrewicz kochał inaczej nieco, nie przez cześć dla batoga, nie przez wdzięczność za sprzedawanie na korzyść rodziny masy, pomieszanego z kartoflową kaszą, nie przez uznanie w kobiecie wyższości urodzenia i rozumu, ale, ot, z łaski bożej, niby z natchnienia serca i zachwycenia oczu, które oderwać się nie mogły od słusznej i zgrabnej kibici, od śniadéj twarzy, od włosów kruczych i purpurowych, jak świeża wiśnia wilgotnych ust chłopki. Była to chłopka i nawet nie gospodarska córka, ale sierota bez domu i uboga dziewczka folwarczna. Młodym był wtedy, i z piersi jego niezupełnie jeszcze uleciała świeżość i poezya szlacheckiej zagrody, którą tylko co dla służby dworskiej opuścił.

Zagrodowym szlachecciem był. W ojcowej zagrodzie na piętnastu morgach ziemi, braci Bahrewiczów wyrosło aż czterech. Dwaj starsi poženili się i pozostali na miejscu, dwaj młodszy w świat poszli. Stefan nie poszedł daleko. Czytać, pisać i rachować nauczył go *guberner*, składkowym sposobem, przez kilkanaście rodzin okolicę zamieszkujących do dzieci trzymany. Rażny, zgrabny, uniżony, z łatwością otrzymał w dobrach krasnowolskich miejsce nizkiego oficjalisty, z przywiązaniem do niego wysokim tytułem „namiestnika”. Nie monarchy żadnego namiestnikiem został, ale jednego z krasnowolskich ekonomów. W tymże samym folwarku była i owa słuszną, zgrabną, czarnooką dziewczka. Bahrewicz rozkochał się w niej tak, że przez czas dość długi zapominał nawet o tém, że była ona chłopką. Kształtami przypominała młodą brzozę, oczy jej były pełne płomieni, z za ust ponsowych ukazywała w uśmiechu śnieżne zęby, a gdy rozplotła warkocze, chowała się do pasa w płaszczu kruczonych włosów. Pracowitą była, bo pośród cudzych ludzi, nie otrzymała nigdy darmo kęsa chleba, a nieśmiała i uległa, bo nad sierotą i bezdomą wszyscy wszystko mogli. Namiestnik był dla niej osobą tak prawie wysoką, jak dla namiestnika właściciel krasnowolskich dóbr. Był on przytém podówczas chłopcem zgrabnym i żwawym: czoło miał białe przy ogorzałej twarzy, płowy wąsik nad ponsową wargą, a w oczach ten ogień, którym

fizyczne zdrowie i młodość napełniają człowieka, wzrosłego wśród świeżości pól, na nocnych rosach pastwisk, w skrzepiających trudach orania i kośby. Nie orał już teraz sam, ani kosił, ale na czynnościach tych znał się wybornie; sprzężycie i gorliwie służbę pełnił; zwierzchnikom zalecał się uniżonością i oczy wznosił ku szczytowi marzeń swych, ku ekonomskiej posadzie. Tymczasem, dobrze mu było na świecie. Czarnowłosa dziewczka znakomicie dopomagała mu do cierpliwego oczekiwania na spełnienie ambitnych nadziei. Zanim fortuna przybyła, miał kochankę. Była mu ona oddaną ciałem i duszą, pokorną, o tém tylko myślącą, ażeby się mu przypodobać. To też od czasu do czasu łąkał ją i nawet trochę bił: „Wrona! — powiadał — żeby mi kiedy słowo odpowiedziała, kiedy ją łąkać zaczęła. Idzie tylko w kąty i płacze; zacierka z mlekiem!” Jednak siłą jej przywiązania, przywiązywał się do niej coraz bardziej. Nagle, stało się to, czego namiętnie pragnął, i na co z całej duszy i wszystkich sił zapracować usiłował. Dano mu ekonomstwo i nie było jakie, w Leśnej z dodatkiem Wólki. Wtedy, czarnowłosa Krysia dziwnie nagle mu zbrzydła. Co przystawało namiestnikowi, nie było godnem już ekonomy i w dodatku nie było jakiego, ale siedzącego na dwu najlepszych folwarkach dóbr krasnowolskich. Przypominał sobie wtedy wyraźnie, że była chłopką. Nie pamiętał wcale o tem, że dwa, czy trzy razy, z wiel-

kim gniewem i hałasem wypędził z izby czeladnej wiejskich swatów, którzy przychodzili piękną, hożą i pracowitą dziewczę brać za żonę dla gospodarskich synów. Do siebie mawiał: „Czego ona przyczepiła się do mnie!” Jój jednak powiedzieć tego nie śmiał; chciał kilka razy, ale przez usta mu słowa nie przechodziły, bo pamiętał wybornie, jak długo i ogniście starać się musiał o przezwycięzenie wstydlivosti jój i strachu. Nie można było zresztą powiedzieć, aby i teraz przestał ją lubić. Owszem, czuł dobrze, że rozstać się z nią będzie mu bardzo ciężko. Gdyby nie była chłopką, ożenił-by się z nią, choć nic nie miała. Na pieniądze tymczasem, nie był chciwym, ale honorów strasznie pożądał. Ambitnym był. Kry się obejmował i całował z namiętnością i rozkoszą, ale w godzinę potém, marzył o ożenieniu się z panną z *pięknego domu*. „Gdyby tak trafiło się — do przyjaciół mawiał — ożenił-bym się z bosą i nagą, byle była z dobrej rodziny i z edukacją.” Trafiło się. Przyjaciele zaswatali, do panny powieźli, zaręczyli i ożenili. Przedtém jeszcze był dzień, w którym z Leśnej wyszła chłopka wysoka i czarnowłosa, z twarzą młodą, ale zoraną zgryzotą i łzami, z jedném dzieckiem malutkiem, które prowadziła za rękę, drugim u piersi. Starszy z chłopaków tych, miał imię Filip, w chłopskiej wymowie Pilip, młodszy Antosiek. Tego samego dnia, Bahrewicz, zamknąwszy się szczelnie w mieszkaniu swoim, aż ryczał

z płaczu. Taki, jakim był, stoczył raz w życiu walkę serdeczną. Najbliższym przyjaciołom zwierzał się wtedy, serce walczyło w nim z rozumem, i, panie dobrodzieju, rozum zwyciężył. Winszował sobie potém przez całe życie, że głupstwa nie zrobił, dla chłopki świat sobie zawiązując. Jednak, długo jeszcze, gdy wspominał o téj chłopce, coś mu się takiego około serca robiło, że twarz chustką ocierał, słuwał, i co prędzej szedł w pole, aby pracą zdławić robaka. Były to przecież napady chwilowe. Porodziły się potém córki, zaczęły zbierać się pieniądze. Madzia roztoczyła cały blask swych przymiotów... Zwierzchnicy lubili go, stanowiska swego był pewien, wygody wszelkie miał, wdziękami i edukacją córek szczycił się, czasem, jaki taki urzędnik lub nawet obywatel chatę jego nawiedził. Czuł się prawie zupełnie szczęśliwym. Miał wprawdzie od czasu do czasu nieprzyjemności trochę — z racji miotły, ale, wołał o wiele to, niż gdyby żonka jego była zacierką z mlekiem.

Ciemność i cisza zalegały folwark w Leśnej. Około mieszkania parobków, stróż nocny drzewo rąbał, drugi za stodołą, od chwili do chwili przeciągłe gwizdał. Czasem, wielki kundel, śpiący w budce napelnionej słomą, zaszczekał grubym głosem i wnet umilknął. Bahrewicz, okrążywszy zabudowania i w każdy kąt zajrzawszy, zgasił latarnię i wszedł na ganek. Do domu jednak nie wszedł, na wążkiój

ławce usiadł, latarnię obok siebie postawił i zamyślił się. Tylko co przechodził około tego miejsca, na którym, parę godzin temu, rozmawiał z Krysią i przypomniał sobie tę rozmowę. Taki, jakim był, złego serca nie miał. Przez cały wieczór, bawiąc się wybornie z gościem, którego odwiedziny przynosiły mu zaszczyt i nadzieję wydania za mąż jednej z córek; jedząc z apetytem pieczeń baranią i z zachwyceniem słuchając ulubionej pieśni: „O, aniele, co z téj ziemi...”, — czuł jednak, że mu coś głucho dokuczało. Teraz, w grubych ciemnościach na gan-ku siedząc, myślał:

— Co ja jój poradzę? Albo ja mogę Filipkowi tu w czém pomódz? Biorą do wojska—biorą; szłą żołdata daleko—szłą. Co ja za figura, żeby do takich interesów mieszać się... Może-by to u Kaprowskiego poradzić się... Strasznie sprytna bestya.. i stosunki wielkie ma... Pójdę ot, zapytam się, czy nie znajdzie jakiej rady... Prośbę może podać od matki, żeby chłopca z racyi choroby zostawili... Ale znów, jak Kaprowski, broń Boże, przed Madzią wygada się, że mnie to obchodzi!... Lepiej już nie jemu nie mówić. At, albo to jój jednej taka bieda? Nic jemu nie stanie się. Świata kawał zobaczy i na człowieka wyjdzie. Baba—zawsze babą. Jak była zacierka z mlekiem, tak i została. Bywało... brzuch mię zaboli, a ona już desperuje i tak mi nogi obejmie a głowę do nich tuli, jakby ze mną razem

do trumny iść chciała... Tak i za synami przepadała i przepada, to i wymyśla niewiedzić jakie historie. Powiedział-bym Kaprowskiemu, ale lękam się, żeby przed Madzią... Lepiej już nie powiem... Co tam! baba popłacze i tyle, a Filipek za kilka lat powróci...

Ręką machnął, wstał i we wnętrzu domu zniknął.

II.

Opuściwszy folwark w Leśnej, szła znowu błotnistą drogą w ciemnościach, i znacznie powolniej, niż przedtém. Czegóż już teraz spieszyć się miała? Wracała z tém samém, z czém przed godziną szła. Nie zdobyła nic, a pomimo to, naprawdę, właśnie dlatego, chód jój ociężał i przygarbiła się wysoka kibić. Ciemności zwiększyły się, wiatr wzmógł się i gęsty, drobny deszcz padać zaczął. Wśród pustych i czarnych pól, droga z Leśnej do Wólki osadzona drzewami, wydawała się długim wąwozem, nad którym śród rozplakanych obłoków nie świeciła ani jedna gwiazda, a którego głębią, posuwała się z wolną postać kobiety, samotna i strasznie drobna wobec otaczającego ją obszaru ciemności i pustki.

— *Takaja dola moja, jak hetaja noczka!* — półgłosem raz wymówiła i zdawać się mogło, że wiatr, który w téj samój chwili przelatywał przez drogę, porwał te słowa, poniósł je na puste pola i kręcił

tam niemi, jak to czyni z suchemi liśćmi, szepecąc, wzdychając i jęcząc. Gdy raz zajęczał bardzo, kobieta przeżegnała się:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Św... — półgłosem znowu wymówiła.

Myślała może, że tak w ciemnościach nocnych jęknęła jakaś dusza pokutująca. Zresztą milczała. Wiatr coraz silniej miotać zaczął jój siermięgę; chustka, którą na głowie miała, tak była zmoczona, że strumienie wody lały się z niej na uszy i szyję. Z pod bosych jój nóg tryskały z kałuż fontanny rzadkiego błota.

Po przebyciu trzech wiorst, dzielących Leśną z Wólką, znowu do siebie przemówiła:

— Ot, jeszcze nie śpią! Może dziecko choreńkie.

Słowa te wywołało drobne, czerwone światółko, które błyskało pomiędzy ciemnymi zupełnie zabudowaniami Wólki. Zeszła z drogi, chwilę szła po zorany zagonie, pod ścianą stodoły czy obory, potem przelazła przez niewysoki płotek jakiś, i w ten sposób skróciwszy sobie drogę, znalazła się u drzwi budynku, w którego jednem malutkiém oknie, błyszczało owo światółko. Budynek ten był tak zwanym czworakiem, zawierającym mieszkania dla rodzin czterech parobków, z których każda miała tam posiadać izbę i komórkę z osobnem wejściem. Ale gospodarstwo w Wólce wymagało parobków ośmiu, czworak zaś znajdował się tam jeden. Rządca dóbr był

oszczędnym i nie chciało mu się budować czworaku drugiego. Na tak zwaną sesję ekonomów, która pod prezydencją jego odbywała się co sobotę, dość dawno temu, zapytał Bahrewicza:

— Co robić? budować w Wólce drugi czworak, czy nie budować?

Mąż Madzi, doskonale znał wszystkie skłonności i wstręty swego zwierchnika. Pomyślawszy chwilę, odpowiedział:

— Nie budować, Jaśnie Wielmożny Panie. Po co budować?

— A jakże będzie?

— W każdym mieszkaniu mieszczą się dwie familie.

— Doprawdy? będą mogli zmieścić się?

— Oj, oj! czemuż-by się nie zmieściły? Czy to im wygod jakich potrzeba?

Mieściły się istotnie, bo i cóż miały robić? Parobek jest parobkiem, dlatego, że nim być musi, tu czy tam, ale musi. W Wólce pod innemi względami gorzej niż gdzieindziej nie było, a i z mieszkaniem nie wszędzie było lepiej. Niektórzy wybredzali i rzucali Wólkę po roku służby, inni siedzieli i po lat kilka, jak tam któremu można było i wypadło. Jasiuk służył tu już od dawna, mieszkając wspólnie to z tymi, to z owymi ludźmi. Przed rokiem dano mu za współników mieszkania młodego parobka Antośka i matkę jego Krystynę, których przeniesiono tam od

innego parobka, Maksyma, dlatego, że Maksym łącał Antośka od bękartów, a Maksymowa Krystynę parę razy za włosy po izbie ciągała, przypominając jej wszystko: jaką była i z kąd swoich dwóch synków wzięła. Jasiukowie byli spokojnymi ludźmi i umieli żyć w zgodzie ze wszystkimi. Z Krystyną i jej synem sprzyjażnili się nawet, dlatego może, że matka młodego parobka nie tylko nigdy kłótni pierwsza nie zawodziła, ale zaczepiona zmilczała, a dzieci Jasiuków strasznie polubiła i doglądać je pomagała matce tak, jak gdyby nie były jej cudzemi. Teraz, w drzwiach izby ukazując się, pozdrowienie wymówiła:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków — odpowiedziły jej trzy głosy męskie i jeden głos niewieści.

Jak wygląda izba ta? Była ona obszerną, ale bardzo niską, ze ścianami i sufitem prawie do czarności okopconemi, z podłogą ubitą z gliny i jednym małym oknem, przez którego ramy wlatywały powiewy marcowego wiatru. Bahrewicz miał słuszość, mówiąc: „Czy to im wygod jakich potrzeba?” Mogli byli opatrzyć okienko w ten sposób, aby wiatrów bożych do izby nie wpuszczało, jednak nie uczynili tego. Nie mieli może na to czasu, albo tak z wiatrami bożemi zżyli się, że bez przykrości odwiedziny ich przyjmowali. Dość obszerną będąc, izba ta miała pozór wielkiej ciasnoty, najprzód z powodu niskości swój, potem dlatego, że napełniało ją mnóstwo

gospodarskich sprzętów i statków, jako to: ław, stołów, krosien tkackich, których było dwoje, niecek, balij, wiader, garnków, narzędzi do tarcia i czesania lnu, motowideł, beczulek z kwaszonymi burakami i kapustą, worków zawierających kartofle, zboże niemlecie, mąkę i t. d. Róg izby zajmował piec z głębią czarną, jak otchłań, z przypiekiem i podpieckami. Na piecu widać było cztery bosc nóżki dziecięce, dobywające się z grubych koszulin, pod piecem spały trzy kury i jeden kogut, na przypiecku leżała kobieta, okryta kołdrą w domu utknaną, i chudą, ciemną ręką poruszającą od czasu do czasu kołyskę z łozy uplecioną i u belki sufitu na grubych, konopnych sznurach zawieszoną. W kołysce spało dziecko, kilka dni życia mieć mogące. Kobieta, leżącą na przypiecku, była Jasiukowa, słaba jeszcze po odbytych przed kilku dniami połogu. Zazwyczaj, nie robiła ona takich ceregieli... aby kilku dniami leżenia płacić sobie za sprowadzenie na świat nowego obywatela. Poleżała dzień jaki, *taj hodi*, wstała, jeżeli nie do wszystkich zaraz robót, to przynajmniej do skrobania kartofli, gotowania i doglądania starszych dzieci wracała. Tym razem jednak słabowała dłużej, niż zwykle, wychudła jakoś i wybladła. Niewiadomo dlaczego. Może tak sobie, wprost z bozkiego dopustu, a może i dlatego, że gdy półóg ciężki był i przedłużał się, wezwana z najbliższej wsi znachorka, na minutkę, na jedną minutkę

zawiesiła ją u belki sufitu, nogami w górę. „Aby się dziecko wyprostowało!” powiadała. Dziecko wyprostowało się snadź istotnie, bo zdrowo i cało na świat ten przyszło. Ale matka przyjsć jakoś do siebie nie mogła i wciąż jeszcze leżała, a że dnia tego i druga gospodyni mieszkania nieobecna była, wieczera późniła się znacznie. Jasiuk i Antosiek gotować ją zaczęli po powrocie z pola, które orali do zmroku, i następnie jeszcze po nakarmieniu i napojeniu swoich par koni, po umieszczeniu pługów we właściwem miejscu i krótkiej kłótni z innymi parobkami, przed drzwiami stoczonej, o jakieś więzie siana. Teraz przed ogniem, palącym się w piecu, drewnianą łyżką od czasu do czasu mieszając w garnkach, stał jeden tylko Antosiek, parobek młody, przystojny, z jasnymi, jak len, włosami i rażnóm spójrzeniem błękitnych oczu. Jasiuk, chłop barczysty, wąsaty, z ciemnym zarostem dokoła śniadój twarzy i ciemném, roztrópném okiem, siedząc na ławie za stołem, rozmawiał z gościem, mającym powierzchowność całkiem do jego powierzchowności niepodobną, parobek silny i barczysty wydawał się ociężałym, czy apatycznym. Siedział w postawie zgarbionój, łokcie na stole rozpościarał, z pod brwi gęstych dość łagodnie, ale chmurnie i jakby nieufnie spoglądał. Gość przecięwnie, suchy był, sprężysty, wyprostowany; zawieźdła, bladawą twarz jego z długim nosem i spiczastą brodą otaczał krótki, siwiejący zarost. Szare, małe

jego oczy patrzyły bystro, śmiało, zuchwale nawet; czasem, w błyskach ich świeciła srogość, czy chciwość. Ubranie miał z żółtawego sukna, ale wcale inaczej, niż chłopskie siermięgi skrojone, połyskujące metalowymi guzikami i brązowym medalem, u pętlicy zawieszonym. Na pierwszy zaraz rzut oka, z wyprostowanej i sprężystej postawy, z wyrazu oczu i kroju ubrania, można było w nim poznać dymisyonowanego żołnierza.

Rozmowy Jasiuka z gościem wejście Krystyny nie przerwało. Odpowiedzieli jej: „Na wieki *wieków!*” i wcale się nią dalej nie zajmowali. Ona kiwnęła głową synowi, który jej takim samém kiwnięciem odpowiedział, i przed ogniem stanęła. Czerwony blask płomienia oblał ją całą, wydatnie oświecając czarne od zabłocenia stopy, przemokłą odzież, kiść wysoką i zgrabną jeszcze, ale chudą i wyniszczoną, pasma włosów siwiejących i roztarganych, z pod chustki czerwonej i zmokłej opadających na czoło, którego skóra opalona i gruba, fałdowała się w mnóstwo zmarszczek i bruzd. Ona sama kończyła czterdziesty rok życia, a czoło jej miało lat sześćdziesiąt. Policzki jej były też zwiedłe, pomarszczone, barwy prawie pomarańczowej; czarne, wielkie, ogniste oczy i usta blade, lecz ślicznie zarysowane i przy rozchylaniu się ukazujące rząd śnieżnych zębów, były wśród zeszarganej się twarzy dwoma niby niedo-gorzałemi jeszcze brylantami młodości, dwiema przy-

pomnieniami o pięknej i hożej niegdyś Krystynie. Stanęła przed piecem, łokieć oparłszy na jednej dłoni; drugą brodę sobie podparła i wpatrzyła się w płomień. W zarysie drobnych jej ust, w sposobie, jakim sfałdowały się policzki, i w wyrazie nieruchomych źrenic, była przepaść smutku. Jasnowłosy parobczak mieszał w garnku zacierkę z sadłem i, patrząc na matkę, zapytał:

— I cóż, mamó?

Nie zmieniając postawy, ani kierunku spójrzenia, odpowiedziała:

— Nic, synku. Pójdzie Pilipek nasz na skraj świata i nie zobaczą już go oczy nasze. Widać, że dla nas biednych żadnego ratunku już niema.

Antosiek westchnął i głową pokiwał. W kołysce zaskwierczało dziecko; Krystyny zaduma prysnęła. O osuszaniu odzieży swój i rozgrzewaniu przemokłych nóg wcale nie myślała. Do przypiecka prędko podeszła i pochyliła się nad chorą. Poszeptaly coś z sobą, chorą stękając, obróciła się twarzą ku izbie, Krystyna wyjęła dziecko z kołyski i do piersi jej podała. Potém na skraju przypiecka, u szeleszczącego sianem wezłowie chorą usiadła i, ręce na kolanach złożonywszy, pierwszy raz na rozmowę Jasiuka z gościem uwagę zwróciła. Przed rozmawiającymi stała butelka z wódką i cynowa czarka. Częstowali się wzajemnie z grzecznością wielką, po każdej wychyleniu czarce zamieniając się wyrazami: „Na zdrowie!”

Wychylane czarki nie były jednak liczne. Jasiuk nie był pijakiem; co zaś do gościa, to jakkolwiek zaczerwieniony nos jego zdawał się świadczyć o amatorstwie gorących napojów, zostawał on teraz całkiem pod wpływem toczącej się rozmowy. Przekonywał o czemś Jasiuka, do czegoś nakłonić go usiłował. Z niedopitą czarką w rękę, wyprostowany, bystre i świecące oczy w twarz parobka wlepiając, mówił:

— *Jej Bohu, Jasiuku!* Żeby ja był na twojem miejscu, dawno bym już w swojej własnej chacie siedział, jadł, pił i o nikogo nie dbał. Czy tobie tak dobrze na parobkowskim chlebie, że *dziadzkowi* (stryjowi) na swojej własnej ziemi pałanować pozwalasz?

Parobek ciemnowłosą i ciężką głową z wolna potrząsał.

— Oj, dobrze! — odpowiedział — *kab moim nieprzyjacieliom* tak dobrze było! A co robić? Człowiek dzieckiem był jeszcze, kiedy źli ludzie skrzywdzili, zwyczajnie sierotę bez ojca. Jak tylko ojciec zmarł, *dziadźko* zaraz cały grunt i *usadźbę* i wszystko na swoje imię, znaczy, przepisał. Mnie, mówi, *kamiś* *syna* gospodarzem zrobiła, ta i grunt cały mój; a brat, mówi, u mnie parobkiem był, i do bratniego syna tu, *znaczy*, nie nie należy. Ludzie mnie poradzili, żeby do sądu szedł, a on *hadwokata* sobie najął takiego, że jak zaczął szczeakać, tak i wszystko wyszczeakał, czego

chciał. A ja, *znaczy*, już i bez niczego został, *taj* z gospodarskiego syna zrobił się parobek...

Z wolna ręką machnął i wódki trochę do czarki wlawszy, głową ku gościowi skinął:

— Na zdrowie! — rzekł.

— A co robić? — mówił dalej — co przepadło, to i przepadło. *Nad sieratoju, Boh z kalitaju!* Z żonką i dziećmi z głodu nie pomrzemy. *Teszcz* (ojciec żony) sto rubli posagu dał... Bogaty... ogrodnikiem służy... Dał-by i więcej... „Jak ty, Jasku, mów, będziesz miał za co kawał ziemi kupić, drugie, mówi, sto rubli dam...” Ot, może da Pan Bóg Wszechmogący, że i kupię... to żonka zarobi... to z pensyi zostanie się.. siaki taki grosz jest...

— Dużo? — chwile zapytał ex-żołnierz.

Chłop uśmiechnął się przebiegle. Skrytości ostrożność wzięła w nim górę nad gawędziarstwem, pobudzoną wódką.

— Sam *niewiedaju* — pół-seryo, pół-zartobliwie odpowiedział — może dużo, może nie dużo... a *taki* jest...

— No, a *hetaż* ziemia, co *dziadźko* tobie ukradł, to tak już i przepadnie?

— A co robić? — westchnął Jasiuk. — Może moja *prauda* była, a może jego *prauda* była. Niech nas Bóg sądzi.

— Oj ty, durniu! — z dziwną rażnością i energią zawołał żołdat — i ty sobie myślisz, że to już skoń-

czone, zapieczętowane i przepadło? Milczysz i cierpisz. A nie możesz to ty teraz także *hadwokata* sobie nająć i *dziadzkę* do sądu za swoją krzywdę pozwać? Czy to on jeden *hadwokata* mieć mógł? A ty nie możesz? he? Ja twój interes z *dziadźkiem* znam, jak swoją rękę. *Jej Bohu*, te jego pretensye nie nie war-te i *dawność* (przedawnienie) jeszcze nie nastąpiła. A *hapelacya* od czego? A *zierkało w palacie* czego?... Ej!...

Wskazujący palec w górę podniósł i w powietrzu nim kręcił.

— Ej! ej! — powtórzył — ty *pałaty* nie widział. Ja widział. *Wielikaja* taka sala, jak kościół, a w niej stół, czerwonym *suknem* nakryty, a przy stole jaśnie wielmożne pany siedzą w mundurach złotem wyszy-wanych i sądzą...

— Złotem wyszywanych... — powtórzył Jasiuk, który tak ciekawie wsłuchiwał się w mowę gościa, że usta nieco otworzył.

— A cóż ty myślał? że w takich siermięgach, jak ty? Od złota błyszczą... na stole *zierkało* stoi...

Tu z uszanowaniem pochylił głowę; Jasiuk we-stchnął.

— Przed *zierkałem* cesarskim, przed stołem czer-wonym, przed jaśnie wielmożnymi panami, co od zło-ta błyszczą, stoją *hadwokaty* i mówią... Tak i tak, ja-śnie wielmożny sądzie, mówią... tak i tak, mówią...

a sąd milczy i słucha... Słucha, słucha, potem wsta-je i wychodzi...

— Wychodzi! — powtórzył Jasiuk takim tonem, jakby żałował, że kończy się już piękna i zajmująca bajka.

— A nu, wychodzi; *taj* cóż, że wychodzi? Idzie sobie do drugiego pokoju, żeby pogadać o tém, co *hadwokaty brechali* (szczekali). Potem powraca... wszyscy wstają... a najstarszy z sądu, *jewo prewoscho-ditielstwo* z papieru głośno czyta: „*Isk* Jasiuka Har-bara za sprawiedliwy przyznać, dziadźce jego Pawlu-kowi Hrabaru grunt i sadzibę odebrać i Jasiukowi oddać.”

Na to niespodziane zakończenie, Jasiuk Harbar głowę podniósł, chmurne oczy jego żywo błysnęły.

— Aha! — zawołał — żeby to tak było...

— Dlaczego nie ma być? — z pozorną flegmą od-parł ex-żołnierz — żeby ty Jasiuk tylko chciał, toby było... Ja-by tobie takiego *hadwokata* nastreczył, co tak pisze, że aż sam *ministyr* dziwi się, a jak zacznie *brechać*, to aż sąd gęby otwiera i obydwoma uszami słucha...

Jasiuk ożywił się znacznie.

— Czy to ten sam, co to Hryńskich chłopów pro-ces z Dzielskim prowadzi? — zapytał.

— Ten sam; a ty jego widział?

— Widział, zdaleka... Przejeżdżał ja z sianem

przez Hrynki i widział, jak z Hryńskimi przed karczmą rozmawiał. *Każec się wielmi mądry?*

— Ho, ho! — potwierdził gość — jaż tobie Jasiuk mówił, że jak on napisze, to sam *ministyr* dziwi się...

— *Musić i wielmi bohatyj*, taki *zolocisty* łańcuch na brzuchu ma...

— Jéj! jéj! bogaty... Czemu bogaty nie ma być? Ludzie do niego, jak do kościoła chodzą... A od kogo proces weźmie, to zawsze wygra, *jej Bohu*, zawsze.

— Zawsze? — zadziwił się Jasiuk.

— Zawsze — potwierdził gość — taki już jego rozum. Co on już ludziom napomagał, haj! każdemu pomoże... Żeby tam nie wiem jaką biedę kto miał, jak on ją w swoje ręce weźmie, szczęście z niej zrobi...

Parobek zamyślił się głęboko, i po dobrej minucie zaledwie głowę podniósł.

— Słuchaj-no, Mikołaj! — ciszej, niż wprzód mówił zaczął — *a wielmi dorohij hetyj hadwokat?* (a czy bardzo drogi ten adwokat?).

Mikołaj zsunął siwe brwi i, przebierając w powietrzu palcami, mruczeć coś zaczął. Dokonywał wyraźnie jakiejś tajemniczej, arytmetycznej operacji.

— Ot i nie bardzo drogi — rzekł głośno — pięć procentów bierze... nigdy więcéj, broń Boże, nigdy więcéj, jak pięć procentów...

— *Sztoż heto hetyja pracency?* (Cóż to te procenty?)

— To taka oplata — wytłómaczył Mikołaj — tę opłatę to już trzeba jemu dać... Bez tego nie można... Kiedy on tobie powie: „Jasiuk, daj mnie na ten interes sto rubli”, znaczy: daj jemu sto rubli... to będzie pięć procentów od tego, znaczy: majątku, o którym proces jest... O! A kiedy on tobie powie: „Jasiuk, daj *hrosze* z góry!” znaczy: daj z góry, bo jak nie dasz, on na ciebie i spojrzeć nie zechce... A na co ty jemu? Czy on takich, jak ty, *dziela* prowadzi? Drogo on od ciebie nie weźmie, pięć procentów weźmie, więcéj nie weźmie... Ale to już trzeba... Bez tego już nie można... Czy ty jemu brat, albo swat, żeby on tobie darmo robił?

Widoczném było, że mowy Mikołaja Jasiuk słuchał z całej duszy i ze wszystkich sił swoich, całkowitego jég sensu zrozumieć nie mogąc. Te procenty były dla niego zagadką zupełną i zarazem imponowały mu, onieśmieliły go bardzo, i w rozum Mikołaja, w który wprzód już wierzył, większą jeszcze ufność budziły.

— Znaczy — rzekł — żebym do niego szedł z prośbą, o tę... znaczy... ziemię, co mi dziadźko za brał; trzeba jemu kilka groszy odrazu zanieść...

— Bo ja wiem? (albo ja wiem?) może pięć procentów od téj ziemi może dwadzieścia rublow wypadnie... może trzydzieścia wypadnie...

— Niech *budzie* dziesięć!... — zaczynał już targować się parobek.

— A pójdziesz jutro do niego? — z roziskrzone mi oczyma zapytał żołnierz — on jutro *czuć świat* (o świecie) z Leśnej wyjedzie i do karczmy hryneńskiej zajedzie, żeby z Hryneńskimi rozmówić się... Jeśli ty Jasiuk tam przyjdiesz, ja ciebie jeszcze zarekomenduję... *jęj Bohu* zarekomenduję... Ty mnie nie cudzy, ja ciebie ot, takim maleńkim znał... ty z Hrynek, i ja z Hrynek... jak ja do wojska szedł, ty ot taki maleńki był...

Z rozrzwienia zapewne utarłszy palcami nos, z kieszeni szynela wyjął czerwoną, perkalową chustkę i otarł nią sobie wąsy.

Chłop zamyślił się. Jedną rękę zatopił w gęstwinie twardych, ciemnych włosów, drugą nieruchomie trzymał na stole. Wzrok utkwiał w stół. Wahał się i namyślał. Walczyły w nim sprzeczne uczucia: zamięłowanie spokoju i dawne, dziś rozbudzone zażalenie do stryja, obawa wypuszczenia z rąk posiadanych pieniędzy i żądza odzyskania utraconej ziemi.

W tej samej chwili, na stole zjawił się bochen czarnego chleba i misa dymiącej zacierki z sadłem. Chleb wraz z wielkim nożem w drewnianym trzonie, przyniósł z komory Antosiek; zacierkę, Krystyna tylko co z garnka do misy przelała i na stole postawiła. Położyła też przy misie cztery drewniane łyżki i, ręce pod piersi skrzyżowawszy, w nieruchomej postawie, przenikliwym wzrokiem w twarz Mikołaja patrzała. Jasiuk chleb krajał, Antosiek niecierpliwie z łyżką

w rękę czekał, aby starsi do jedzenia zacierki hasłotali. Ona zaś stała i na ex-żołnierza patrzała. Ten zaśmiał się.

— A tobież co, Krystyna? — żartobliwie zapytał — wytrzeszczyłaś na mnie oczy tak, jakbyś mnie pierwszy raz na tym świecie widziała.

Nie spuszczać z niego wzroku, powoli i w zamyśleniu mówić zaczęła:

— Nie pierwszy ja raz, Mikołaju, widzę ciebie na tym świecie... Nie cudzy ty mnie, tak jak i Jasiukowi... Ty z Hrynek i ja z Hrynek, wszyscy my z Hrynek, tylko, że ja biedna sierota była, nad którą nigdy nikt litości nie miał. Miej-że ty, Mikołaju, teraz litość nademną... Dopomóż, poratuj... Słuchała ja, słuchała tego, co ty Jasiukowi mówił... kiedy ten *wieliki hadwokat* jemu dopomódz może, znaczy, i mnie może, kiedy wszystkich ratuje, znaczy i mego Pilipa wyratuje...

Przestała mówić, wyraz jej oczu z przenikliwego błagalnym stał się. Mężczyźni jedli już zacierkę; Mikołaj, po małych korowodach z Jasiukiem, także jeść ją zaczął. W wyprostowanej wciąż postawie, łyżkę od misy do ust i od ust do misy bardzo powolnym ruchem przenosił, a ile razy gęste i zjełczałą okrasą cuchnące jadlo przełknął, tyle razy zwierchnię stroną lewej ręki usta i wąsy sobie ocierał. Przytém na Krystynę patrzył i żałośliwie głową kiwał.

— Oj, że bieda będzie Pilipkowi twemu, to bie-

da! — prawil. — Nie lekkie już i tak życie żołdacika młodego, co go od fartucha macierzyńskiego wezmą i: „w szereg! prostuj się!” postawią. „Broń na ramie! broń do nogi! na prawo! na lewo! marsz!” A tu, broń ty Panie Boże mój, nóżkę nie tak, jak trzeba postawi, feldfelbel przyskakuje i kułakiem pod brode...

Słowa musztry Mikołaj wykrzykiwał grubym głosem, przyczem brwi okropnie marszczył i giestem pełnym energii, łyżkę ociekającą z zacierki do wysokości głowy swój podnosił. Za każdym razem, gdy w ten sposób krzyknął i nasrożył się, powieki Krystyny szybko mrugać i fałdy czoła jej boleśnie drgać zaczynały; Antosiek zaś łyżkę przy ustach zatrzymywał i naiwnymi oczyma w opowiadającego wpatrzony, stłumionym głosem wykrzykiwał:

— O Jezul

— Nie lekkie, nie lekkie już i tak życie żołdacika młodego — prawil dalej ex-soldat — ale tam, gdzie Pilipka twego wysyłają, gorzej będzie... Ja tam był, wiem... Skóra ze mnie od mrozu zlażyła i w *żywocie* (w żołądku) wszystko zastygło... Bywało, co przełknę, to w czysty lód przemienia się... W łazarecie mnie położyli... sześć miesięcy leżałem na żółtą *traseę* (febry) i taki żółty zrobiłem się, jak słoneczniki... A kiedym z łazaretu wyszedł, rodzona-by mnie matka nie poznała. Będzie tak samo i Pilipkowi twemu, matulu, oj będzie... tylko gorzej jeszcze, bo ja byłem

zdrowy i silny chłop, to wytrzymałem, a on, mizeractwo takie, nie wytrzyma... *jej Bohu* nie wytrzymał

Krystyna, która także zaczęła była jeść, trzymała łyżkę zawieszoną w powietrzu, twarz jej skamieniała, jakby w przerażeniu. Nagle jęknęła, łyżkę rzuciła i obu rękoma schwyciła się za głowę. Pochyliła głowę aż na ławkę, przechyliła się w obie strony i jęczała.

— Bożeż mój, Boże! Bożeż mój, Boże!

Antosiek przestał jeść i, nad lamentującą matką stanawszy, powtarzać zaczął:

— *Hodzi* (dość) mamol nu *hodzi! hodzi!*

Nie dotykał jej wcale i nie więcej nie mówił, ale ten jeden wyraz coraz natęczywiej i żałośniej wymawiał.

— *Hodzi!* — grubymi głosami powtórzyli Jasiuk i Mikołaj. Ostatni zaś mówić zaczął:

— Ej głupia! głupia babo! czego ty jęczysz i lamentujesz, i Pana Boga nadaremno wzywasz? Pan Bóg tobie już zesłał szczęście. Pan Bóg tobie już zesłał takiego pana, co twego Pilipa wyratuje. Tylko ty mnie poproś, żeby ja cię jemu zarekomendował, a już jak on tylko zechce, to twego Pilipka w bliskości zostawią, *jej Bohu* zostawią; ot może i do Hrynek na kwaterunek zimowy przysła...

Krystyna, jakby ją mocna ręka jakaś podniosła, wyprostowała się w mgnieniu oka i do Mikołaja przypadła.

— Dobrodzieju! ojcze! braciszku rodzoneńki! zarekomendujcie i prosić tego pana mnie pomóżcie!

Mówiąc to, całowała łokieć ex-soldata, zdawało się, że wnet kolana jego całować zacznie.

— Nu, to i dobrze! — z rozbłysłemi, siwemi oczyma zawołał Mikołaj — ale — dodał — pięć procentów zapłacić trzeba... bez tego, nie... pięć procentów, o! jeżeli babo masz pieniądze...

— Mam, dobrodzieju, braciszku! Mam krwawicę moję, com ją sobie przez dwadzieścia lat dla synów swoich i na śmierć swoją zbierała... Co dla Antośka, to zostawię, a co dla Pilipka, to oddam; niech jemu na wybawienie będzie... Pracowała ja, harowała, żęła, pleła, najmowała się do wszystkiego, skórę sobie pracą z rąk zdzierała, z postem jadła, boso chodziła, a wszystko dla nich zbierała...

Mówiąc o zdzieraniu z rąk skóry, wysuwała pod światło łuczywy, w szczelinie pieca palącój się, ręce swe małe, wychudłe, tak prawie czarne, jak zorana ziemia, z palcami powykrzywianemi i pełnemi guzów od sierpa, koromyseł (wiadro do noszenia wody), kopania ziemi i tym podobnych robót herkulesowych, przez dziewiętnaście lat, bez najmniejszój przerwy pełnionych. Że z postem przez te dwadzieścia lat jadła, nie trudno było uwierzyć, bo w ten nawet wieczór marcowy, stopy jęj były obute tylko w warstwę błota. Mikołaj spójrzaniem, które-by można było

sarkastyczném nazwać, postać nędzarki tęj ogarnął i usta wykrzywił.

— Wiele ty tam możesz *hroszy* mieć? — rzekł niedbale — pewno na pięć procentów nie wystarczy?

Krystyna zlekła się widać, że o brak środków ją podejrzewając, protekcyę swą cofnąć zechce, pięścią w pierś się uderzyła.

— Mam! — zawołała — dalibóg, mam! wystarczy!

— No, taj wiele ty tam masz?

Skrzyżowała ręce na piersi i mówić zaczęła:

— O, powiem tobie, Mikołaju, wszystko, jak księdzu na spowiedzi.. Sto rubli ja mam dla Antośka, sto rubli dla Pilipka i sto rubli dla siebie na śmierć... żeby mnie, jak umrę, synkowie pięknie pochowali, w trumnie pięknej, z księdzem i z chorągwiami... Żyła ja w ciężkiej biedzie, niechże mnie pochowają w bogactwie... i niech synkowie dziadom groszyki dają i księdzu na mszę za moję duszę, i na mogiłce mojęj malowany krzyż postawią. Ot, co ja mam; ciężką pracą uzbierałam. Z postem jadłam, bosa chodziłam, harowałam i uzbierałam. Sama, prócz Pana Boga, nikt nie pomagał.

Zwierzanie to rozpoczynała z niechęcią, i tylko pod groźbą stracenia protekcyi Mikołaja. Ale przy ostatnich wyrazach wyprostowała się, zwiędła twarz jęj wypogodziła się i jakby odmłodziła, czarne oczy

błysnęły. Rzecz zdumiewająca! błysnęły one uczuciem dumy.

— Sama pracowałam, sama uzbierałam. Nikt nie pomagał! — powtórzyła.

Gdy tak stała wyprostowana i szczerém, błyszczącym okiem na dwu mężczyzn patrzyła, a drobne, blade jęj usta rozchyliły się łagodnym uśmiechem, z nędzarki spracowanej, ze sponiewieranęj glisty ciemnej, przemieniła się w czującego wartość i godność swą człowieka.

Mikołaj ze zdziwieniem na nią spoglądał. Psychologiczny moment, w którym odkwitała i rosła ludzka dusza tęg kobiety, całkiem uwagi jego uniknął, ani by go mógł on w najmniejszym stopniu zrozumieć. Ale zdumiewały go usłyszane cyfry. Wyraz radości przebiegł mu po twarzy.

— Nu baba! — krzyknął — haj, żebym ja był z taką ożenił się, to-bym teraz światem trząsł. Ale moja dyablica w świat sobie wyruszyła, dzieci mi na karku zostawiając... Wracaj do chaty żołdacie, a niewiasty twojęj w nięj ani dudu! Gdzie ona teraz *heta* Maryska moja, gdzie!...

Na chwilę zapomniał o Krystynie, głową trząsł, coś nawet wilgotnego zamgliło mu siwą źrenicę. I w tęg piersi, na dnie, wspomnienie jakieś smutnie szeptało, żal jakiś czasem załkał... Krótkim jednak było to egotyczne rozrzewnienie ex-soldata, który z wojskowej służby do chaty wróciwszy, Maryski swęj

w nięj nie zastał. Dziwnie namiętnie zajmowały go sprawy bliżnich.

— Nu — rzekł — *tak* przychodź i ty jutro do hryneńskieję karczmy z Jasiukiem.

Jasiuk jakby się ze snu obudził.

— Kiedy bo — rękę we włosach topiąc, zaczął — kiedy bo ja sam jeszcze *niewiedaju*, jak *zrobici*... Iść, czy dać pokój...

W tęg chwili, z pod pieca ozwał się głos słaby i łagodny:

— *Idzi*, Jasiuku, *idzi*... Nie odrzucaj łaski pańskieję... poprobuę... Może tobie ziemię przysądzą i bieda nasza skończy się... Oj! bieda moja, że ja taka słaba... sama-by poszła i do nóg temu panu pokłoniła się. *Idzi*, Jasiuk, kiedy Boga boisz się, *idzi*! Ja *nieduża* (słaba), prędko może zamrę, niech umierając wiem, że ty na parobskim chlebie żyć przestał i dzieci...

Nie mogła dokończyć. Tak była słabą, że głosu jęg zabrakło. Stęknęła tylko i zawołała Krystinę, aby dziecko od nięj wzięła i do kołyski włożyła. Jasiuk patrzył chwilę w głębok ten cień, z którego przemawiała do niego chora żona i w którym zcichaskwierczało kilkodniowe dziecko.

— Nu — rzekł, wstając — *dobre! pajdu!* Niech co chce będzie, *pajdu!* Kilka *hroszon* z sobą *ważmu*. Może Pan Bóg ulituje się i wynagrodzi...

Mikołaj promieniał.

— Nu — zawołał — napijmy się!

— Napijmy się! — powtórzył Jasiuk, który widocznie donośnym głosem i energicznymi gestami resztę wahaną się i niepokoju zagłuszyć w sobie usiłował.

— Na zdrowie!

— Na szczęście!

— Pij, Krystyna!

Wzięła z rąk Jasiuka czarkę i, odwróciwszy głowę, a łokciem twarz sobie zasłoniwszy, do połowy ją wypila.

— Pij! — nalegał rozochocony Jasiuk.

— Pij, taj Panu Bogu za szczęście swoje dziękuj! — krzyczał Mikołaj.

— Nie mogę — tłumaczyła się kobieta — daleko, nie mogę! Nie piła ja nigdy wódki, bo i *hroszy* żałowała i pijaczką zrobić się strasznie lękała się... Tyle co mogłam, za zdrowie dobrych ludzi wypilałam... więcęć nie mogę...

Wiedzieli istotnie, że nigdy więcęć nad pół czarki wódki nie wypijała i dali jęć pokój.

Natomiast zwrócili się do Antośka:

— Pij, parobku! — wykrzykiwał Mikołaj. — Sołdaciem nie będziesz, przy staręj matce cię zostawili...

— Pij — dorzucał Jasiuk — *na dobruju żenitbu i szczastliwiju dolu...* (za dobry ożenek i szczęśliwą dolę).

Antosiuk głupowato trochę uśmiechając się, względami starszych widocznie uradowany, rękę po czarkę wyciągnął.

— Nie waz się! — krzyknęła Krystyna i przed synem stanęła z takim wyrazem w postawie i twarzy, jakby go ciałem swém przed zabójczą kulą zasłaniała.

— Puszczajcie, mamol! — próbując usunąć ją, zaczął rozochocony parobczak.

— Nie waz się! — powtórzyła, i tak na niego patrzała, że spuścił głowę i zmieszany od stołu odstąpił. Ona zaś do dwu starszych mężczyzn mówić zaczęła:

— Sama ja nie piła i im nie pozwalała. Sama pić nie *stanę* (nie *zacznę*) i dopóki żyć będę, im nie pozwolę... Oni nie *takie jak drugie...* matki wolę szanować...

Postawa i mina Antośka świadczyły o prawdziwości jej słów. Stał ze spuszczonej oczyma, nie myśląc już nawet rwać się do wódki. Ona mówiła dalej:

— Wyróśli oni u mnie nie na pijaków i nie na złodziejów... Strzegła ja ich od pijaństwa i od wszelkiej obrazy bożkiej, jak od ognia... Od małości do posłuszeństwa i do pracy przyzwyczajala. Widzieli oni, jak ja na nich *harowała*, za nimi świata nie widziała, to i żalowali mnie i słuchali. Ot, jak ja ich *pohodowała*. Sama. Prócz Pana Boga, nikt nie pomagał.

Jasiuk i Mikołaj, w dowód twierdzenia czy uznania kiwali głowami. Antosiek zbliżył się do matki i w rękę ją pocałował, ona go po lnianych włosach pogładziła, ale zaraz do Mikołaja zwróciła się. Tamten, oddalony i zagrożony, jak ostry kolec tkwił w jej sercu. Zaczęła znowu prosić ex-żołnierza, aby za nią tego wielkiego *hadwokata* prosił.

— Już my we dwoje z Jasiukiem przyjdziem, i czego mój babski rozum odpowiedzieć nie potrafi, Jasiuk rozpowie.

Ex-soldat wstał z ławy i zegnał się z gospodarzem mieszkania. Wypitym trunkiem nie pijani, ale nieco rozczerwieni, obejmowali się ramionami i rozgłośnie cmokali się w policzki. W kilka minut później, w izbie było już zupełnie ciemno i cicho. W przyległej za to komórze, świeciło się przez szpary we drzwiach i słychać było stłumione szepty. Krystyna siedziała tam na ziemi, przed otwartą niewielką skrzynką, a za nią stał Antosiek, z kawałkiem zapalonego łuczywa w ręku. Kobieta śpiesznie zgarnęła na bok trochę odzieży swojej i syna i z pod niej, z samego dna skrzynki wyjęła przedmiot jakiś podługowaty i mający kształt wąskiego worka, w górze mocno sznurkiem związanego. Była to czéms wypchana, gruba niciana pończocha. Krystyna rozwiązała mnóstwo węzłów, na jakie sznur był związanym i naprzód wydobyła z pończochy dwa papiery jakiegoś żółtkłego, czerniałego, z poobdzieranymi rogami,

które z poszanowaniem wielkiem ze wszech stron obejrzawszy, ostrożnie, jakby to było szkło, które stłuc się mogło, na stronie położyła. Były to urzędowe świadectwa o pochodzeniu jej i jej syna, jakoteż różnych prawach, na tym świecie przez nich posiadanych. Licznymi i wspaniałymi prawa te nie były, ale bez tych świadectw, zredukowałyby się całkiem do zera. Był to więc skarb, którego Krystyna strzegła, jak oka w głowie; po wyjściu zaś jego z pończochy, okazał się skarb drugi: asygnatki jedno i najwyżej trzyrublowe, jakoteż srebrne czterdziestówki, złotych i dziesiątki, a nawet trochę monet miedzianych. Widocznie wkładała ona w pończochę to wszystko, co na razie posiadała, mało czy wiele, co popadło. Za dzień plenia—czterdzieści groszy; za dwa dni żniwa—cały rubel; za przyniesienie wody koromysłami gospodyni namiestnika—sześć groszy; za grabienie siana—dwa złote; za całe dwa tygodnie żniwa—dwie trzyrublówki, trzecia za trzy miesiące dojenia krów u pachciarza, czwarta i piąta zaoszczędzona z parobkowskiej pensyi Antośka, i t. d., i t. d. Ile razy na jutro i pojutrze były dla niej i dla synów krupy jęczmienne, kartofle, chleb i sól, tyle razy grosz każdy, w rękę wpadły, chował się w głębinach nicianej pończochy. Chowały się tam one przez lat dziewiętnaście.

Teraz Krystyna liczyła asygnatki. Liczyłaby długo, gdyby nie pomagał jej w tém syn. Parobczak,

którego jakiś mędrzec wioskowy, ex-żołnierz także, na żądanie matki czytać, pisać i rachować uczył, czytać umiał tak mało, że prawie nie, pisać wcale nie umiał, ale rachował niezłe. Miał widać do rachunków szczególną zdatność, i matka go do nich więcej, niż do czego innego napędzała. Wspólnemi tedy siłami przeliczyli sto rubli. Krystyna przez chwilę trzymała je w ręce, synowi w oczy patrząc.

— To Pilipka pieniądze — rzekła.

Parobczak kiwnięciem głowy odpowiedział:

— Wiem.

— Ciebie ja nie skrzywdzę... twoich nie poruszę...

Antosiek ręką machnął, co znaczyć miało znowu:

— Co mi tam!

Błyszczącemi jednak oczyma spozierał w głąb' pończochy. Pomimo filozoficznej obojętności, przez szacunek dla matki okazanej, widoczném było, że pieniądze, na jego własność przeznaczone, srodze go obchodziły. Krystyna w jednej ręce asygnaty trzymając, na drugiej twarz wsparła i zamyśliła się. I ją także, jak przed godziną Jasiuka, zdjął może niepokój o ten grosz, krwawo zapracowany. Z innej strony, w głowie jój, niby wicher, szumiały słowa Mikołaja: „Skóra ze mnie od mrozu złąziła i w żywocie wszystko zastygło... Sześć miesięcy żółta *trasca* mię trzęsła...”

— Jezul — jęknęła kobieta i prędko związywać zaczęła pończochę, odzież ją przykrywać i skrzynię

zamykać zaczęła. Wydobyte pieniądze w zanadrze chowając, półgłosem rzekła do siebie:

— Może Pan Bóg Najwyższy zlituje się...

Wróciwszy do izby, na piec wlaźła. W grubych ciemnościach słyhać było chrapanie dwu uspiomych na ławach mężczyzn, sapanie śpiących na piecu dzieci, ciężki i ochrypły nieco oddech Jasiukowej. Wkrótce z chórem tym złączyło się i podchrapywanie Krystyny. Zasnęła także. Dokoła ścian wiatr szumiał, deszcz pluskał. W stojącej za ścianą kałuży, a w połowie nocy, rozległo się po izbie wołanie:

— Pilip! Pilip! Pilipku!

Imię to, powtarzające się długo, długo brzmiało w ciemnościach różnemi tonami: to przyciszonym szeptem, to z krzykiem trwogi, to z zawodem śpiewnym, przypominającym jękliwą pieśń, z jaką żniwiarki wracają z pola do domu. Jednak kobieta wymawiająca je tak i wyśpiewująca, spała. I wszyscy około niej spali. Nie było komu budzić jój ze snów ciężkich: nikt nie odrywał od pościeli głowy o nią niespokojnej. Nad ranem Jasiuk i Antosiek chrapać przestali; dzieci i chora spali kamiennie i cicho. W tej ciszy głębokiej i w szumie wiatru za ścianami, kilka razy jeszcze senny głos kobiecy żałośliwie zawiódł:

— Pilip! Pilip! Pilip!

Tak o świcie, w gęstej i mokrej rosie, zziębła

przepiórka sennym głosem odzywa się do swych piskląt.

Świt okno izby pomałował na sino. Na podwórzu koguty śpiewały to razem, to jeden po drugim. Wróble ogłuszająco zaświegotały pod oknami dachów i w bezlistnych, mokrych gałęziach rozłożystej wierzby. W czworaku ruch powstał. Za cienką ścianą rozległ się krzyk Maksymowej, największej złoŃnicy z całej kobiecój ludności folwarku. Dziecko jakieś płakało tam, krzycząc w niebogłosy, bite może przez matkę. Inne głosy dziecięce, wesole, ozwały się w sieni, a potem na podwórzu, szczebiotaniem swém przygłuszając szczebiót wróbli. Parobcy wstawali, poziewali głoŃno, wkładali kozuchy i wychodzili do obór i stajni. Ciężkie ich kroki tentniały dokoła czworaku po zmoczonój ziemi. Pies folwarczny, wielki kundys żółty z kiściastym ogonem, biegł po dziedzińcu, ujadając we wszystkie strony; wypuszczone z podpieków kury zanosły się przeraźliwém gładaniem. Kędyś, u obory, brzmiał donoŃny głos *namiestnika*, wydającego rozkazy i naganiającego parobków do raźnego ich spełniania. Tu i owdzie, przesuwaly się przez dziedziniec zielonawe i żółtawe wzgórza, w pary nóg zaopatrzone. Byli to parobcy, niosący na plecach z siennic i stodoły do stajni i obór ogromne więzie siana i słomy. Wszystkie okienka czworaku i okienka innėj jeszcze budowy, w którój mieszkali: *namiestnik* i pachciarz, zaświeciły złotawo

od rozpalonych ognisk. Po chwili, z kominów wywinęły się nici dymu, które potem zwiyały się w kłęby i wilgocią powietrza w dół parte, rozwiewały po dziedzińcu szarą mgłę i ostrą woń sadzy. Deszcz nie padał, ale wszystko na świecie: niebo, ziemia, drzewa, dachy i płoty, zdawały się być tylko co wyjętymi z wody. Parobkom, pomimo ruchu i pracy, nie ciepło być musiało. Chłodna wilgoć marcowego poranku rosła żółte skóry ich kozuchów. *Namiestnik*, młody i żwawy chłopak, z donoŃnym głosem, ubrany w kozuszek, tēm tylko różniący się od parobkowskich, że był krótki i powleczoney sukmem, w grubém obuwiu, sięgajacém kolan, zacierał czerwone ręce i pośpiesznie zakładał wypasionego konika do zielono pomałowanego wózka. Przytēm pogwizdywał wesole. Do parafialnego kościoła jechać miał, bo była to niedziela. Bydło, owce i konie opatrzonemi już zostały; teraz, na dzień cały, swoboda i odpoczynek wszystkim starszym i młodszym pracownikom Wólki.

Kobiety tylko odpoczynku nie miały. Warzyły u ognisk strawę ranną i południową, w baliach lub nieckach kąpały dzieci, czesały je i przyodziewały w czyste koszule. To kąpanie, czesanie i ubieranie w czyste koszule dzieci odbywało się raz tylko w tydzień, w niedzielę, ale z punktualnością wielką. W izbie Jasiuka, dokonywało się ono tak, jak i we wszystkich innych. Jelena, jakkolwiek chora, zwlokła

się z przypiecka i z pomocą najstarszej dziewczeczki swjej, dziesięcioletniej Nastki, robiła co mogła. Była to pomoc dzielna. Nastka przyniosła drzewo i wodę, rozpałała ogień, postawiła przed ogniem garnki z wodą i jęła czesać młodszego brata. Jelena dyrgowała tylko czynnościami córki, wsypała do garnków krup i soli, i już zmęczona, na przypiecku siadłszy, kartofle obierać a raczej nożem oskrobywać zaczęła. Była to kobieta młoda jeszcze, szczupła, z twarzą bladą i zmęczoną. Ciężka słabość wyglądała z chudości rąk i smutnego wyrazu błękitnych oczu. Siedziała na przypiecku w postawie skurczonej, z bosemi stopami, wysuniętymi z pod siniej spódnicy. Oskrobywaną z kartofli łuskę starannie zrzucała do cebrzyka, na pokarm dla sporego wieprzaka, który teraz właśnie, charkając i szukając pożywienia, zwijał się pod stołem i ławami. Od czasu do czasu też upominała małego Józika, który z pod grzebienia starszej siostry niecierpliwie wyrwał się do wieprzaka, albo wyciągając rękę, poruszała kołuskę z łoży, w której cicho leżało najmłodsze z dzieci. Pomiędzy Józikiem a tém najmłodszym, przychodziło Jasiukom na świat jeszcze dzieci troje i niemowlętami kładło się do malutkich mogilek. Nic więc dziwnego, że Jelena, trzydziestu lat nie mając, pozór miała słabości i zmęczenia. Rodzić dzieci ciężko, grzebać je—smutno.

Jasiuka i Krystyny w domu już nie było. Oboje

wyszli zaraz, gdy tylko parobek ukończył obowiązkowe swe roboty. Poszli do karczmy hryniewieckiej, o wiorstę odległej od Wólki. U końca Hrynek, długiej i dostatnio zabudowanej wsi istniejąca, karczma ta miała dużą izbę, ławami i stołami otoczoną, po jednej stronie sieni, a długą, ciemną stajnię po drugiej. Do stajni, podróżni wjeżdżać mogli przez ogromny, bezkształtny otwór, zowiący się bramą, i zwrócony ku drodze, która wązkim, pełnym dołów i kolein pasem, przerywała równinę pól. Z owiej dużej izby z ławami, stołami i olbrzymim, czarnym, jak sadza, kominem, wąziutkie drzwiczki prowadziły do malutkiej izdebki, którą zamieszkiwała rodzina arendarza. Wszystkie ściany i sufity były tam zczerniałe i chropowate, wszystkie podłogi ubijane z gliny i od mnóstwa stóp, które oddawna je deptały, pogięte w głębokie doły. Sporym oknom niedostawało szyb wielu, zastępywanych szmatami starego papieru; te, które trzymały się jeszcze próchniejących ram, zielonawe i mętne, tyle tylko wpuszczały światła, aby w izbie panować mogła wieczna szara godzina.

Teraz, w izbie tej było tłumnie i gwarno. Hryneńscy chłopci zeszli się tu w celu zobaczenia się i pomówienia raz jeszcze z adwokatem swym, który od lat już dwóch prowadził proces ich o łąki i orne grunta, przeciw dawnemu ich dziedzicowi, Dzielskiemu. Przez ex-soldata Mikołaja zawiadomieni o tém, że pan *hadwokat* poranku tego z Leśnej tędy przejeżdżać

będzie, przybyli nie wszyscy naturalnie, bo wieś miała dymów ze sześćdziesiąt, ale wydelegowali z łona swego kilkunastu najroztropniejszych może, a może po prostu tych, którzy z wygrania procesu największą korzyść osiągnąć mieli i największe nań ponosili kosztą. Sposobność była wyborną! Zamiast iść czy jechać do Ongrodu, o mil trzy, jak to tyle razy przez te dwa lata czynili, mogli oni tu, na miejscu, u siebie, z pełnomocnikiem swym porozumieć się ostatecznie. Ostatecznem miało być to porozumienie się, któremu podobnych było już niemało. Dadzą pełnomocnikowi sumę pieniężną, wynoszącą rubli 500, albo nie dadzą? Jeżeli dadzą, proces na pewno i w bliższej przyszłości wygranym będzie; jeżeli nie dadzą, pełnomocnik nie ręczy za nic. Nieraz już tak bywało. Wydatki ich na ten proces były jako ogromna rzeka, poczynająca się od małego źródła. Zrazu przyrzekano im wygranę za rubli 30; po pół rubla z chaty dali po długich namysłach. Potem, wypłacić wypadło 20, potem jeszcze 10 i znowu 50, potem od razu 100, potem znów 10 i 15 i raz aż 200. Różne te sumy, po długich pertraktacjach, decydowali się zawsze wypłacić i wypłacali, a każda poprzedzająca służyła za argument dla następnej. Kiedy tamtę już w *jenteres wsadzili*, muszą i tę *wsadzić*, ażeby tamta nie zginęła. Teraz, szło o *wsadzenie* jeszcze jednej, ale miała już ona być ostatnią, tak pewnie, jak amen w pacierzu. Wczoraj nie byli jeszcze zdecydowani

wypłacać jej, w skutek czego pełnomocnik opuścił ich w gniewie wielkim. Gniewu tego przelekleli się. Interes zginie i wydane nań *hrosze* zginą. Mikołaj pocieszył ich wiadomością, że będą mogli dziś *hadzować* na drodze przydybać. A to już byli przebąkiwali o tém, że trzeba będzie *znou mandrować* do Ongrodu.

Przybyło więc do karczmy kilkunastu delegowanych, kilku innych przywlokło się z ciekawości i dlatego, że była to niedziela; Jasiuk i Krystyna przyszli także i siedli na ławce, w kącie. Mocna woń baranich kozuchów, połączona z wonią skóry, pochodząca od grubych butów z cholewami, napępiała izbę. Wszyscy prawie byli obuci i dostatnio wyglądający. Kozuchy na nich były albo zupełnie nowe, z sutemi kołnierzami z czarnego futra, albo przybrudzone i trochę podarte; ale w siermięgach znoszonych i zimniej porze nieodpowiednich, znajdowało się za ledwie kilku. Znać było zaraz, że mieszkańcy Hrynek posiadali grunta dobre i mniej od wielu innych wsi zarażeni byli pijaństwem. Postawy ich i wyrazy twarzy były różne. Niektórzy siedząc na ławach, łokcie na stole rozpościerali; inni, młodszy, bezwasi, ręce opuściwszy na kolana, z gapowatemi minami wsłuchywali się w rozmowy starszych. Większość tłoczyła się przed stołem, popychając się wzajemnie, dowodząc, krzycząc, albo milknąc na chwilę dla przysłuchania się mowie Mikołaja. Ex-żołnierz siedział

pod ścianą, pośrodku ławy, wyprostowany i cały błyszczący od świeżo wyczyszczonych guzików szynela. Śród bladych policzków, koniec jego spiczastego nosa rozkwitał najpiękniejszą purpurą; siwy, krótki zarost uwydatniał suchotę i ostrość profilu. Z okiem błyszczącym stalową iskrą i przebiegłymi uśmiechami wąskich warg, prawil rzeczy bardzo ciekawe. Kwadrans już prawil on tym, którzy go słuchali, że nie komu innemu, tylko jemu, hryneńscy chłopci zawdzięczają swój teraźniejszy rozum.

— Durniami byli — mówił — pozwalając Dzielskiemu usiewać grunt i kosić łąki, które *powieroczna-ja kamisya* przez omyłkę tylko do planu ich nie wciągnęła, *jej Bohu* przez omyłkę. *Dziedy i pradziedy* wasze sieli tam i kosili. Prawda moja czy nie?

— *Prauda to prauda!* — chórem ozwało się kilka głosów, a jeden z nich ciągnął dalej:

— Tylko widzicie, Mikołaju, *dziedy i pradziedy* nasze *pausiudu* sieli i kosili, na caluśkiej ziemi sieli i kosili, a *taki* nam caluśkiej ziemi nie oddali... cha! cha! cha!

Słowa te z trochę szczerą, a trochę złośliwą wesołością, mówił Pawluk Harbar, stryj Jasiukowy, niemłody, siwiejący chłop, w najdostatniejszy kozuch i najpiękniejsze buty ubrany. Był to widocznie najbogatszy z hryneńskich gospodarzy i po Mikołaju największej wśród nich powagi używający.

— Ale! — słowa jego potwierdziło głosów kilka — *kazali*, że wszystko oddadzą, a teraz i o swoje, człecz, prawuj się.

Mikołaj głową litościwie kiwał.

— Oj wy, głupi narodzieli — zaczął — jak to wy chcecie, żeby wszystko od razu stało się! Sam Pan Bóg przez siedem dni świat stwarzał, a wy chcecie, żeby wam tak od razu caluśką ziemię oddali...

— Od razu! — mruknął Pawluk — dziewiętnasty rok jak *nadzielili* i do tej pory niczego lepszego jeszcze niéma...

— Będzie! — z uroczystym brzmieniem głosu wy-mówił Mikołaj. Wskazujący palec wznosił w górę i powtórzył: — Ja wiem, że będzie, wszystko będzie... Jej! jej! wiele ja świata schodził i wiele rzeczy słyszał i wiem, że wszystko będzie!

— Wszystko? — zadziwił się gapiowaty głos jakiś.

— Wszystko! — uderzając w stół pięścią, potwierdził Mikołaj i opowiadać jął, co słyszał i czego dowiedział się na szerokim świecie. Słyszał i dowiedział się, że jeżeli nie w tym roku, to za dwa lata, a jeżeli nie za dwa lata, to za dziesięć lat, ale calenka ziemia do chłopów należeć będzie; i grunt, i łąki, i pastwiska, i *lisy*, słowem, caluśka ziemia... Kiedy *dzienszczykiem* był, słyszał, jak pułkownicy i jenerały pomiędzy sobą rozmawiali. Tak i tak, mówili, tak i tak... A on, za drzwiami stojąc, przez dziurkę od klucza patrzył i słuchał... I różne także książeczk,

na świecie są, w których stoi, że caluszką ziemię chłopom rozdać trzeba. On te książeczki czytał. Byli tacy dobrzy ludzie, co mu je do czytania dawali, a on czytał i zapamiętał, i teraz mówi im, że wszystko będzie... — Jak *Boh Bohom*, wszystko będzie i już nawet *ukaz* na to jest, tylko jeszcze *ministyr* jego nie puścił. Jak *ministyr* puści i *po policyach* roześle, wtedy... wszystko będzie!

W sposób ten przemawiając, ex-żołnierz ożywiał się i w zapal wpadał. Prawda okazywała się niezbitą, że w to, co mówił, wierzył sam mocno i żarliwie. Siwe oczy jego płonęły, głos brzmiał przekonaniem i zapalem. Mocno też i żarliwie w słowa jego wierzyli, albo wierzyć pragnęli słuchacze. U jednych twarze jaśniały radością albo rozkoszną nadzieją, u drugich okrywały się wyrazem tęsknym, jak bywa zwykle z ludźmi, gdy myślą o przedmiocie najdroższych swych marzeń. Mikołaj opowiadaniem i zapewnieniami swemi targał w tych grubych i silnych piersiach struny marzeń najdroższych i najnamiętniejszych żądz. Jak glisty, nieustannie toczące glebę, barwę jęj przybierają, tak ludzie ci barwę skóry swęj zjednoczyli się prawie z barwą ziemi. Była im ona żywiołem rodzinnym, piersią żywającą, kochanką, którą od piérwszych świtów życia obejmowali codziennie znojnym uściskiem pracy. Pożądali też jęj, pożądali jęj wiele, więcęj jeszcze, jak najwięcęj, bez końca... Mikołaj słowami swemi kłuł i łasko-

tał to pożądanie tak, że śmiały się i płakały one w ich piersiach, ogniem wybuchając przez oczy, tęsknotą powlekając ciemne i twardym włosem zjeżone czoła. Ale, nie był-że i on sam glistą na zagonie zrodzoną, a choć pół życia przewędrował po świecie, nie zachował-że w żyłach krwi tęj samęj, która w nich płynęła? On także posiadał na końcu wsi chatę z kilku zagonami ziemi i nieraz zagony te, w marzeniach swych, przedłużał aż pod skraj nieba. I jego więc, gdy mówił o „caluskiej ziemi”, ogarniał zapal. Ostrzegać zaczął słuchaczów, że *ukaz*, o którym mówił i który lada dzień *ministyr* z kancelaryi swęj wypuści, „wszystko zrobi” tym tylko, którzy teraz przy interesach swych obstawiać umięją i tego, co do nich należy, innym nie dają...

— Jeżeli *Kaprouskomu hroszy* pożałujecie i proces z Dzielskim przegracie, *ministyr* o tém dowię się i do policyi takie *przedpisanie* przyśle: „Hryneńskich chłopów *bolsz* ziemią nie nadzielać, bo *durnie*, nie umieli bronić swego i tę ziemię, co do nich należała, *dobrowolno* innemu oddali”. O!

Skończył. Chłopi w wielki gwar uderzyli:

— Nie *damo!* — krzyczeli — jak *Boh Bohom* nie *damo!* Zginem, a nie *damo!* Ostatnie woły poprzędajem, dusze żydu zaprzędamy, a nie *damo!* *Kaprouskomu hrosze* przynieśliśmy. Niech bierze, a nasze odbiera. *Prauda twoja*, Mikołaju. Kto dureń,

temu nie nie dadzą, a kto mądry i interesy swoje zna, temu będzie „wszystko...”

W tej chwili, przed karczmą ozwał się turkot kół i dało się słyszeć wołanie:

— Mikołaj! Mikołaj!

Żołnierz zerwał się i pobiegł ku drzwiom, ku którym pocisnęli się też gromadnie i chłopci. Wszyscy hurmem wtoczyli się przed drzwi karczmy, przed którymi, na bryczce założonej parą tłustych koni ekonomicznych, siedział Kaprowski. Z twarzą zanurzoną w futrzanym kołnierzu i głową nieruchomą rozmawiać zaczął z Mikołajem o jakimś synu jego, Jurku, który, jak można było wnosić, za lokaja u niego służył.

Na chłopów, którzy bryczkę jego otoczyli, ani patrzył. Ci błagali go, aby z bryczki wysiadł i wszedł do karczmy.

— Jaśnie wielmożny panie — zaczynał Pawluk — na *minutku* tylko wejście... pogadamy...

— Na *minutku*! — jęklili powtarzali inni.

— Nie opuszczajcie nas, jaśnie wielmożny panie! nie gniewajcie się na naszą głupotę... — siwą głowę aż do koła bryczki chyląc, prawil stryj Jasiuk.

— *Ale!* nie gniewajcie się! — huczał i jęczał chór.

Nakoniec Kaprowski zwrócił ku nim twarz, błyskającą błękitnymi szklami.

— Moi kochani — rzekł — skoro nie ufacie mi

i powiedzieliście wczoraj, że dalszych kosztów interesu ponosić nie chcecie, róbcie, jak się wam podoba. Idźcie sobie do innego. Inny może będzie wam tańszy. Przyslijcie tylko kogo po papiery swoje.

Mówił to bardzo z góry, zimno, ale chuda twarz jego drgała nerwowo, a wargi układały się w zarys zgryźliwy i niespokojny. Z łatwością przeniknąć było można, że w głębi swjej istoty drżał trochę i myślał: „A nuż naprawdę pójda do innego!” Na sekundę, z za szkielek, przenikliwie zatopił wzrok we wzroku Mikołaja. Ten uśmiechał się nieznacznie ale znacząco.

— Niech już jaśnie wielmożny pan daruje im tę głupotę — przemówił — oni nic nie rozumieją...

I zwracając się do chłopów, zapytał:

— No *prauda*, że wy nic nie rozumiecie?

— Nie rozumiecie, jaśnie wielmożny panie, nie rozumiecie — kłaniając się, odpowiedzieli wszyscy, prócz Pawluka, który nie chciał przyznać się do tego, że nic nie rozumie, i nawet zuchwale nieco hadwokała za rękaw od surduta pociągał.

— Wsiądźcie, panie — mówił — *hrosze* przynieśliśmy, ziemi swojej *Dzielskamu* nie *damo*, zginiem a nie *damo*...

— No — rzekł Kaprowski, na bryczce stając — już tylko na prośby Mikołaja...

Wtedy zaczęli wysadzać go z bryczki i do karczmy wprowadzać. Podstawili mu pod łokcie swoje

czarne, spracowane dłonie, szli przed nim, za nim, dokoła niego, zaglądali mu w twarz, mówiąc, krzyżując, opowiadając wszyscy razem.

Kiedy Kaprowski wszedł do karczmy i wileczą szubę z ramion na ręce chłopów zrzucił, widać było, że zrazu zmieszany nieco czuł się i sam nie wiedział, co i jak wypadało mu robić i mówić. Rozmachliwa elegancja, którą świecił wczoraj, w bawialnym pokójku Bahrewiczów, opuściła go w znacznej części. Czuł zapewne, że nie była-by tu ona ocenioną i skuteczną, zastąpić ją usiłował sztywnym wyprostowaniem figury i dumnym wydeciem policzków. Lecz posiadał tu sprzymierzeńca i wiedząc o tém, do wielkiej pewności siebie niebawem wrócił. Sprzymierzeńcem tym jego był tu Mikołaj. Był on czémś więcej jeszcze: łącznikiem pomiędzy nim a tą gromadą, która bez niego nie wiedziała-by o istnieniu *hadwokata*, co więcej, nie rozpoczynała-by nawet procesu. Mikołaj to, mędrzec wsi, gotował i oczyszczał drogi Kaprowskiemu, mędrcewi miasta. Piérwszy znał ludność wiejską, drugi umiał na pamięć artykuły prawa i kompletowali się nawzajem, a jeden bez drugiego obejść się nie mógł. Teraz Mikołaj przebiegł szybko karczemną izbę i dmuchać zaczął na ławę, którą téż chłopów kilku połami swych kozuchów starannie wytarło. Na tak oczyszczoném miejscu żołdat i Pawluk posadzili Kaprowskiego, za ręce go trzymając. Pawluk zaraz w zanadrze sięgnął i garść asygnat z za-

koszuli wyciągnął. Jak muzykanci, posłuszni znakowi dyrektorskiej batuty, wszyscy inni uczynili to samo: Zatopili ręce w zanadrza i powymowali z-za koszul garście papierowych pieniędzy. Niektórzy rozwiązywali węzły na rogach płóciennych szmat, z których wypadały papierki zguiecione w kształcie gałek. Nad karczemnym stołem, utworzonym z paru desek starych, poplamionych, powyszczerbianych, w kierunku szczupłego człowieka w zgrabnym surducie, złożym łańcuchu, błękitnych szklach na zadartym nosie, wyciągnęło się kilkanaście par rąk dużych, tak prawie czarnych jak ziemia, z palcami pełnymi dziwnych węzłów, blizn i wykrzywień. Niektóre z rąk tych wyciągały się śmiało i nawet natarczywie, inne silne, tak, że ogromne ciężary dźwigać mogły jak piórka, drżały jednak trochę i cofały się, aby po chwili, ruchem trwożliwym i wahającym wysunąć się znowu naprzód. Mikołaj od chwili do chwili rzucał wesoły jakiś żarcik. Kaprowski, małemi chudemi rękoma o krótkich palcach zdobnych w kilka pierścionków, prędko i wprawnie liczył pieniądze. Chłopi liczenia tego słuchali z uwagą wielką, z pochylonemi ku liczącemu głowami, z rysami nieruchomemi, wśród ciemnych lub siwiejących zarostów. W pewnej od grupy téj odległości, na tle czarnego otworu komina, zarysowała się szczupła postać i rudowłosa głowa żyda arendarza, zdala i z urągliwym uśmiechem

oczekującego chwili, w której po załatwieniu interesu przyjdzie pora powszechnego picia wódki.

— Pięćset! — głośno i dobitnie wymówił Kaprowski, wstał, wyprostował się i mówić zaczął. Mówił prędko, monotonna, z głową trochę schyloną, ale miną pewną siebie i trochę słuchaczami pomiatającą. Starał się dobierać wyrażenń zrozumiałych dla słuchaczów, a ile razy nie udawało się to mu w zupełności, stojący za ramieniem jego Mikołaj, uzupełniał i tłómaczył jego słowa. Ale chłopci słuchali Kaprowskiego nie tylko pilnie, lecz i z takim upodobaniem, że wdawanie się Mikołaja niezadowolnienie w nich budziło. Usuwali go giestami, niecierpliwie wołając:

— *Znajem! znajem!* ty już milcz Mikołaju! Niech jaśnie wielmożny pan mówi.

I jaśnie wielmożny pan mówił: o manifestacie dzieła świętnastego lutego, o komisji likwidacyjnej, o komitecie do spraw włościańskich, zjeździe mirowych pośredników, o *pałacie*, senacie, *ukazach senackich*, apelacjach, ustawach prawnych, z dat takich, takich i takich... Bezwąsa młodzież tak szeroko pootwierala gęby, że wróble-by w nie wlecieć mogły, starsi zaczęli uśmiechając się błogo i kiwając głowami, od czasu do czasu wzajem na siebie spoglądać. W uśmiechach ich malowało się zupełne uspokojenie o los wydanych tylko co pieniędzy; spójżenia wyrażały myśl: „Oto gada! Ależ mądry!” Nakoniec mówca zakończył przemówienie swe krótko wyrzeczonem pożegna-

niem: „Bądźcie zdrowi moi kochani” i giestem, w którym można było wyczytać chęć jak najprędszego wyrwania się ztąd, pochwycił ze stołu swoją zgrabną futrzaną czapeczkę. Chłopci rozstąpili się z głębokim uszanowaniem, a Jasiuk i Krystyna wysunęli się z kąta, w którym dotąd siedzieli, jako niemi i przez nikogo niepostrzeżeni świadkowie wszystkiego co się działo. Wtedy Mikołaj pochwycił Kaprowskiego za łokieć i bardzo cicho kilka słów do niego przemówił. *Hadwokat* zsunął brwi i z niezadowolaniem ustami cmoknął. Okropnie pilno mu być musiało wyrwać się z karczmy. Miał jakieś estetyczne gusta, które walczyły w nim z potrzebą materyalnych zysków, że zaś tym razem, ładny pugilares jego pękaty już stał się od pieniędzy hryńskich chłopów, pierwsze przeważyły-by może drugą, gdyby Mikołaj nie odegrał względem niego znowu roli anioła-stróża. Tak prędko i nieznacznie, że chłopci nie spostrzegli prawie co się stało, wepchnął on Jasiuka i Mikołaja do izdebki arendarza, do której też w znacznie delikatniejszy sposób wsunął Kaprowskiego i sam zostając w karczemnej izbie, drzwi izdebki zamknął. Jasiuk i Krystyna znaleźli się przed obliczem adwokata, błyskającym złotą oprawą okularów w świetle mętnego okna żółtém i gąbkowatém.

Jasiuk trzymał się jeszcze nieźle, bo podniosła go nienawiść, którą od wczorajszego wieczora zapłonął

do swego stryja Pawluka. Parę dni temu jeszcze rozmawiał z nim zgodnie, prawie przyjaźnie. Nie był nawet pewny, kto z nich obu w dawnym sporze miał słuszność. „Może *moja prawda* była, a może jego, niech go Bóg sądzi!” mawiał. Pawluk ze swój strony nie był dla niego złym. Co tam było dawniej to było, ale potem, swatem mu był do ogrodnikówny Heleny, dzieci do chrztu trzymał i parę razy w małych kłopotach dopomagał. Dziś zmieniło się wszystko. Jasiuk, z kąta, w którym był zasiadł, ścigał stryja spójrzeniem chmurném i złém, a teraz przed adwokatem stanąwszy, nieśmiałość jaką uczuwał, nienawiścią przezwyciężał. Co innego było z Krystyną. Ta przed tak dostojnym panem znalazłszy się, formalnie struchlała. Ręce pod piersiami spłotła i oczy pełne łez w Kaprowskiego wlepiając, płaczliwym głosem mówić zaczęła.

— Ni mnie, jaśnie wielmożny panie, drużki na dzieży sadzały, ni mnie do ślubu śpiewały...

Wtedy Jasiuk usuwając ją, naprzód wystąpił.

— Ja jaśnie wielmożnemu panu i jój i swój interes opowiem...

Krystyna zlekła się, że Jasiuk źle opowiadać będzie, a ztąd wyniknie szkoda dla Pilipka. Z kolei odpychając go, zawołała.

— Dziewiętnaście lat synków ja swoich hodowała, pracowała, horowała, z postem jadła...

Parobek szeroką dłonią znowu ją usunął.

— Niech jaśnie wielmożny pan będzie łaskaw wysłucha... Kobieta ramię towarzysza targnąwszy, znowu wysunęła się naprzód. — Mizeractwo to, jaśnie wielmożny panie, od narodzenia samego bladeńki był i chudzieńki, a potem jak ta gorączka przywiązała się, co na nią pięć miesięcy...

Tym razem Jasiuk popchnął ją dłonią w pierś tak mocno, że aż oparła się o poręcz żydowskiego łóżka.

— Baba gada jak wiatr wieje... Niech jaśnie wielmożny pan wysłucha...

— Cicho, Jasiuk! — przyskakując znowu, zawołała kobieta. — Kiedy on urodził się, jaśnie wielmożny panie, *babka* powiedziała, że dłużej jak trzy dni żyć nie będzie... Pan Bóg dał! Wyżył! Czytać i pisać nauczył się... Delikatny.

Kaprowski stał jak posąg ze ściągniętymi od wewnętrzznego wzburzenia brwiami, cierpliwy jednak. Skro Mikołaj rekomendował tych ludzi, byli snadź oni godnymi godziny czasu jego. Nawet godziny całej mu nie zabrali. Skończyło się na tém, że Jasiuk opowiadał, a Krystyna za plecami towarzysza stojąc, chlipała tylko i czasem słówka jakieś dorzucała. Parobek o sprawie jój i własnej mówił powoli, rozważnie, chmurnie i dość zwieźle. Opowiadanie dwóch spraw, odpowiedź i obietnica adwokata, przejście z rąk Jasiuka i Krystyny w ręce jego paczki asygnat,

zajęło nie więcej niż pół godziny. Potem Kaprowski w izdebce arendarza porozmawiał jeszcze chwilę z Mikołajem, wręczył mu sporą część otrzymanych pieniędzy i odjechał. Mikołaj starannie odliczywszy i do kieszeni szynela schowawszy pieniądze, wrócił do karczemnej izby, gdzie rozchodził się już zapach wódki, krzyki i klótnie wrzały. Jasiuk, który nie wziął z sobą pieniędzy więcej nad te, które adwokatowi wręczył, zażądał wódki na kredyt, co mu się nigdy dotąd nie zdarzało. Pił też jak nigdy dotąd i zaraz wszczął klótnie z Pawlukiem. Ten domyślał się czegoś i rozjątrzony wznowieniem przez synowca od dawna zagasłego sporu, słuszności praw swych do ziemi nieboszczyka brata dowodzić zaczął. Z pomiędzy świadków jedni przytakiwali Pawlukowi, drudzy brali stronę Jasiuka, który dobrze już podpiwszy, lżył stryja i ujmujących się za ojcem dwóch jego synów. Najgwałtowniejsza z namiętności tych dusz, namiętność do posiadania ziemi, podrażniona, zaostrzona, wybuchała tam przez oczy płomieniem nienawiści, przez usta obelżywemi słowy. Nienawiść paliła piersi, trwoga o grosz na los szczęścia rzucony, unotowała je niepokojem; ochłodę i ukojenie przynieść im miał ten płyn białawy, z odurzającą wonią alkoholu, który w butelkach i cynowych czarkach, z pomocą dwojga swych dzieci roznosił lub na stole stawiał arendarz.

Krystyna tymczasem nie szła, ale leciała z po-

wrotem do Wólki. Zdawało się, że wraz z troską o syna, ciężkie kajdany z siebie zrzuciła. Odmłodziła, świeże rumieńce oblekły jej policzki, czarne oczy błyszcząły jak przed dwudziestu laty. Kiedy tak do czworaka wpadła, siedząca wciąż na przypiecku Jelena, ozwała się uprzejmie.

— A co, czy Pan Bóg pocieszył?

Krystyna przypadła do niej i na ziemi siadając, rozpromieniona, mówić i opowiadać zaczęła:

— Wielki pan... *Mudryj wielmi i znatno bohatyj musieć najpierwszy hadwokat* w Ongrodzie, Pilipka wyratować przyrzekł... Mówił *możno*, czemu nie *możno*? Jenerała, znaczy, tego pułku, w którym Pilipek służy, znam... Z nim pogadam, żeby go daleko nie posyłali, żeby jego, znaczy do innego pułku przenieśli, tego co w Ongrodzie zostanie... A jeżeli, mówi, jenerał nie zechce, to mówi do ministra wojny prośbę *podamo*... A taki Pilipka, nie pošlę tam gdzie od mrozów skóra złazi i żółta *trasca* trzęsie.

Mówiąc to wszystko, śmiała się z rozkoszą i gdy ożywiona, rumiana, w uśmiechu ukazywała zdrowe, białe zęby, można-by było nazwać ją jeszcze młodą i ładną. Porwała się z ziemi i płaczące niemowlę z kołyski wyjąwszy, zaczęła z nié m chodźć po izbie, kołysząc je w ramionach i nucąc. Jelena zapytała ją o Jasiuka.

— Przyrzekł — zawołała Krystyna — i jemu przyrzekł, że od *dziadźka* ziemię odbierze...

— Chwała tobie Panie Boże! — szepnęła Jasiukowa. — A gdzie on? — zapytała.

— Z hryńskimi został w karczmie i weseli się...

W téj chwili bardzo wesół para wpadła do izby. Była to Nastka i Juzik. Dziewczynka, w perkalowej spódniczce i czystej koszuli, spiętej błyszczącym guzikiem, z płową, cienką koską splecioną z tyłu głowy i ozdobną kawałkiem czerwonej tasiemki, wpadła do izby z krzykiem i śmiechem, wyprzedzając małego brata, który za cały ubiór mając grubą koszulę, przewiazaną paskiem przez matkę utkanym i las lnianych włosów na głowie, gonił za siostrą, przeraźliwie śpiwając i piskliwie brzęcząc na skrzypcach. Skrzypce to były osobliwe, z prętów drewnianych i silnie napreżonych sznurków złożone. Istniał też do nich i smyczek, z naciągniętymi miasto strun nićmi. Instrumenty tego rodzaju wyrabiał w ilości znacznej Mikołaj, rozdając je potem dzieciom na wsi i na folwarku. Juzik parę dni temu dopiero dar ten od ex-żołnierza otrzymał, to też różnił od ucha, przyczem tańczył i śpiewał także. Od drzwi zaczynając aż do przypiecka, na którym siedziała matka, kręcił się po izbie w kółko, w kółko, przytupywał głośno bosemi nóżkami i drżącym od wielkiego rozradowania głosem przyspiewywał:

Dyli, dyli skrypeczka,
Spadła baba z prypieczka...

Nastka kręciła się także za bratem w kółko i przytupywała także bosemi nogami, tylko śpiewać nie mogła, bo śmiała się tak głośno i zanośliwie, że aż okręgała i bladawa twarz jej sponsowała na podobieństwo piwonii! U obojga dzieci oczy iskrzyły się jak osypane brylantami turkusy, a krótko ostrzyżone włosy chłopca przy każdym jego skoku podlatywały w górę i rozsypywały się mu po głowie, jak rój bladych złotych promieni. Chorą Jeleną widok ten rozweselał. Uśmiechała się blademi ustami i z czułością szeptała: — Oj głuptaski wy, głuptaski! Oj nierozumne takie!

Ale Krystyna prędko złożyła niemowlę do kołyski, pod boki się wzięła i ku Józikowi pochyłona, nogami też przytupywała.

— Dyli, dyli skrypeczka...

— Spadła baba z prypieczka... — zanosząc się od śmiechu zaczynał Józik.

Krystyna kończyła:

— A *died* jeju za ucho!...

— A bodaj was! bodajże was! — śmiała się już na dobre Jelena, a w téjże chwili otworzyły się drzwi i do izby wszedł odświętnie, w długich butach i zgrabnej siermiężce ubrany Antosiek. Z kościoła powracał. Krystyna rzuciła się ku synowi.

— Już ja Pilipka wyratowała, synku, już ja *bratienka* twego milego wyratowała.

Parobczak ucieszył się szczerze i zaraz jedzenia zażądał. Dawno już nadeszła była pora południowe

go posiłku. Zjedzono go dnia tego w nieobecności Jasiuka, który później znacznie przyszedł do domu — pijany. Jelenę ten stan męża zadziwił trochę.

— A! co to jemu stało się? — rzekła — nigdy z nim tego nie bywało!

W gruncie jednak myślała ona sobie, że nie dziwota, jeśli chłop upije się czasem, a jeszcze w taki dzień, który będzie może o losie jego stanowić. Nie gniewała się też na męża, ani postępkiem jego zmartwioną była. Około wieczoru dwaj mężczyźni, jeden na piecu, drugi na ławie usnęli. Jelena, Krystyna i dzieci łuszczyły bob, który gotować miano na wieczere. U stóp siedzącej na przypiecku Jeleny, stało sito, napełnione zczerniałymi strączkami i garnek, w który rzucano wydobyte ze strączków ziarno. Krystyna, Nastka i Józik siedzieli na ziemi. Wszyscy milczeli. Nastka wydeła aż wargi i głośno sapała, tak pogrążoną była w pełnioną robotę. Józik drzemał trochę... W ciszy, napełniającej izbę, słysząc było tylko głośne oddechy śpiących mężczyzn i łuskanie suchych łupin bobu. W tém, z daleka, z za bramy folwarku, kędyś od cichych pól przypląnęły tony mosiężnej trąbki, wygrywające monotonną, wojenną pobudkę. Krystyna głowę podniosła.

— To Mikołaj — rzekła.

— Aha — potwierdziła Jelena.

Mikołaj to istotnie zdjąwszy szynel i błysz-

cząc medale, miał zwyczaj siadywać około wieczora przed chatą swoją i grać na trąbce.

Z za dżdżystych obłoków zachodzące słońce wyjrzało na chwilę parą ukośnych promieni. Okienko Jasiukowej izby zarumieniło się jak roziskrzony rubin. Czerwona łuna padła na grupę istot ludzkich, skupioną u przypiecka. Ziarna bobu, spadające do garnka z rąk dwu kobiet i płowowłosej dziewczynki, przybrały w tej łunie pozór złotych paciorek. Bosonogie chłopię w koszuli usnęło z głową na ramieniu siostry. Trąba Mikołaja w oddali grała wciąż żołnierską, monotonną pobudkę, a Krystyna nie podnosząc głowy i prędko, prędko rozłamując strąki bobu, myślała pewno o synie-żołnierzu, bo po twarzy jej cicho i powoli, ze zmarszczki na zmarszczkę staczały się łzy.

III.

Ani brudna izba pełna chłopów, ani bawialnia ekonomiczna, przyozdobione choćby najpiękniejszymi *rakakami*, nie były dla Kaprowskiego żywiołem jego rodzinnym i ulubionym. Rodzinnym i ulubionym żywiołem jego było miasto, nie żaden gród wielki, stołeczny, którego prace zarówno jak i przyjemności przechodziłyby całkiem miarę wszechstronnych sił jego, ale jedno z tych miast wielkości średniej, które najłatwiej przy pewnych warunkach społecznej atmosfery, stają się zbiornikami pyłu i mętów, w których powstają i wirują roje ludzkich mikrobów. Są to organizmy tak drobne, że je tylko przez mikroskop w cieple społeczném dostrzedz można. Takim mikroblem miejskim był Kaprowski. Był on tak małym i tak małą na pozór rolę w świecie odegrywał, że każdy, kto na zbiorowisko ludzkie spogląda z góry i nieuważnie, za ledwie-by go mógł dostrzedz, a pewno nie chciał-by mu się przypatrywać. Nie odznaczały go ani urodzenie, ani majątek, ani piękność, ani talenty, ani szcze-

gólne cnoty, ani głośnie występki. Jest-że komu, czy czemu przypatrywać się? Mikrob i koniec! Niech sobie będzie jakim jest i żyje jak mu się podoba, taką drobną monetą ludzkości zajmować się nie warto. Tak-by powiedział każdy, spoglądający na zbiorowisko ludzkie z góry i nieuważnie. Lecz ktokolwiek-by raz przyjrzał się pilniej jemu i jego ruchom, musiałby z ciekawością może nie małą, rzucić parę zapytań. „Z czego on powstał? jaka jego przeszłość? czém jest właściwie to, co on na świecie robi?”

Powstał on wprost — z miejskich pyłów i mętów. Można-by nawet rzec, że powierzchowność jego przystosowała się do żywiołu tego, albo, że ulepiła się z różnych jego składników. Jak barwa skór chłopskich ujednastajnia się prawie z barwą ziemi, tak cera jego twarzy, gąbkowata i żółta, upodobniła się z pyłem, który w porach suszy zawisa nad ulicami i osiada na domach Ongrodu. Oczy jego, z mrużąciami się i zaczerwienionemi powiekami, zdawały się być olśnionemi od łun, które w dni słoneczne padają na białe mury miejskie i przegryzionemi tytuniowym dymem, napełniającym wnętrza cukierni. Oczy te olśniewane niezdrowemi blaskami i wygryzane jadem nikotyny, przysłaniał on błękitnemi szklami w części dlatego, że były one mrużące się i bolące, w części może dlatego, aby osłabić połyski ich, ostre, jakby u gazowych kinkietów; były zażegniete, i ruchliwość ich chciwą, niespokojną, zdającą się ścigać nieustan-

ny i niespokojny wir miejski. Nos zadarty i zarys ust bladych, rzucały mu na twarz wyraz zuchwałej zarozumiałości; wąskie czoło porznęte było niemi zmarszczek, wypisujących historję tajemnych a gryzących trosk i zawodów. Nie wysoki, chudy, z małemi rękoma i cienkimi nogami, całą postacią wskazywał ogromną przewagę nerwów nad innemi składowemi częściami organizmu; można było powiedzieć, że cały był nerwami, i że w dodatku nerwy te były chore. Przy lada wzruszeniu, nerwowe drgania przebiegały mu po wargach i policzkach, ręce trochę drżały. W tej fizycznej słabości jego, raczj w cechach charakteryzujących, widać było jak na dłoni odżywianie nieprawidłowe, noce bezsennie spędzane wśród wzruszeń hazardownej gry, lub dźwięków, któremi zadymioną atmosferę napępiały wędrowne śpiewaczki i muzykantki; widać w niej było trawiące żądze i trujące uciechy, nieustający mozół zdobywania, tracenia i zdobywania na nowo. Wszystko to, całą tę postać miejskiego mikroba, powlekała politura wykuintnego ubrania i pewnego rodzaju elegancyi w poruszeniach i mowie, tak jak czerwona lub czekoladowa farba obleka zmurszałe ściany starych domów miejskich i jak glansowane rękawiczki pokrywają ręce przechodniów ulicznych, wczoraj lub dziś jeszcze zmazane ludzką krzywdą i łzą.

Jaką była jego przeszłość? Kaprowscy byli niegdyś drobnymi obywatelami ziemskimi i ta to właśnie

rodzinna tradycja przyczyniła się znacznie do wytworzenia splendoru, jakim Bahrewicza okryło ożenienie się z Madzią. Przed dość dawnym czasem, niektórzy członkowie rodziny téj, nie mogąc już zmieścić się na szczupłym kęsie ziemi, wywędrowali w świat, wstępowali w ściany biur rządowych i czuli sobie śród nich, skromne zresztą karyery. Jednym z takich był ojciec Madzi, który przez lat dwadzieścia cieszył się urzędem policyjnym, noszącym za zasów owych nazwę *asesora*. Synowca swego, a ojca Ludwika, protekcją swą wprowadził do biura policyi ongrodzkiej. Ludwik urodził się już w mieście synem policyjnego urzędnika i szlachcianki zarodowej, którą tenże urzędnik, ojciec jego, poślubił za 300 rubli posagu i przywiózł do miasta. Wiejska dziewczka wśród rodzinnej zagrody swj hoża, pracowita i wesoła, na bruku miejskim przemieniła się w kobietę głupią i śmieszłą. Dumną była z nowego położenia i zarazem unieszczęśliwianą przez niego. Nosila kapelusze i na nich całe ogromne kwiaty, grube ręce wpychała w rękawiczki, przyjaźniła się zaś najchętniej z najciemniejszymi mieszcankami i kucharkami miejskimi. Ojciec cichy i ograniczony, bardziej jeszcze może pracą znękany, dni całe spędzał w biurze, a w godzinach wolnych spał lub zedł do kolegów na skromniuchną partyjkę prefektury. Ludwik wzrastał wśród krzykliwych trosk i zachodów ubogiego gospodarstwa, wśród nieustan-

nych gawęd i bajań matki i jej przyjaciółek, w towarzystwie synów tych przyjaciółek, w pewnej części uliczników. Sam też trochę był ulicznikiem. W podartym spencerze i wpół boso całymi dniami hasał po dziedzińcach i placach miejskich, z zachwyceniem i chciwością przypatrując się wystawom sklepowym, w widokach miasta, w rozmowach z towarzyszami, w niedostatkach rodzicielskiego domu, zawczasu roznieczając w sobie i jątrząc apetyt do błyszczących i smacznych uczt tego świata. Ojciec jego, cichy i senny biuralista, miał przecież widocznie w głowie parę rozsądnych myśli, bo gdy Ludwik doszedł lat dziesięciu, kazał mu do szkół gimnazjalnych chodzić. Chodził i nawet uczył się nieźle. Powstawały w nim ambicje, przejęte z bladych ust ojca, który mawiał często o najdroższym swym marzeniu, o tém, aby syn jego kiedyś został doktorem. Doktorstwo uśmiechało się i chłopakowi, jako coś, co udziela czasem bogactwa i znaczenia. Niezbyt zdolny z natury, pracował gorliwie, i był to najczystszy, rzecz można, najwznioślejszy okres jego życia. Dla interesu osobistego nawet zdobywana nauka, obmywać go zaczęła z brudów ulicznych koleżeństw i hulank, z grubiańskiej pospolitości macierzyńskiego towarzystwa. W tém skończył był klasę czwartą i miał lat piętnaście życia, gdy z pod bladego i zmęczonego biuralisty wysunięto krzesło, na którym siedział w biurze przez lat z górą dwadzieścia. Nie była to

kara za grzechy osobiste, ale następstwo publicznej klęski, które też jednocześnie dotknęło i brylant rodziny, owego asesora, Madzi ojca. Rodzina więc cała znajdowała się w zupełnym upadku. Ciężka bieda zajrzała tu i tam; nikt nikomu dopomódz nie mógł. Bez ludzkiej pomocy, piętnastoletnie chłopię, zwątlone dzieciństwem źle spędzonem, niezbyt zdolne, lecz wyjątkowej siły charakteru i miłości dla nauki, w pracy szkolnej wytrwać nie mogło. Gdy nikt nie uiścił zań wpisowej opłaty i nie było za co kupić nowych podręczników szkolnych, Ludwik zdjął szkolny mundur, siadł w kącie zimnej izby i gorzko zapłakał. Była to znowu najwznioślejsza chwila jego życia, z której też potem śmiał się nieraz... W drugim kącie zimnej izby zanosił się od kaszlu ojciec jego, a przy stole, na którym nie, oprócz kęsa chleba nie było, płakała matka. W rok potem Ludwik nie miał już ojca. Zrzucony z krzesła swego biuralista umarł z suchot, które rozwinęła zgryzota i z nędzy, której zapobiegać nie dozwoliły mu suchoty. Ludwik po długich staraniach, po mnóstwie niskich pokłonów oddawanych na wszystkie strony, otrzymał posadę biurową, malutką i chwiejną, bo stojącą na krótkiej łapce czyjegokolwiek kaprysu, ale bądź co bądź odpędzającą od niego i od matki śmierć głodową. Minęła już pora wspaniałych rojeń o przyszłym doktorstwie, rojeń, które z jakiegokolwiek źródła płynąc, siały weń ziarna czerstwe i rozszerzające

duszę; nastał czas bronienia się od ostatecznej nędzy, wewnętrznego wściekania się przeciw losowi, namiętnych pożądań lepszego losu, głuchych zawiści, niskich ukłonów, niewolniczego gięcia karku pod płot wszelki, byle pod nim przeleźć. W lat dwanaście po zrzuceniu szkolnego mundura, Ludwik nie miał już matki i służbę biurową opuścił. Uczynił to dobrowolnie, w skutek wyrachowań i planów obmyśliwanych w ciemne noce, wypieszczanych w sercu, przegryzaném jadami gniewów i żalów. Uczyniwszy to, stanął na bruku miejskim jako członek tego najposępniejszego i najdziwniejszego proletaryatu, który w eleganckich surdutach i glansowanych rękawiczkach, z podniebieniem łakomém wszystkich przysmaków życia, nie posiada pod stopami żadnej piędy ziemi, w rękach żadnego narzędzia pracy, ani materyalnego ani moralnego gruntu, nic, prócz rozszalałych instynktów użycia, prócz tych skłonności i upodobań, które kielkują z pod kamieni miejskiego bruku i w opylonych albo błotnistych zaułkach miasta.

Takim proletaryuszem uczuwszy się, Kaprowski nie doświadczył przecież trwogi. Zupełnie szczerze mniemał, że w rękę swém posiada fach, którego nawet mienił się mistrzem. Dobra pamięć i wieloletnia praktyka biurowa, wspomóżona wspomnieniami, które zachował z dzieciństwa, pozwoliły mu wytworzyć w głowie bogaty spichrz ustaw, procedur, najzawilszych ścieżek i najciaśniejszych przesmyków pra-

wnych. Było mu tak, jak gdyby opuszał jaką akademię. Wiedział dobrze, co i jak miał robić; a nie dostawało mu jednéj tylko rzeczy: stosunków z ludźmi. Chętnie, o jakże chętnie i z jaką nawet rozkoszą zadowolonej dumy i roznieconych nadziei, wspiałby się on ku wysokim, widnym sferom społecznym. Odrazu przecież zrozumiał: że było to niepodobieństwem i nie tracił czasu na próżne rojenia i próby. Odrazu zstąpił nisko, ku maluczkim, ciemnym, łatwowiernym, gryzącemi niedostatkami i pożądaniemi trapionym. Z rozpaczą przecież spostrzegł, że ten grunt był dlań zarówno prawie obcym jak tamten. Nie umiał po nim stapać, nierozumiany i nierozumiejący szedł i działał omackiem; ubiegali go inni, tacy, którzy umieli języki swe i głosy naginać do grubiańskich dźwięków i słów, wybornych win nie lubili namiętnie tak jak on, nie brzydzili się nieprzewyciężenie tak, jak on prostą gorzałką i smrodem baranich kozuchów. Ubiegali go i udawało się im wybornie, choć jak tego był pewnym, nie posiadali ani setnéj części jego zdolności. Wtedy przykłady innych i niepospolita zręczność doradziły mu uzbrojenie się w ramiona, które spełniały dla niego czynność, jaką dla głowonoga spełniają jego macki. Ramion tych, z których jedném był dymisyonowany żołnierz w Hrynkach, zdobył on sporo i funkcyonowały one bardzo dobrze, bo czuły-by się bez niego tak, jak on czuł-by się bez nich — niczém. To téż roboty nie

brakowało nigdy, i była ona zyskową i wszystko szło-by najpomyślniej i Kaprowski osiągał-by już celu swego, którym było zdobycie bogactwa, gdyby...

Sporo czasu upłynęło od bytności jego w Leśnej i Hrynkach, gdy około południa, siedząc u okna swojej sypialni, czytał list jakiś, na różowym papierku nakreślony. Na świecie panował sierpień pogodny i jeszcze upalny... Mieszkanie mikroba mieskiego nappełniało duszne i cuchnące powietrze miejsc zamkniętych i brudnych. Okna przedpokoju i dwóch niewielkich i niewysokich pokoiów wychodziły na dziedziniec, otoczony próchniejącymi parkanami i oficynkami, podobniejszymi do psich bud więcej niż do mieszkań ludzkich. Od czerwonych, spiczastych kamieni, z których składał się bruk dziedzińca, buchało gorąco piekące i suche; na ścianach oficynek i parkanów słońce rozwieszało płachty monotonnego, nieźnośnego blasku. We wnętrzu mieszkania, w przedpokoju, piętnastoletni chłopak w majtkach i koszuli, siedząc na sienniku, który mu służył za pościel, leniwie czyścił parę wykwinionych i kosztownych butów. Bawialnia będąca zarazem salą audyencyonalną i pracownią, była snadź niegdyś starannie przybrana. Naprzeciw drzwi wchodowych wisiało tam zwierciadło duże w ramach, które z pod grubiej warstwy pyłu, rzucało jeszcze mętne połyski złota. Dokoła ścian stały kanapy i krzesła ze starém lecz miękkim wykładaniem; pośrodku zaś, rozpościerało się ogromne

biuro, spiętrzone mnóstwem papierów i ksiąg prawnych, przyozdobione błyszczącymi gracikami ze szkła i bronzu, wraz z towarzyszącym mu fotelem z wysoką poręczą, — poważne, imponujące, prawie groźne. Spłowiwały i zdeptany dywan upiększał miejsce to i przyozdabiały je także wiszące na ścianie oleodruki, z których na jednych żywymi barwami jaśniała głowa dziecka. Dolną część obrazka tego opstrzyły muchy i pokrył pył i tylko ta twarz dziecięcia, różowa, naiwna, oblana uśmiechem rajskiej niewinności, zdumiewała w tym pokoju, niby załamany w gnijącej wodzie promień ideału. Sypialnia była ciasną, bo przepełniały ją: łóżko z rozrzuconą pościelą, szeszlag kryjący się pod stosem odzieży, wieszadło pełne przeróżnych ubrań, stołek z miednicą i kawałkiem mydła, gotownia ze zwierciadłem i różnymi gratami męskiej toalety, stół, na którym pośród kamizelek i krawatów, chustek do nosa i grzebieni, szczątków chleba, sera i śledzi na wyszczerbionych talerzach, pośród butelek całkiem lub na-pół wypróżnionych, stał buchający parą i zwieńczony imbryczkiem samowar. Kłęby pary buchającej z samowara bardziej jeszcze zgęszczały i rozgrzewały powietrze pokoju, oddychanie którem musiało być istotnym mazołem, połączonym z truciem się powolném lecz nieuchronném. Kaprowski przecież ani mazołu tego, ani trucizny téj nie czuł wcale. Było to rodzinne jego powietrze, innego nie znał i nie pragnął. Nie

otwierał nawet okna sypialni, przy którym siedział. W szlafroku i pantoflach, z rozrzuconemi włosami, tylko co znać wstał ze snu. Twarz jego była więcej niż kiedy zmordowana i gąbkowata, lecz rozjaśniał ją błogi uśmiech, gdy półgłosem czytał co następuje:

„Mój aniele! piąty już list do ciebie piszę, a odpowiesz jak niema, tak niema. Czy ty o mnie zapomniałeś, czy przestałeś mnie kochać? Pamiętaj, żeby tego nie było, bo zgubił-byś mnie na wieki. Nie wielka to sztuka, kiedy taki człowiek jak ty, rozumny i z wielkiego świata, zbałamuci młodą dziewczynę, ale pamiętaj, co ze mną stanie się, jeżeli ty mnie porzucisz, wszystko wykryje się. Już ja i teraz całemi nocami płaczę i myślę, że przyjdzie mi utopić się kiedyś z desperacyi. A tylko czekam i czekam, czy czasem nie przyjedziesz albo przynajmniej nie napiszesz do rodziców z oświadczeniem. Pamiętaj, że przyrzekłeś wtedy oświadczyć się zaraz o mnie rodzicom. A teraz już nawet do mnie nie piszesz. Onegdaj pod sekretem od mamy, Tereskę (to córka naszego parobka) posłałam na pocztę, czy czasem do mnie listu niema, a jak powróciła i powiedziała, że niema, ze złości w kark jej dałam. O mój Ludwisiu! ty jesteś moim ideałem, moją gwiazdą przewodnią, moim aniołem! Kiedy śpiewam ulubioną moję piosenkę: „O aniele, co z tej ziemi, w górne strefy lot podnosisz!” ty mi zawsze przed oczyma stoisz i tak wzlatu-

jesz, wzlatujesz wysoko aż pod same niebo. Nie mogę tobie opisać wszystkiego, co ze mną dzieje się. Apetyt zupełnie straciłam. Mama wczoraj pierwszy raz w tym roku zrobiła doskonałą *sielankę* (to taka potrawa, co robi się ze śmietany) a ja choć dawniej tak zawsze objadałam się *sielanką*, że aż mię w bokach kłuło, wczoraj ani razu do gęby jej nie wzięłam. Przytém mam różne nieprzyjemności z racyi mamy, która latem zawsze więcej na nas krzyczy jak w zimie, bo ma bardzo dużo roboty. Ja-bym nawet i chciała jej czasem pomódz, bo naprawdę matczyśko zapracowuje się i Różia chciała-by także, ale tak nam tu wszystko wygląda obrzydliwie, że ani weź! Różia to jeszcze prozaiczniejsza ode mnie i niema swego ideału, więc czasem i pomoże w czém matce, ale ja to tylko o tobie i o tobie myślę, mój aniele, a mama jak w złość wpadnie, to krzyczy. Onegdaj nawet dała mi w kark, a dziś znów zaczęła mię ni ztąd, ni zowąd całować i dopytywać, czego ja taka smutna. Naturalnie, że nic nie powiedziałam. Niech Pan Bóg broni, żeby rodzice dowiedzieli się o tém, co między nami zaszło, nim ślub nasz nastąpi! Ale ja wierzę, że to nastąpi prędko, że ty zlitujesz się nade mną i nie będziesz uważał na to, że ja biedna wieśniaczka i parałanka, a ty kawaler rozumny, z wielkiego świata i, jak ojciec mówi, do wielkiego majątku dochodzący.

„Dwa serca związane,
Klucz rzucony w morze,
Nikt nas nie rozłączy
Chyba Ty, o Boże!”

Jeżeli mnie kochasz, to prędko odpiszesz. I do rodziców pisz z oświadczeniami. Ja myślę, że nasz ślub powinien nastąpić najpóźniej na świętego Stefana, na imieniny ojca. Jeżeli ty tak nie zrobisz, to ja utopię się z desperacyi. Zlituj się i ratuj twoją do grobowej deski

Karolcie”

Skończywszy czytanie tego listu, Kaprowski spo-
chmurniał.

— Dyabelna historia — mruknął — był-bym chyba waryatem, gdybym dla ekonomówny jakiejś świat sobie zawiązywał. Zakochała się we mnie, dałam się złapać, a teraz masz dyable tabakę!

Rzucił znowu okiem na list.

— Górnice wyraża się to biedactwo,... „Mój aniele! moja gwiazdo przewodnia!”

Coś nakształt wyrazu rozczerwienia przebiegło mu po twarzy. Ulubionym sobie ruchem zaczął bujać się z krzesłem to w tył, to naprzód. Wkrótce spo-
chmurniał znowu. Raz jeszcze przebiegłszy list wzrokiem, podarł go w drobne kawałki.

— Kiepska historia! — powtórzył — i jak tu z tego wybrnąć!

Nerwowe drgnięcie wstrząsnęło mu policzkami i brwiami.

— Bieda na świecie!

Westchnął ciężko i zamyślił się, nie o tej już, ale o innych biedach swoich. Dochody miał znaczne, a nigdy grosza przy duszy utrzymać nie mógł. Fatalność jakaś ściga go nieustannie. Żeby choć raz sporą sumę jaką w karty wygrał. Nigdy! Jeżeli nawet kiedy i wygra, to zaraz z dużym dodatkiem wszystko straci. Fatalność! W straszną zapalczywość wpada, gdy grać zacznie, a tak nie można, bo ludzie zaraz z tego korzystają. Myślał długo o różnych sposobach grania w sztosy i rozbierał przyczyny kartowych niepowodzeń. Wpadł na domysł, że ubiegłej nocy stał się ofiarą jakiegoś fałszerza, przybyłego świeżo ze stron dalekich. Przysięgał sobie, że dopilnować go musi i schwytać na gorącym uczynku. Tymczasem pił herbatę, dolewając wciąż do szklanki po odrobinie pachnącego rumu.

— A taż Klarka! co za śliczna bestyjka! i jest to nawet wielka artystka. Jak ona śpiewała tę szansonetkę: „*Willst du spazieren gehen? Miau!*”

Uśmiechał się i bezwiednie rysami twarzy odtwarzał figlarną i cyniczną mimikę niemieckiej szansonistki. Raz nawet z cicha cichutko powtórzył: — Miau!

— Jakby to zrobić, aby ona jeszcze z miesiącem w Ongrodzie zabawiła! Pieniądzy-by na to trzeba!... pieniądze! pieniądze! pieniądze!

Zaczął w szlafroku przebiegać pokoik, a raczej

krążyć dokoła napelniających go sprzętów, potrącając je gniewnie i żywo gestykulując. Mógł-by już być od dawna bogatym, gdyby nie te przekłete pasye... Co zarobi, to zaraz i strwoni. Zarabia nawet sporo, w jesieni i zimie szczególnie. Cóż kiedy nigdy grosz grosza dogonić nie może. Ma nawet dokuczliwe długi. Po uszy siedzi w kieszeniach lichwiarzy. Z taką głową na karku, jak jego głowa, często nędzę cierpieć, nie jest że to czysty fatalizm? Żeby taki interes zdarzył się kiedykolwiek, z którego-by można było od razu dużą sumę, na przykład jakie kilkanaście tysięcy rubli zarobić! Spłacił-by długi i zmienił-by sposób życia. Ale gdzie tam! Czy to jemu byłoby tak szczęśliwym. Lichwa go zjada i zjadają go pasye, które o rozpacz pripraviają, ale z którymi rady sobie dać nie może...

Im dłużej myślał o kartach, Klarze, Karolci i pieniadzach, tém więcej czuł się rozdrażnionym, rozgniewanym, niespokojnym. Parę razy pochwycił się za rudawe, wilgotne włosy, jakby je chciał z głowy wyrwać. Drżącymi ustami i zdławionym szeptem nazwał siebie głupcem, idyotą, waryatem. Ile on traci pieniędzy! I na co? Ot, za talie kart, za taką na przykład Klarę, za godzinę wesołej hulanki, do piekła-by poszedł a potem, gdy wypróżni kieszenie i lichwiarze spokojnie mu przez ulicę przejść nie dają, rozdarł-by siebie własnymi rękoma. Tymczasem, rozdarł u piersi swój jedwabny, poplamiony szlafrok,

a opamiętawszy się, wziął z brudnej gotowalni flakon jakiś perfumy i oblał nią spoczone czoło i drżące ręce. Uspokojony trochę krzyknął donośnie.

— Jurek!

Z przedpokoju dał się słyszeć cienki, dziecinny głos, odpowiadający:

— W ten moment!

Do sypialni wpadł syn Mikołaja, z butem w jednej ręce, a szczotką w drugiej. Silny to był chłopak, rumiany, z zadartym nosem i przebiegłymi oczyma. Przed dwoma laty Mikołaj oddał go w służbę Kaprowskiego. Służba ta nie odebrała jeszcze dziecku wieśniaczej siły i czerstwości, ale wyraz twarzy zaprawiła mu już zuchwałym i chytrym sprytem. Wbiegłszy do pokoju, zaczął od bardzo zręcznego ściągnięcia z talerza niedojedzonej bułki i kawałka holenderskiego sera.

— Nikt dziś nie przychodził? — fuknął Kaprowski.

— I psa nie było! — piskliwym głosem odkrzyknął Jurek.

Kaprowski zżymnął się i syknął.

Mały sługa zniknął z sypialni.

— Jurek! — krzyknął znowu Kaprowski.

— W ten moment! — odkrzyknął mu z przedpokoju głos chłopca cienki i zdławiony pozeraną na prędcę bułką.

— Ubierać się!

W pół godziny potém, ubrany już zupełnie do bawialni wszedł. Był jak zwykle wystrojony, błyszczący łańcuchem, pierścionkami i złotą oprawą binokli, z chustki do nosa rozchodził się mocny zapach perfumy. Jurek wyniósł za nim kapelusz, cylinder, czyszcząc go po drodze rękawem podartego spencera. Na dnie kapelusza spoczywały glansowane rękawiczki.

Kaprowski stał chwilę przy biurku zapominając o wczoraj poszukiwanym i nieznanym dokumencie jednego z klientów i o wytaczającej się dziś w sądzie sprawie jego. Myślał nad czémś dość długo, potém siadł na fotelu z wysoką poręczą i prędko napisał dwa listy jeden bardzo krótki, na zwyczajnym, listowym papierze, drugi daleko dłuższy, skreślony na arkusiku woniejącym i przyozdobionym jakimś romantyczném godłem, kwiatkiem czy gołąbką. Włożywszy listy te w koperty i zaopatrzwszy je w adresy, krzyknął tak donośnie, jak gdyby apartament jego składał się z dziesięciu pokoiów:

— Jurek!

— W ten moment! — również donośnie i bardzo cienko odkrzyknął chłopak i jednocześnie wpadł do bawialni. Kaprowski bystro spojrzał mu w oczy.

— W ten moment — rzekł — polecisz mi do Hrynek, do ojca swego!

— Rozumiem, proszę pana, rozumiem! z nogi na nogę niecierpliwie przestępując, mówił chłopak.

— Oddasz ojcu ten list...

— Rozumiem!

Tym razem pochylił się zrećnie i podjawszy z dywana dziesiątkę z pugilaresa Kaprowskiego upadła, ścisnął ją mocno w garści, a potém do kieszeni majtek wpuścił.

— A ten drugi, mniejszy, postarasz się oddać pannience z Leśnej... pannie Bahrewiczównie... pannie Karolinie... młodszéj...

— Rozumiem!

— I żeby tych dwóch listów, prócz ojca twego i téj panienci, oko ludzkie nie widziało...

— Aj! rozumiem!

I nie mogąc już radości swéj powstrzymać, o ówierć łokcia w górę obu nogami podskoczył.

— Głupi jesteś ze swoim skakaniem, przestraszyłeś mię. Na, leć, a jeżeli jutro przed wieczorem z odpowiedzią ojca powrócisz, dostaniesz rubla...

Chłopiec schował listy w zanadrze i w pięć minut potém, zdjawszy podarte buty i na plecach je sobie zawiesiwszy, próg domu pana swego przeskoczył i jak strzała biegł przez ulice miasta, migocąc bosymi nogami wysoko w biegu podnoszonemi. Od lat paru dość często wysyłał go pan ze zleceniami podobnemi, do rodzinnej jego wioski. Po raz ostatni był tam w porze zbierania siana i plecia lnu i pszenicy...

Posiadłość dymisyonowanego żołnierza, pomiędzy dużą wsią Hrynieńską a folwarkiem Wólki znajdująca

się, była bardzo niewielką, z pół morga warzywnego ogrodu i paru morgów ornego pola złożoną. Dzielscy, dawni dziedzice Hrynek, darowali ją ojcu jego, który ze wsi téj pochodził, ale przez całe życie we dworze służył. Chata stara i zczerniała, bez komina i z malutkimi oknami, samotnie stała pomiędzy ogrodem a nieszeroką drogą, ze wsi do folwarku i dalej jeszcze wiodącą. Niedaleko ztamtąd stojące dwie grusze dzikie rosły już na gruncie Dzielskich, który wielkim klinem wbijał się pomiędzy pola włóścian hryneńskich i te, które do Wólki należały. Z téj to chaty Mikołaj do wojska wyszedł, pozostawiając w niej starego ojca i młodą, hożą, niedawno pojętą żonę; do niej wracał kilka razy na krótkie urlopy i наконец powrócił całkiem. Powrócił i ani ojca, ani żony w domu już nie znalazł. Piérwszy umarł, druga powlokła się z kimś w świat i bez wieści przepadła. Natomiast znajdowało się tam czworo dzieci różnego wieku, z których starsze doglądały i jako tako żywiły młodsze. Dowiedziawszy się o odejściu i zniknięciu żony, Mikołaj padł z razu na ziemię i aż zaryczał z płaczu, potem, przez cały tydzień pił w karczmie bez pamięci, nakoniec powrócił do chaty, najmłodsze dziecko wziął na ręce, nosił je po izbie, hołubił, kołysał, mruczając coś do niego o dziadku, który leży w mogile i o matce, która w świat poszła, aż oddał je najstarszój, dorosłej już dziewczce, a sam siadł na progu chaty i zaczął grać na mosiężnej trą-

bie, którą z sobą z wojska był przyniósł. Dął w trąbkę i rzucał na uciszone w późnej jesieni pola, przeciągłe, smętne, monotonne tony, tak, jakby ze świata dalekiego kogoś wołał, wołał... Że zaś był wtedy trochę jeszcze pijany, tonami trąby przywołując tak z dalekiego świata Maryskę swoją, wciąż popłakiwał i co moment odrywając od instrumentu usta, palcami nos ucierał, ciężko przytém wzdychając. Od tego czasu wiele lat już przeszło, a ex-soldat Maryski swój nigdy bez wzdychania i ucierania nosa wspominać nie mógł. Nie często jednak wspominał o niej, miał bowiem o czém myśleć i co robić. Najstarszą dziewczkę za mąż wydał, jednego z chłopców w służbę do miasta oddał i miał teraz przy sobie syna młodego parobka i córkę zaledwie dorosłą, która mu w chacie gospodynią była. Ale ta chata żał się Boże! waliła się prawie od starości, świszcziała wiatrem przez wszystkie szczeliny, pozór miała czarnęj przepaści, z powodu napełniającego ją wciąż dymu. I ten kawałek pola, co do niej należał! cóż to było? Na wykarmienie jednéj gęby zabrakło-by tego zboża, które na niem rosło. Kiedy Mikołaj na progu chaty siadał w trąbę dąć zaczynał, oczy jego siwe, przebiegłe, błyszczące, przesuwwały się po tym wielkim klinie ziemi, który wbijając się pomiędzy grunta Hrynek i Wólki, jego posiadłość z trzech stron, niby w kleszczach ścisnął. Po tym klinie żyznym, usiewanym w połowie pszenicą, a w połowie jęczmionami, oczy

soldata przesuwaly się tęskne, czule, rozkochane, a czasem pożądlive i srogie. Gdy wstawal z progu i z głośném westchnieniem członki swe wyciągał, ramiona jego zdawaly się wydłużać i wyprężać tak, jak gdyby tę trójkątną płachtę ziemi zagarnąć, zwinąć i do piersi przycisnąć pragnęły. Ludzie powiadali, że stanie się ona wkrótce własnością Mikołaja, bo Dzielscy szumnie sobie żyli i nie jedną już okrainę majątku swego różnym ludziom sprzedali...

W porze zbierania siana i plecia lnu i pszenicy, Mikołaj bez szynela, w majtkach i koszuli tylko, bosy, motyką okopywał w ogrodzie swym duże już rostki kartofli. Inni ludzie robili to małą soszką, jednym koniem założoną. Ale jemu żal się Boże, szkapisko po to ze stajenki wyciągać. Ile on tam tych kartofli sadził? Ówierć morga, nie więcej, drugą połowę ogrodu Ulanka zasiewała burakami, marchwią, makiem, lnem i konopiami. Ot tam z tamtej strony klina, pod lasem, pyszny był kawał ziemi na kartofle... ze dwa morgi, albo i więcej... ale to jeszcze do Dzielskich należało. Więc pół morga kartofli okopywał ręcznie, motyką, a przysadzista i czerwona Ulanka, na zielonej miedzy siedząc, buraki pleła. Nad pochyloną głową dziewczki wyrastał słonecznik i z wysokiej łodygi wielką, żółtą twarzą, na tle błękitnych obłoków świecił. Ulanka głowę podniosła na drogę, która z za chaty wywijała się białym, długim szlakiem, popatrzyła i zawołała:

— Tato! Jurek *bieżyć!*

Bose nogi chłopca i biała jego koszula migotały na słońcu, z daleka; buty i surducinę na plecach niósł. Zasapany, z twarzą oblaną potem, chłopak do ogrodu wpadł, i do ojca podbiegłszy, pokornie go kilka razy w rękę pocałował. Mikołaj łaskawym tonem zamienił z nim słów kilka, list Kaprowskiego od niego wziął i motykę na ziemi pozostawiając, do chaty poszedł. Jurek powitał naprzód siostrę kuksańcem w bok tak potężnym, że aż krzyknęła i wzajem go uderzeniem pięści odepchnęła, potem dwa całusy na spoconych jej policzkach wycisnął, nakoniec z kieszzeni majtek wyjął i na zagon przed nią rzucił, przyniesiony jej w charakterze gościńca obwarzanek. Udobruchana dziewczka, pogłaskała go dłonią po twarzy i wyszczerzyła do niego dwa rzędy białych jak perły, zębów. On wyciągnął się na miedzy jak długi i o jedzenie poprosił. Cztery mile ubiegł i prócz dwóch obwarzanków, które z miasta wychodząc kupił, nic w gębie nie miał. Ulanka wstała i poszła do chaty, aby mu kawał chleba i skórki od wędzonej słoniny do zjedzenia przynieść, zanim pora *popołudniowania* nadejdzie. Gdy weszła do chaty, znalazła ojca siedzącego na ławie u okna i czytającego list otrzymany. Dla przeczytania go, włożył na spiczasty swój nos ogromne okulary w drucianej oprawie, które mu jednak spełnianą czynność niedostatecznie ułatwiały: wielką trudnością pisane litery rozpoznawać mógł.

Całe pół godziny wpatrywał się przez okulary w króciutki list Kaprowskiego, półgłosem sylabizując go i uśmiechając się przytém, szydersko trochę, a trochę przebiegle. Z uśmiechem tym na ustach do ogrodu powrócił, motykę z ziemi podniósł i rostki kartofli starannie okopując znowu, Jurka do siebie zawołał. Chłopiec z gębą napchaną chlebem i od słoniny błyszczącą, na miedzy usiadł i, odpowiadając na ojcowskie pytania, szeroko i długo opowiadał ojcu o życiu, zwyczajach, rozmowach i stosunkach pana swego. W złotém świetle słoneczném, wysoki, wyprostowany człowiek w majtkach i koszuli uderzał wciąż motyką w ziemię, uważnie grudki jęj podnosząc i rozkładając, a podobnie ubrany chłopak, na miedzy siedząc, podnosił ku niemu rumianą, okrągłą twarz, wśród której świeciły bystre, swawolne, błękitne oczy. Z przelatującymi po twarzy tęg uśmiechami nieświadomego siebie cynizmu, dziecinny, cienkim głosem szczebiotał, szczebiotał o wszystkim, co u pana swego widział kiedy i słyszał, a o czém ojcu jego trzeba było wiedzieć koniecznie.

O zachodzie słońca, dokoła chaty Mikołaja, pola napełniły się rykiem bydła, beczeniem owiec, turkotem kół i ludzkimi głosami. Po drogach przerysowanych polami, zdaleka i zblizka, sunęły trzody pędzące ku Hrynkom, Wólce i szarzejącemu pod lasami folwarkowi Dzielskich; wozy naładowane sianem i w dwa konie założone naksztalt zielonych i rucian

mych wzgórz, przesuwwały się tu powoli, ówdzie prędko, rozlewając potoki mocnej i miłej woni. Nad wsią z jednej strony i nad folwarkiem z drugiej, wzbily się w złotem powietrzu słupy różowych dymów. Tu i tam psy szczekały; ztąd i zowąd ciągnęły sznury kosiarzy, świecąc zdala białemi koszulami i przy ostatnich promieniach słońca migocząc błyskami kos. Za kosiarzami, których grube rozmowy i śmiechy słyszać jeszcze było wtedy nawet, gdy zniknęli wśród szarych zabudowań folwarku, drogą mijającą zblizka chatę Mikołaja, szły grabielnice. Były to mieszkanki wsi Hryńskiej, które do robót polnych najmowały się okolicznym dworom i folwarkom. Dziś, po zapłatę dzienną zmierzały ku Wólce. Młode po większej części, harne, wyprostowane, w grubych koszulach i sztywnych samodziałowych spódnicach, bose i z ogorzałemi szyjami, dokoła których wiły się sznury szklanych paciorek; grable, które przez dzień cały zgarniały na łąkach koszone siano, niosły one w ten sposób, że nad głowami ich tworzył się gęsty las o liniach suchych i zębatych szczytach. Było ich ze dwadzieścia. Szły prędko i na całe gardło śpiewały monotonną, przeciągłą, jękliwą pieśń. Mijając chatę Mikołaja, przerwały śpiewanie i potężnym chórem przemówiły:

— Niech będzie pochwalony!

Słowami temi witały siedzącego na progu chaty swęj sołdata. Nie grał on dziś na trąbie, ale z wiel-

ką uwagą i skupieniem strugał nożykiem drewnianka różnych rozmiarów, z których wyrabiał skrzypce i inne cacka dziecinne. Z pozoru cały robocie oddany, wciąż jednak z ukosa zerkał na ludzi przechodzących drogą. Czekał może na kogoś. Usłyszawszy chóralne pozdrowienie grabielnic, podniósł głowę, odpowiedział: „Na wieki wieków”, i bystrém spójrzeniem gromadę kobiet przejrzawszy, zatrzymał je na téj z pomiędzy nich, która odłączywszy się od towarzyszek, szła o kilkanaście kroków za niemi, sama jedna. Nie była ona taką wyprostowaną i harną, jak tamte. Równe jéj nawet wiekiem, przenosiły ją o wiele siłą, żwawością i jakąś rażną pewnością siebie, malującą się w ruchach ich i na twarzach. Całodzienna praca nie znużyła ich a rozweselała nadzieją zarobku i możliwością pośpiewania sobie razem na wolném powietrzu, na szerokich polach. Tamta nie śpiewała.

— Hej! Krystyna! — zawołał Mikołaj.

Mógł-by był jéj nie przywoływać; sama skierowała się ku jego chacie. Grabielnice śpiewając wciąż, poszły dalej, ona stanęła przed siedzącym na progu żołdatem. Chuda jéj kibić i suchy profil twarzy zarysowały się na ciemném tle chaty; grabie sterczały nieruchomo nad plecami jéj i głową. Mikołaj z podniesioną twarzą patrzył na nią.

— Cóż tak wleciesz się od roboty, jakby nieżywa? — zaczął. — *Durna!* pośpiewała-byś sobie z innymi, to-by zaraz weselęj *stało!*

Kobieta pokiwała głową i policzek na dłoni wsparła.

— Oj Mikołaju, Mikołaju! — zaczęła — czy to takięj jak ja, do śpiewania! *Dobre śpiewaci* tym, co *mużykow* swoich i *chatu swaju* i *wsienko* po *poriadku majcie*, a mnie *w sirockiěj* mojęj doli nie do śpiewania. Ja już, ot, ze dwadzieścia lat nie śpiewała, chyba tylko chłopcom moim, albo i cudzym dzieciom do snu, albo i do zabawy... *Bolsz nikoli, dalboh, bolsz nikoli!*

— Dziwna ty baba! — zaczął Mikołaj.

Ale ona, raz rozgadana i do mądrego żołdaty szczególne zaufanie uczuwając, nieruchomemi oczyma w przestrzeń wpatrzona, dalej swoje prawila:

— Ni mnie kiedy družki na dzieży sadzały, ni mnie do ślubu śpiewały, ni ja złociste zboże garściami w kąty męzowskiéj chaty rzucała... Nie tak ja żyła jak drugie i nie tak teraz jak drugie po tym świecie chodzę...

— *Hodi* już, *hodi!* — przerwał Mikołaj — ot, chcesz może nowinę wiedzieć? Od pana hadwokata *pismo* dziś miałem!

Kobieta zmieniła w okamgnieniu postawę i wyraz twarzy. Wyprostowała się, kilka razy z nogi na nogę postąpiła, oczy zapłonęły, grabie gwałtownie założyły się nad głową.

— Pisał! o Pilipku może pisał! Jezu! mówciel co z moim synkiem najukochańszym będzie?

Mikołaj biorąc się znowu do strugania drewniek, flegmatycznie odpowiedział:

— A co ma być? Dobrze będzie. Zostanie się w Ongrodzie i do Hrynek na zimowanie go przyślą.

Grable Krystyny upadły na ziemię. Z krzykiem radości rzuciła się ku mówiącemu tak, jakby ręce jego ucałować chciała.

— Ot już baba i rozradowała się! — usuwając ją zlekka, ciągnął Mikołaj — a jeszcze niema czego. Jeszcze dekret nie zapadł.

— Nie zapadł! — prostując się znowu i ręce splatając, powtórzyła kobieta.

— Jużby to on i zapadł... tylko tam jeden *haficer* jest... taki szelma, że nie pozwala... Nie pozwala i nie pozwala... Co jemu zrobić?... Co już pan *hadwokat* jego naprosił, co już do niego nachodził się... „Nie pozwolę” mówi... „Niechaj, mówi, Pilip *mandruje* tam, dokąd jemu przeznaczono. Czy to ja, mówi, syna swego za niego tam poszlę, he?” Oto co w piśmie pana *hadwokata* stoi!

— Wyż, Mikołaju, mówili, że dobrze będzie... — ściskając mocno ręce, szepnęła kobieta.

— Jeżeli zechcecie, to może jeszcze i dobrze być — skrzypiąc nożykiem po drzewie, odparł żołdat. Podniósł potem głowę i skupionemi palcami prawej ręki dotknął kilka razy dłoni lewej. Krystyna, której dusza cała skupiła się w oczach, giest ten zrozumiała.

— *Znou hroszy!*

— A ty, baba, co myślała? Że w takiem wielkiem mieście, taki ważny interes, za głupie kilka groszy można zrobić? Ot nietylko co, ale jeszcze i pan *hadwokat* sam swoich pięciu procentów nie wziął... *jěj Bohu*, nie wziął... Wszyściuskie oddał... A to *sprawki*, a to *sztemple*, a to *świadectwa* od doktorów, że chory, a to temu w rękę wsunąć, a to tamtemu... tak i *hrosze* rozeszli się, wiadomo okrągłe, a teraz co z tym *haficerem* robić? Można zrobić, ale *znou hroszy* trzeba... można i nie zrobić, to i cóż? Wielka bieda! *Pomandruje* sobie Pilipek tam, *hędzie* i ja był... Oj, oj! wielka parada! Poleży sobie tak jak ja w łazarecie na żółtą *trascę*, i osypie jego tak jak mnie wysypka taka duża jak bób, *ruki* sobie odmrozi tak, że popuchną mu jak poduchy, albo uszy mu zgniją od téj wysypki i poodpadają... Albo ja na takie rzeczy nie patrzył? To i co? Wielka bieda! Może i wyżyje, a jak nie wyżyje, to zamrze... i kości jego *jěj! jěj!* daleko pogrzebią... Kruki tylko i wrony na mogiłkę jego zlatywać będą, a ty nad nią nie zapłaczesz, bo nie zobaczysz *jěj* nigdy. Wielka tobie bieda!

Krystyna stała, jak w ziemię wryta. Walka wewnętrzna malowała się na *jěj* twarzy, przez wypuklenie się zmarszczek na czole i silne zaciśnięcie wąskich, bladych warg. Policzek na dłoni wsparła i w ziemię patrzyła. Po chwili, cicho, jakby do samej siebie, mówić zaczęła:

— Bładzienki był i delikatny taki od urodze-

nia, a taki potulny i nie zuchwały, jak baranek. Bywało, Antosiek czasem nie posłucha matki... a on, nigdy! Rączynami mię za szyję, bywało, obejmie, i mówi: „Już ja tobie, mamu, nigdy zgryzoty nie zrobię; twoja dola i tak gorzka...”

Soldat pomiędzy dwa drewienka naciągając niciane struny, milczał.

Ona znowu mówić zaczęła.

— Oczki u niego *sinienkie* takie, jak te kwiatki lnu... a choć słabienki był zawsze, wyrósł jak topola... Wyrósł, do wojska go wzięli, a jak mnie zobaczył, na ziemię przedemną, jak przed świętym ołtarzem padł i kolana moje całował. Oj, *ditia* ty moje najmilsze, krwawicą moją wykarmione, w łzach moich wychodowane... Słoneczko moje bladzieńkie, kwiateczku mój, co ciebie *witer* odemnie w dalekie strony niesie...

Mikołaj wciąż jakby słów jej nie słyszał i tylko nie wiedzieć dlaczego, koniec nosa jego nad robotą pochylony, zaczerwienił się mocniej. Nie podnosił głowy i długo ani słowa do kobiety nie przemówił. Nakoniec rzekł krótko:

— Róbcie sobie, jak chcecie. Mnie nic do tego.

I z wielkim hałasem nos palcami utarł, poczem rękawem od koszuli po wąsach i ustach powiodł, co wszystko czynił w chwilach wzruszenia. Krystyna grabie z ziemi podniosła i głową żołdatowi na poże-

gnanie kiwnęła. Na twarz jej wrócił najzwyczajniejszy jej wyraz, posępną energii.

— Kiedy *hrosze* przyniesiesz? — zapytała.

— A kiedy tam sobie chcesz — z wyraźną niechęcią odmruknął żołdat. — Mój chłopiec, co u pana *hadwokata* służy, jutro *czuć świt* nazad do miasta poleci.

— *Czuć świt* i ja tu przyjdę — odpowiedziała Krystyna i dodała: — Z Bogiem, Mikołaju!

— Z Bogiem! Z Bogiem!

Sam jeden na progu chaty zostawszy, ręce na kolanach złożył i zamyślił się. Przez chwilę krzywił się tak, jakby coś bardzo niesmacznego połknął, ale potem, wzrok jego, z przyzwyczajenia, spłynął na ową szmatę ziemi, która szerokimi miedzami w trójkąt zarysowana, od lasu sunąc, malutką jego posiadłość w ogromne jakby nożyce ujmowała. Leżała tam, ta ukochana i ta pożądana w zapadającym zmroku, zieleniejąca jeszcze ugorem i złocąca się dojrzewającym żytem. Mikołaj przestał krzywić usta, natomiast złożył je do gwizdania. Pogwizdywał sobie chwilę; był-by może poszedł do chaty po trąbę, ale nie mógł jeszcze opuścić stanowiska swego. Czekał jeszcze na kogoś, bo wciąż na drodze spoglądał. Doczekał się nakoniec. Spóźniona fura siana sunęła zwolna ku jego chacie. Na szczycie fury siedzący człowiek pozdrowił go wyrazem:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wiekil Jasiuk?

— A ja!

— Jak będziesz miał czas, przyjdź dziś pomówić ze mną... tylko dziś koniecznie... *czujesz?*

— *Dobre.* Czemu nie? *Prydu!* — spokojnym, trochę leniwym głosem odparł parobek, a że późno już było, zaciął konie i przędź trochę z furą ku folwarkowi zdązał.

Na folwarku gospodarzył dziś sam Bahrewicz. Już wszystko należycie obejrzał, kogo należało wykrzycać, co wypadało zrachować, zrachował; a teraz przed domkiem, w którym mieszkał namiestnik i pachciarz, robotnikom i robotnicom należną im płacę wyliczał. Na stołku siedział, a na kolanach trzymał dwa worki drobnej monety. Namiestnik i pachciarz pomagali mu w liczeniu i rozdawaniu pieniędzy, kosiarze i grabielnice brali je, kłaniali się, mówili: „Niech będzie pochwalony” i pojedynczo lub gromadkami folwark opuszczali. Wśród grabielnic była i Krystyna. Wzięła pieniądze i także odeszła, nie ku czworakowi jednak, ale ku stodołę, za którą zniknęła. U płotu stał osiodłany, tłusty konik ekonomy. Gdy wszystkie zajęcia i rozporządzenia zostały już dokonane i wydane, namiestnik konika tego od płotu odwiązał i ku zwierchnikowi go przyprowadził. Z ruchów Bahrewicza i wyrazu twarzy znać było, że śpieszył się bardzo. Przyczyna pośpiechu tego była zrozumiała. Madzia nie lubiła okrutnie

jeżdżenia jego do Wólki, w której mieszkała Krystyna, i ile razy zabawił tam dłużej nieco... cóż? no, nie tak szczególnego:—miotła! Dziś zaś zajęcia miał wiele i później, niż zwykle, do domu wracał. Spieszył więc i za bramą miał już konika do pełnego kłusa wypuścić, gdy z za stodoły wysunęła się i drogę mu zasłania Krystyna. W letnim, przezroczystym zmroku poznał ją od razu. Nie mogła zjawić się bardziej nie w porę. Gdy jednak półgłosem zawołała: „Panie, panie, poczekajcie *kryszkę!*” wstrzymał konia i szorstko trochę odezwał się:

— Dobry wieczór, Krystyna! No i czegoż tam znowu chcesz?

Nie starała się pomówić z nim na folwarcznym dziedzińcu, lecz tu mu zachodziła drogę, dlatego, że wstydziła się rozmawiać z nim przy ludziach. Lata biegly, twarz jęj starzała się, córki jego i jęj synowie dorosli,—darmo! Wstydziła się—i koniec! Zdawało się jęj, że nietylko ludzie, ale drzewa i ptaki na drzewach śmiały-by się z nięj, wrzeszcząc: „Porzucił! wziął i porzucił! Z dwoma bębnami porzucił, a baba jeszcze goni za nim!” A ona za nim nigdy, nigdy nie goniła, odkąd ją z pod dachu swego wyprawił, a inną za żonkę pojął. Była-by raczej pod ziemię schowała się, niż by miała za nim gonić. Tylko w sierocém jęj życiu, bez krewnych i życzliwych, z dwoma chłopcami na karku, zdarzały się okoliczności takie, w których potrzebowała opieki albo rady,

i dawne, dawne wspomnienia, które na dnie jęj duszy wciąż sobie popłakiwały, pchały ją ku niemu po tę opiekę i radę. Teraz, gdy on na koniu siedział wyprostowany, silny, czerstwy, w długim za kolana odzieniu i zgrabnej czapeczce na głowie, ona, u siodła jego stała, szczupła, nieśmiała, bosa, z włosami opadającymi z pod spłowiałej chustki, na zorane i zwiędłe czoło. Nieśmiało i przyciszonym głosem opowiadała mu swoją wielką troskę. Czy ten *hadwokat* z Ongrodu, ten Kaprowski, naprawdę Pilipka wyratować może? Czy pieniądze jęj nie przepadną? Czy ma dawać ich więcej?

— Wy, panie, znacie *hetaho hadwokata*. On niedawno w gościnie u was był. Mikołaj jego zna, a Mikołaj to już bardzo mądry i dobry człowiek... ale wiadomo, człowiek omylić się może... Co mnie tu robić?

Bahrewicz o adwokacie tym, którego znał Mikołaj, miał najlepsze pod słońcem wyobrażenie. Można nawet powiedzieć, że rozum jego, stosunki, elegancja, budziły w nim pewien gatunek czci. Uważał go już zresztą prawie za zięcia swego. Pomimo więc niepokoju o następstwa spóźnienia się, cierpliwie wysłuchawszy krótkich zresztą pytań kobiety, łagodnie powiedział jęj to, o czém istotnie najmocniej był przekonany, mianowicie, że sprytniejszego i możniejszego adwokata, jak Kaprowski, nietylko w Ongrodzie, ale może i na całym świecie niéma; że jeżeli co-

kolwiek, w czymkolwiek interesie można zrobić, to on już najpewniej zrobi, ale że bez pieniędzy nie wcale na świecie zrobić nie można. Ile ich od Krystyny żądał Kaprowski, ile ona ich miała i dać mu mogła, nie zapytał, jak też i nie pomyślał nad tém, czy istotnie możliwem było, przez jakiegokolwiek starania, za-trzymać w rodzinnych stronach żołnierza, którego gdzieindziej wysyłają. A gdyby zresztą dzień i noc nad tém rozmyślał, wyszło-by to zupełnie na jedno. Wprost, nie wiedział wcale, czy to było możliwem, lub niemożliwem. Zdawało mu się, że: czemu nie? Za pieniądze i z takim sprytem, jaki posiada Kaprowski, i z takimi jeszcze stosunkami, wszystko zrobić można. Powiedział to Krystynie i z wysokości siodła patrząc na nią, zapytał jeszcze:

— Cóż? jakże ci tam? niebardzo źle z Jasiukami żyć? he?

Nie odpowiedziała. Jak nigdy nie goniła za nim, tak też nigdy i nie opowiadała mu, jak jęj było żyć: dobrze, czy źle? Zapytała się czasem o co, o ratunek jaki dla którego z synów poprosiła i *hodi!* Co jęj tam z tego przyjdzie, że mu opowie? Albo on jęj pożałuje? Nie pożałował młodej, to teraz zestarzałej, tembardziej żałować nie będzie!

— Dobranoc, Krystyno! — pożegnał ją, odjeżdżając.

— Jedźcie, panie, szczęśliwie — odpowiedziała, lecz nie odeszła.

On konia do szybkiego klusa wypuścił i tego trzymając się siodła, przy słabnącym wciąż tentencie kopyt końskich, w coraz gęstszym zmroku oddalał się i znikał. Ona z policzkiem na dłoni wspartym, stała na tém samém miejscu, na którém z nim rozmawiała; ku gwiazdom, których wiele zaświeciło już na niebie, oczu nie wzniosła. O, nie! W ziemię patrzyła, w ziemię zmoczoną rosą, jak łzami, w ziemię, z którój wyrosła jak trawa samotna, ludziom do deptania, wstydu i troskom na pokarm. Wspomnienia, które na dnie jój duszy, pod grubą warstwą trosk, wstydu i pracy wiecznie sobie popłakiwały, teraz, przy słabnącym wciąż tentencie kopyt końskich, rozpląkały się rzewnie. W ziemię wpatrzone jój oczy suche były, ale pod grubą koszulą, w piersi zapadłej kroplami krwi rozpląkała się rana niezgojona. Kilka razy cicho powtórzyła:

— Jedźcie, panie, szczęśliwie! Jedźcie, panie szczęśliwie! jedźcie szczęśliwie! Z Bogiem!

Było to coś nakształt słów przebaczenia i błogosławieństwa.

Nagle pomiędzy wzrokiem jój i ziemią przesunęła się twarz młodego chłopca, otoczona włosami po żołniersku ostrzyżonemi, bladawa, ściągła, z oczyma podobnemi do kwiatów lnu. Nic, tylko przesunęła się, smutna, trochę do płaczu skrzywiona i kawałek żołnierskiego szynela zaświecił metalowym guzikiem. Krystyna porwała się z miejsca, ku czworakowi pę-

dem pobiegła. Teraz w duszy jój nie już nie było, prócz powtarzającego się po tysiąc razy wyrazu: syn! syn!—i dokoła tego wyrazu krążącej radości, że wyratować go można. Bahrewicz powiedział, że można, i że ten *hadwokat* to wielki człowiek... Ona i wprzód myślała sobie, że kiedy Mikołaj tak mówi, to już pewno prawda, ale Bahrewicz lepiej jego zna i jeszcze mądrzejszy od Mikołaja, a tak samo mówi...

W czworaku, skoro tylko wieczera została zjedzoną i dzieci usnęły, Jasiuk przysiadł się do żony, która nie leżała już wprawdzie, ale skurczona i wciąż niedomagająca, siedziała na jedyném tu łóżku, okrytém zamiast pościeli sianem i grubém płótnem. Oboje zaczęli z sobą bardzo żywo i bardzo cicho rozmawiać. Jasiuk wspominał o Mikołaju, od którego przed samą wieczera powrócił, drapał się w głowę i ociężałemi gestami okazywał zakłopotanie i niepokój. Jeleną za to, widocznie cieszyła się z czegoś i o coś na męża nalegała. Od owego nie-
szczęśliwego połogu kaszlała często i parę razy krew z ust się pokazywała. Jasiuk kaszłania tego nie cierpał, powiadając, że gdy je usłyszy, pod sercem wiercić mu coś zaczyna. — „Śruba nie śruba, mówił, ot tak i wkręca się pod serce.” — Teraz więc, gdy Jeleną, przekonywając go o czémś i o coś prosząc, zaniosła się kaszlem, wstał i rzekł:

— Nu *dobre* już *dobre*; pójdę, zaniosę jeszcze, zry-

zykuje... Może Bóg zlituje się i pociechę ześle, a ty, babo, jak uradujesz się, to i wyzdrowiejesz...

— A pewno — odparła Jelena — *musić* radość to *najmędrzejsza* znachorka... *najlepiej* leczy...

— Ale! — potwierdził mąż i popatrzeni na siebie. Ona i teraz już uradowana uśmiechała się do niego blademi, łagodnemi ustami; on ciemne, gęstą czupryną zarzucone czoło rozjaśnił.

— Może Pan Bóg zlituje się i pociechę ześle! — powtórzył.

Potém, kiedy Jasiuk i żona jego zasnęli, Krystyna i Antosiek wsunęli się do komory. Tak jak przed trzema miesiącami, kobieta siadła znowu na ziemi i skrzynkę otworzyła, a parobczak stojący za nią trzymał w ręku palące się łuczywo. I tak jak przed trzema miesiącami, z dna skrzyni ukazała się znowu pończocha, już tylko w dwóch trzecich pieniędzmi napchana. Krystyna wyjęła z niej naprzód dwa arkusze papieru, żółłkę, we czworo złożone, i z poszanowaniem uroczystém na stronie je położywszy, miedziane i srebrne monety liczyć zaczęła. I tak samo jak wtedy, Antosiek przyglądał się temu, lecz kiedy już sumę potrzebną odłożyła, zapuścił wzrok w głąb pończochy i z niejakiém wahaniem w głosie rzekł:

— Mamo, a to co zostało, znaczy, już moje!

— Twoje, synku, twoje — odpowiedziała i nad policzonemi tylko co pieniędzmi zadumała się przez chwilę. — Ot tobie i pogrzeb z księdzem i chorą-

gwiami! Ot tobie i piękna trumna! Ot tobie i krzyż na mogile, piękny, malowany! Jak pies żyłam, jak psa mię pogrzebią. Oj Pilipku, Pilipku! na śmierć ja sobie te *hrosze* chowała, na śmierć dostatnią, chrześcijańską i mogiłę śliczną, co by mi nagrodiła wstyd, który żyjąca piłam... Ale... wola Boża! śmiertelne te pieniądze moje na twój ratunek, *ditia* ty moje, oddaje...

Parę łez kapnęło z jój oczu na miedziane i srebrne monety. Antosiek szeptania jój słuchał z ponurą trochę miną. Gdy żółłkę papiery ostrożnie i z uszanowaniem w zwykłym schowaniu umieściła i brała się do związywania pończochy, parobczak oburkliwe jakoś i szorstko mruknął:

— Ale moich, to już, mamó, ztąd nie bierzcie... Żeby tam nie wiem co, nie bierzcie! Dość już dawaliście Pilipku, niech i mnie troszkę dostanie się... Wszakże i ja dziecko wasze, nie czyje... *Czujecie*, mamó!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Oczy chłopca paliły się takim ogniem, jakiego w nich nie widziała dotąd; głos téż jego dziwnie był zmienionym. Chciała złajac go za to, że zuchwale odezwał się do niej, ale ostatnie wyrazy jego żal w niej wzbudziły.

— A czyjeż ty dziecko? — odpowiedziała — wiadomo że moje, tak jak i Pilipek. Na obydwóch was ja pracowała i obydwóch lubiła, jak dwoje oczu w głowie... tylko, że teraz tamten biedniejszy... ty tu i dzięki Bogu, zdrów i silny, a on słabienki, niedomaga

i *szluc* jego tam, gdzie żółta *trasca* i *takaja* wysypka, od której uszy gniją i odpadają... To ja, widzisz synku, dlatego jemu oddała pieniądze jego i swoje śmiertelne...

— Ale moich to już nie oddacie — powtórzył Antosiek i dodał jeszcze: — a jeżeli oddacie, to wam tego do śmierci nie zapomnę... Dalibóg, pobożyłem się, że nie zapomnę!...

— Nie oddam, synku, nie oddam! Te już tylko pośle... *haficer* ten zgodzi się i dekret zapadnie, że Piłipek do Hrynek na zimowanie przyjdzie...

— Nu, *dobre*, i ja sam tego chciałby bardzo — zakończył uspokojony już parobek i pomógł matce skrzynkę zamknąć.

Wszystko to działo się w czerwcu, w porze zbierania siana, okopywania kartofli i plecia lnu i pszenicy. Teraz w sierpniu, Jurek znowu do chaty ojcowskiej przybiegł, ale ojca w domu nie znalazł. Ulanka, która w chacie len tarła, powiedziała mu, że starszy brat orał w polu, a ojciec poszedł do Dzielskich, o ziemi tej pomówić, którą oni sprzedają, a on kupić żąda. Chata była napełniona więziami wysuszonego lnu. Stały tam one na ławach i na glinianej podłodze, o czarne ściany wsparte. Dziewczyna niezmiernie lmem zajęta, pośpiesznie dała bratu misę krupniku i kawał razowego chleba. Jurek zjadał, paplał siostrze różne dziwy o mieście, w którym mieszkał, poczem zerwał się z ławy, wybiegł z chaty na

drogę i pogwizdując, wyskakując, gałęzie z drzew obrywając, kamienie na polu rzucając, dążył w kierunku Leśnej. Dość prędko, bo może w parę godzin wracał do ojcowskiej chaty. Wracał innym wcale krokiem i z inną miną, niż gdy odchodził. Nogami powłóczył, jak gdyby miał lat ośmdziesiąt, wargi z wyrazem rozgniewania i żalu wydymał, oczy miał zapuchnięte od płaczu, kołnierz od koszuli rozdarty i na jednym policzku obrzękłą, pochodzącą od silnego jakiegoś uderzenia. Wsunął się do chaty krokiem złodzieja, przy drzwiach stanął i pięści do oczu przyłożywszy, zasłochał. Czapka mu z głowy spadła i ukazała włosy do najwyższego stopnia rozczochrane. Ulanka, która w piecu ogień rozpałała, ujrzawszy go takim, krzyknęła:

— A toż co? do czego ty podobny? czego płaczesz? czy cię kto bił?

— Zabiła! — pięściami wciąż oczy przyciskając jęknął chłopiec. — Ze wszystkiem zabiła!

Dziewczyna przyskoczywszy, oglądała go od stóp do głowy.

— Kto cię zabił? — pytała.

— Ta wiedźma z Leśnej... Bahrewiczycha... — zajęczał znowu.

— A czegoż ty do Leśnej latał?

— Z listem od pana... Żeby on tak świata nie widział, jak on mnie tam posłał... hu, hu, hu...

I płakał znowu. Dziewczyna litość nad bratem

uczula i na Bahrewiczową za *zabicie* jego obraziła się srodze. Czerwonemi rękoma włosy mu przygładziła, kołnierz uporządkowała i, posadziwszy go na ławie, w kształcie pociechy, przyniosła mu z komory dwie garście słonecznikowych ziarn, które przed nim na stół wysypała.

— *Jesz* — rzekła — *nuż jesz* a nie *becz!* *baćko* zaraz przyjdzie, a tymczasem rozpowieźdź mnie, jak to było...

Wróciła do rozpalonego ognia i nastawiania wieczery, a Jurek, łuszcząc i zjadając smaczne ziarnka, powoli uspakając się zaczynał, i żalosnym zrazu, a potem coraz weselszym głosem opowiadał siostrze, jak to było.

Było to jak następuje:

W małej bawialni Bahrewiczów, dwie panienki siedziały jak zwykle przy dwu oknach. Ponieważ dnia tego gości żadnych nie miały i nie oczekiwały, koków sobie do głów nie przypięły i turnir do talii nie przywiązały. Grube i piękne warkocze spadały im na białe kaftany, przyozdobione haftami i koronkami własnego wyrobu. Jak zwykle bywało, siedząc przy oknach, wedle wyrażenia matki: „*dłubaty*”. Różia reperowała falbanki i bufki przy świątecznej sukience, Karolka jaskrawą jakąś wstążeczkę bardzo pracowicie naszywała błyszczącymi paciorkami. Jaskrawego istotnie trzebaby stroju, aby ożywić nieco dziwnie przez ostatnie miesiące pobladłą i nadwiedłą

cere panienki. Była formalnie do siebie niepodobną; świeżość, zarówno jak wesołość z twarzy jej zniknęły. Podkrażone oczy miewały chwilami wyraz posępny i od czasu do czasu napełniały się łzami. Łowiąc igłą rozsypane na stole paciorki, wdychała; Różia tłusciutka i rumiana, jak dawniej, spoglądając czasem na siostrę z ukosa, myślała: — Ot, wziął i porzucił! bałamucił, bałamucił i porzucił! A Karolka taka głupia, że po nim desperuje! Jabym mu już dawno w oczy plunęła i ani za nim obejrzała się!

Nagle, Karolka wzrok zwróciwszy ku oknu, zarumieniła się i z krzesła poskoczyła. Smutne jej oczy błysnęły radością. Zobaczyła Jurka, który pod płótem przesunąwszy się, stanął wśród akacyowych i berbersowych zarośli, tworzących na dziedzińcu dwa gęste, cieniste klomby. Stał w cieniu akacyj, bzów i berbersów, na tém samém miejscu, na którém w ów wieczór marcowy Krystyna oczekiwała ukazania się Bahrewicza, aby go dla niedoli Pilipka o radę błagać. I jak ona wtedy, z małych okien domu oczu nie spuszczał, tylko, że te oczy małego fagasa błyszczały swawolą i filuterną przebiegłością. Dwa lata służby u Kaprowskiego nauczyły go mnóstwa rzeczy; rozumiał wybornie znaczenie poselstwa swego i spoglądając w okna ekonomskiego domu, mrugał ku nim figlarnie, wykrzywił się pocieszenie i rękawem spencera zakrywał śmiejące się usta. Karolka znała go dobrze i wiedziała, gdzie teraz przebywa.

Ujrawszy go więc przez okno, zarumieniała się gwałtownie, oczyma radośnie błysnęła i jak strzała na dziedziniec wypadła. Wypadła też z pokoju i Różia, ale nie na dziedziniec, tylko do znajdującej się z drugiej strony domu, izby czeladnej.

— Mamol! mamol! — przytłumionym głosem wołała — jeżeli mama chce odkryć Karolci sekret, to proszę teraz na dziedziniec iść... tam *lokajczuk* kuzyna Ludwika przyszedł do niej...

W izbie czeladnej dwie dziewczki zajmowały się biciem masła i robieniem serów. Bahrewiczowa własnoręcznie siekała zielsko dla wieprzów. Usłyszawszy śpieszny szept córki, której od ciekawości oczy aż gorzały, rzuciła na ziemię żelazne narzędzie, którym zielsko siekała i ku drzwiom pobiegła.

— Ta Różia, to sprytna dziewczyna! zawsze dowie się czegoś o ojcu, siostrze albo sługach, i matce doniesie. Karolka za to, nigdy do takich rzeczy zdatną nie była. Mazgać się tylko umie. Ot i teraz! Czyta jakiś list, a łyż jak groch z oczu jej na papier padają.

Bahrewiczowej, patrzącej zdala na bladziutką twarz córki, po której z pod spuszczonych powiek łyż ciekły, serce ścisnęło się żalem i obawą. Ale uczucia tklive i trwożne tłumaczyły się u niej przez buchnięcie krwi do twarzy i wnet za sobą przywodziły złość. Strasznie wyglądała, gdy na palcach nóg kołysząc się, zielony klomb dokoła obchodziła, aby Jur-

ka i Karolkę z tyłu napaść i dowiedzieć się наконец tego sekretu, który naprawdę, od paru miesięcy szpilka ją w serce kłuł. Jak zwykle przy gospodarskiej pracy, bosa była, rozczochrana, w krótkiej spódnicy i kaftanie oblanym maślanką, a pozwalającym wydatnić się bogatym kształtom. Na Jurka i Karolkę jakby grom spadł; pierwszego za kołnierz od koszuli chwyciła, drugiej list z ręki wydarła. Dziewczyna przelekła się tak, że aż osunęła się na trawę i obu dłońmi twarz zakrywając, skamieniała jakby z trwogi. Jurek zaszamotał się, krzyknął parę razy i z szeroko wytrzeszczonemi oczyma i otwartemi ustami skamieniał także. Potężna Madzia, jedną ręką jeńca swego trzymając, drugą list do oczu podnosiła. Jakkolwiek potężną była, ramiona jej ze wzruszenia drżały. Edukowaną niegdyś będąc, pisane rzeczy dość biegle odczytywała, a Kaprowski miał pismo bujne i wyraźne. W parę minut więc krótki list odczytała i dowiedziała się z niego o wielkiem, wielkiem nieszczęściu córki. Ukazywało się ono w liście tym, jak na dłoni. Jak na dłoni ujrzała wszystko... Rozdzierającym głosem krzyknęła:

— Boże mój! Boże mój! Boże mój miłosierny!

Ogromna boleść twarz jej wykrzywiła, oczy zasły krwią i łzami i, przedewszystkiem potężnie zamachnąwszy ręką, chłopca, którego za kołnierz trzymała, bić zaczęła. Gniew jej, podniecaný uczuwaną boleścią, zdawał się granic nie mieć. Przeciw zwy-

czajowi swemu, nie krzyczała wcale, tylko z zaciśniętymi zębami uderzała nieszczęśliwego posła, targała go za włosy i uszy, odzienie na nim szarpała. Mogłaby go była zabić, gdyby nie wielka sprężystość chłopca, który jak wąż wił się w jej ręku, i wdanie się Rózi, która własne plecy narażając, na plac boju wpadła i z młodocianą, po matce odziedziczoną siłą, za ręce ją chwycić zaczęła. Nikt inny na krzyki Jurka nie przybiegł. Mężka ludność folwarku znajdowała się w stodole lub na polu, dziewczki folwarczne zbyt przyzwyczajone były do *hawantur* przez panią wyprawianych, aby się lada czém wzruszać mogły. Ale Różia wojowała z matką nieustraszenie i dzielnie, aż nakoniec, wydobyła z rąk jej chłopca, który też jak strzała puścił się ku bramie. Wtedy Bahrewiczowa chciała z pięściami rzucić się na Karolkę, wciąż na trawie siedzącą i zanoszącą się od płaczu. Ale i tym razem Różia dziarsko stanęła pomiędzy matką i siostrą. Zasłaniając tę ostatnią pulchną i sprężyste wyprostowaną kibicią, wołała:

— Niech mama upamięta się! Niech mama awantur na dziedzińcu nie robi! Ja wszystkiego już domyśliłam się i oświadczam mamie, że Karolki krzywdzić nie pozwolę! Dość ją już ten przekłety bałamut skrzywdził. I mnie to kompromituje... i ja może przez to za mąż nie wyjdę, a jednakowoż nie gniewam się na nią, bo mnie jej żal...

I z kolei rozplakana, schyliła się ku siostrze, ob-

jęła ją ramionami i z ziemi podniosłszy, chwiejącą się, ledwie żywą ku gankowi prowadziła.

— Ależ bo *durna* jesteś! — podtrzymując ją i w czoło całując, szeptała — no, *durna*, żeby tak zupełnie uwierzyć...

— Róziu! — szepnęła Karolcia — on jest ideałem moim... aniołem...

— Niech go dyabli porwą! — sarknęła siostra i przyspieszając kroku, dodała: — Uciekajmy od mamy... drzwi pokoju naszego na klucz zamkniemy, żeby nie wpadła, i opowiesz mi wszystko...

Łzami szczerego współczucia zalane jej oczy zaświeciły ciekawością. Madzia tymczasem biegała po folwarku, do czworaków, obór i stodoły zaglądając i do spotykanych ludzi krzycząc:

— Gdzie pan? gdzie pan?

We wzburzeniu swém zapomniła, że mąż pojechał do rady na sesję ekonomów i wrócić miał ledwie wieczorem. Parobcy i żony ich wzruszali ramionami, szepcąc pomiędzy sobą, że *Bahrewicz* ze wszystkiém już zwaryowała. Istotnie, w wielkim bólu swym, zmieszanym z większym jeszcze gniewem, miała pozór waryatki. Wpadłszy do domu, Bóg wie co uczyniłaby z Karolką, ale Różia zamknęła się z siostrą na klucz i przez zamknięte drzwi niezmordowanie, całe dwie godziny z matką parlamentowała. Parlamentowanie to nie było wcale podobnóm do tych, które odbywają się w zgromadzeniach pra-

wodawczych różnych państw europejskich. Zamieniane słowa, gesty i dźwięki głosów były tam wcale inne; skutek przecież nieustraszonosci Rózi był ten, że po dwu godzinach Madzia przestała trząść drzwiami, łajać i krzyczeć, a osunawszy się na ziemię pod progiem, błagać zaczęła Rózię, aby jój Karolcię choć na moment pokazała.

— Może już ona nie żyje... — szlochała — Jezusie Chrystusie! może łotr ten zabił ją już zupełnie...

— Karolcia ledwie żyje! — odskrzyknęła Różia — i jak mama dręczyć ją będzie, umrze zaraz... z pewnością...

— Róziu! Rózieczku! puść-że ty mnie do niéj! Ona nic od rana nie jadła... Oj, biedactwo moje, biedactwo moje! Trzeba jój trochę pontaku dać! Otwórzcie drzwi, bo, jak nie, Jezusie Chrystusie! zawołam parobków i wyłamać każę... Co to, czy ty mi bronić będziesz własne dziecko zobaczyć i pocieszyć?

Teraz Różia wiedziała, że bezpiecznie już drzwi otworzyć było można. Po fazie bezgranicznego gniewu nastąpiła faza bezgranicznej czułości. Przez otworzone drzwi Bahrewiczowa do pokoju córek wpadła i Karolkę, która przed nią na klęczki osunąć się chciała, w potężne ramiona schwyciła. Dziewczyna była istotnie w stanie litość budzącym. Bahrewiczowa płacząc, sapiąc, jęcząc, nad ziemię ją pod-

niosła, do piersi przycisnęła i pocałunkami twarz jój i włosy okryła.

— Biednaż ty moja, nieszczęsna, zgubiona! Na toż ja ciebie ledwie nie w mleku ptasiém kąpała, na toż ja tobie taką edukację dała...

Wtém na dziedzińcu zaturkotały koła.

— Ojciec! — zawołała Różia.

Bahrewiczowa Karolkę z ramion na łóżko osunęła.

— Pontaku jój daj! — do Rózi zawołała — i pilnuj, żeby jój włos z głowy nie spadł, bo jak broń Boże co, to cię tak po zdrowych plecach obję, że zobaczysz...

Do bawialnego pokoju wbiegła w chwili właśnie, w której Bahrewicz próg jego z przeciwnéj strony przestępował. Wchodził ze słodkim uśmiechem na pulchnych wargach. Miał do oznajmienia Madzi nowinę dobrą: otrzymaną od pana rządcy obietnicę sutszój, niż zwykle gratyfikacyi, lecz zaledwie spojrział na żonę, struchlał i u progu kroki swe zatrzymał. Długo wsłuchiwać się musiał w burzliwą mowę kobiety, która samemi wykrzyknikami przemawiając, szlochała, sapała i jemu wyrzucała, że jest bałwanem, niedołęgą, ślepym, głuchym, głupim, nade wszystko zaś złym, niedbałym, niegodziwym ojcem; długo w mowę tę wsłuchiwać się musiał, zanim zrozumiał, o co chodziło. Gdy zrozumiał, krzyknął, za głowę się schwycił, i okrągły, politurowany kij, z któ-

rym zazwyczaj chodził i jeździł, a który teraz w rękę trzymał, w górę podnosząc, biegł ku pokojowi córek. Ale żona drogę mu sobą zagrodziła.

— Ani waż się! — krzyknęła — ja złażałam ją i bić chciałam, tylko mi Różia przeszkodziła... a ty ani waż się! Ja przebaczyłam i tak zlitowałam się, że mało mi serce nie pęka... i ty breweryj wyprawiać nie śmieć, bo jak zrobisz jaką, to ja ci zrobię drugą i taką, że... o! Jezusie Chrystusie! Konie zakładać każ i w ten moment do Ongrodu ruszaj... w ten moment! do tego niegodziwca... Jak będziesz miał siadać na bryczkę, przyjdź ze mną pomówić. Dyspozycję ci wydam, co i jak masz tam robić... Może upamięta się...

Bahrewicz dłonią uderzył się w czoło.

— Ty, Madziu... zawsze masz rozum za nas dwoje! — zawołał. — Lecę, lecę... konie zakładać! konie zakładać!...

Z temi wykrzyknikami na dziedziniec wypadł i ku stajni biegł, czasem tylko przystając na chwilę, żeby z gniewu zaciskając i mrużąc:

— O! łotr jakiś, niegodziwiec, wisielec... Zbałamucić dziewczynę, zgubić ją i potem nie żenić się... „Nie mogę z tobą żenić się” pisze. Poczekaj, pokażę ja tobie, co to znaczy zgubić dziewczynę, a potem nie móż z nią żenić się... Łotr, niegodziwiec, wisielec...

I biegnąc ku stajni, kijem w powietrzu groźnie wywijał.

Kiedy tak działo się w Leśnej, w chacie Mikołaja Jurek zupełnie już po doznanej dziś nieprzyjemności pocieszony, wesoło używał przyjemności wiejskich. Pomimo przyspieszającej dojrzwania jego edukacji, którą otrzymywał na służbie u Kaprowskiego, dzieckiem był jeszcze. Plecy i policzki boląc go nie przestały, ale nie zważał na to. Zdjąwszy buty, dosiadł oklep gniadą klaczkę, którą brat starszy od pług odprzął, i hasał na nią po drodze, ku wielkiej uciechu Ulanki, która z otwartą gębą przed chatą stała, przypatrując się tym konnym popisom młodszego brata. Starszy, żyto na nasienie w stodółce młócił. Wtém z pola, od strony szarzejącego pod lasem folwarku Dzielskich, dało się słyszeć wesołe i głośnie gwizdanie, a niebawem ukazała się postępująca miedzą, wysoka i cienka, guzikami szynela zdaleka na słońcu błyszcząca postać Mikołaja. Drogę sobie od dworu Dzielskich do chaty skracając, szedł miedzami i na cały szeroki łąn wygwizdywał hulaszczą, żołnierską piosenkę. Radość i tryumf były mu z długiej, bladą twarzą i z małych świecących oczu. Zbliżając się ku chacie, ujrzał starszego syna, z cepem w rękę stojącego we wrotach stodółki, Ułankę karmiącą wieprzaka i Jurka prowadzącego za uzdę ku stajence gniadą klaczkę, za którą, w poskokach i z donośnym rżeniem biegło żrebie.

— Ej! ej! *rebiata!* ej, ej, moje wy *siroty!* Panu Bogu najpierw, a potem mnie, *baćku* waszemu, pokłońcie się aż do ziemi! Nie *charłaki* my już teraz, ale *pamy, pamy* sobie całą gębą...

Szerokim gestem półkole w powietrzu zakreślił.

— Ej ha! — krzyknął — pole nasze... i te budynki pod lasem nasze... i kawał *wygonu* za budynkami nasz... Ej ha!...

Nogą o nogę uderzył, w boki wziął się i z wyrazem lubości nieopisanéj na twarzy, po polu, het, daleko, aż ku ciemnéj wstędze lasu, wzrokiem wodził. Dzieci znaczenie wykrzyków jego zrozumiały wybornie. Dobił targu z Dzielskimi, nabywał od nich nie tylko ów żyzny klin ziemi, ale jeszcze i stojące pod samym lasem porządne zabudowania folwarczne i spory kawał wybornego pastwiska. Z rozpromienionymi twarzami dzieci ku niemu podchodziły i z uszanowaniem wielkiém całowały go w ręce. Jurek oddał mu list od Kaprowskiego, który on, jak zazwyczaj, włożywszy na nos wielkie okulary, długo przy okienku chaty wyczytywał. W pół godziny potem, znowu go już w chacie nie było. Energia ex-soldata zmęczenia nie znała. Poszedł naprzód do Hrynek, gdzie długo rozmawiał z Jasiukowym stryjem, Pawlukiem; potem Jasiuka, wiozącego z pola furę grochu spotkał i zatrzymawszy go na drodze, o wóz wsparty, szeptał coś parobkowi tak cicho, aby inni parobcy, z furami grochu téż nadjeżdżający, rozmowy ich sły-

szć nie mogli; nakoniec udał się tam, gdzie kobiety, pomiędzy któremi znajdowała się i Krystyna, grykę rwały. Tam zabawił najdłużej i o zachodzie słońca zaledwie do domu wrócił, a po zjedzeniu wieczery, na progu chaty usiadłszy, przyłożył do ust mosiężną trąbę. Tony trąby, to przeciągłe i smętne, to skoczne i urywane, długo wieczoru tego mąciły ciśnie usypiających pól...

W ciszy usypiających pól, drożyną wijącą się po rozległym ściernisku, szła ku folwarkowi Krystyna. Kobiety, które dnia tego wspólnie z nią pracowały, poszły sobie gromadnie drogą wiodącą ku wsi, ale ona wolała iść pustém polem. Przez dzień cały, ze zgiętym ku ziemi grzbietem, grykę rwała, a teraz, od tego, co jój powiedział Mikołaj, głowa jój stała w ogniu i zimne dreszcze po skórze przechodziły. Prędzej spodziewałaby się śmierci, niż tego, co usłyszała. *Hroszy!* jeszcze *hroszy!* i wiele, jak najwięcej, tyle, ile posiada lub posiadać może! Inaczéj, i Pilipek przepadnie i te pieniądze, które już dla zbawienia jego wydała, także przepadną. Za trzy dni ostatecznie dekret na Pilipka zapaść ma. Oporny *haficer* ów, już ułagodzić się dał, ale teraz nowa bieda! Pan *hadwokat* do Mikołaja pisał, że przyjechali jakieś rewizory, znaczy, wojskowe rewizory, jenerały ważne, którzy *jenteres* cały zepsuć mogą. Jeden z tych rewizorów nazywa się *prewoschoditielstwo*, a drugi *sija-tielstwo*, co jest oznaką najwyższego już na całym

świecie dostojenstwa. Żeby oni byli nie przyjechali, to już wszystko byłoby dobrze, ale wzięli i przyjechali, i bez zgody się ich nie nastąpić nie może. Pan *hadwokat* tedy do Mikołaja pisał, że jeśli baba da pieniądze, to on podejmuje się i z *prewoschoditielstwem* i z *sijatielstwem* o *jenteresie* jój pomówić, a jeżeli nie da, to już on nic nie poradzi, ręce od wszystkiego umywa i za trzy dni zapadnie dekret, żeby Pilipka wysłać tam, gdzie ot, niedawno temu, jeden znajomy Mikołaja, płuca całe z siebie wypłuł. *Jej Bohu*, mówił Mikołaj, na suchoty od mrozu zachorował i jak zaczął płuć, tak mu całutkie płuca przez gardło wyleciały...

— Boże! bądź miłościw mnie biednéj! — zaszeptła kobieta, idąca ścieżką, wijącą się po ścierisku.

Hroszy! zkądże ona ich weźmie? nie ma już ich wcale, bo te, które w skrzynce na dnie pończochy pozostały jeszcze, nie są jój własnością. Do Antośka należą one. Żal jój było i Antośka. Za cóż go krzywdzić miała? Wszak i on także dzieckiem jój był, tak jak i tamten. I gdyby dobro jego na rzecz tamtego zabrała, gniewałby się na nią srodze. Powiedział to przecież! Lubili ją synkowie do tego czasu i słuchali we wszystkiem; teraz, tamtego, tak czy inaczej długo już przy niej nie będzie, a ten, jak rozgniewa się i serce do niej straci, to co? Ot i ostatnie

słonko jój na téj ziemi zagaśnie. I tak źle, i tak źle. Co tu robić?

— Boże! bądź miłościw mnie *durnej!*

Żeby tak było z kim poradzić się! Mikołaj mądry i dobry człowiek, ale cudzy, serce mu od jój kłopotu wielkiego nie boli. A komuż zaboli? Jasiuk też dobry człowiek i zgodny, ale co on jój poradzić może?... taki on mądry, jak i ona. Z Antośkiem o tém ani gadać. Nie pozwoli brać tych pieniędzy; z oczu mu wtedy poznała, że nie pozwoli. Więc jój już nie wymyśli, do kogo pójść i o radę poprosić, za nic nie wymyśli. Żywěj duszy swojej na tym świecie nie ma. Krewni w Hrynkach są jacyś, ale co to za krewni! Dalecy i zdawna już jój upośledzonej znać nie chcą. *Bolsz* nikogo, nikogo swego na tym świecie nie ma.

— Boże, bądź miłościw mnie sierocie!

Bahrewicz? Dwa miesiące temu pytała się go przecież, czy można tak już zupełnie temu *hadwokatowi* wierzyć? Powiedział, że można. Znaczy, można. Znaczy, że jeśli mu teraz te pieniądze posłała, to jużby najpewniej Pilipek wojskowanie swe w tych stronach odsłużył, do Hrynek na zimę z wojskiem przychodził, i na koniec świata, gdzie takie mrozy i choroby straszne panują, nie wędrował. Znaczy, bładzieńki chłopak jój, z oczyma jak kwiatki lnu, do niej zdaleka ręce wyciąga i woła: „Kiedy zechce-

cie, mamó, to wyratujecie mnie, a kiedy nie zeche-
cie, to nie wyratujecie. Antosiek zdrów i silny, *tu-
sze* swoje mieć będzie, a u mnie już i teraz ani *hrosz*
ani siły w *żywocie* niema. Pójdę na skraj świata, *t*
przepadnę!”

Siadła na kamieniu, bo od wielkiej walki ser-
decznej nogi jej osłabły. Na rozległe ściernisk
spływał zmrok, pod zciemniałym niebem błyskał
gwiazdy, wonie ziół polnych i usychającej słomy na
pełniały powietrze, w którym też, zdala, zdala od cha-
ty Mikołaja, płynęły tony trąby przeciągłe, smętne
wołające, wołające...

Tak tam zkądciś, od skraju świata, żołnierska
trąba na Pilipka woła: pójdź tu do matki i rodzonej
wioskil pójdź tu na smutek! pójdź tu na męk! pójdź
tu na marne zginienie!

A on idzie szerokim światem, cudzym światem
gdzie żołdacik młody, bladziutki i jak topola smukły
i oczyma do kwiatów lnu podobnymi... Trąba go
woła, a on idzie... Ojca nie znał, ale na matkę oglą-
da się i mówi: „Nie ratowaliście mnie, mamó, oj, nie
ratowaliście mnie sierotę, ojca nie znającego!...

A ot i wrony i kruki czarne chmurą zawiesiły
się nad mogiłką daleką, nad mogiłką żółtą, bez krzy-
żyka i trawki... Zawiesiły się chmurą wielką wrony
i kruki czarne nad mogiłką bladziutkiego chłopca
żołdacika młodego, i kraczą, kraczą, kraczą... A trą-
ba żołnierska gra i gra, gra i gra.. do matczynego

serca ona gra... „Oj, przemień się ty matko w kru-
ka albo wronę, i leć na skraj świata, nad mogiłką
syna swego zakrakać. Wieczne odpocznienie!...

Zerwała się z kamienia. Teraz już, jedna tylko
żądza w niej zawrzała: zobaczyć Pilipka. Postano-
wiła pójść do Ongrodu, Pilipka zobaczyć i z *hadwokatem*
pogadać.

— Pogadam z nim sama — myślała — ręce i ko-
lana mu ucałuję, żeby już za te pieniądze, co dałam,
jenteres zrobił, a więcej nie żądał...

Słyszała dziś, jak Pawluk Hrabar, Jasiukowy
dziadźko mówił drugiemu chłopowi, że po północy
wyprawi się do Ongrodu, aby z *hadwokatem* po-
mówić. Pójdzie on piechotą, bo konia teraz od
pługa zabierać nie może... ona zejdzie się z nim
gdzie na drodze i razem powędrują do miasta i do
hadwokata...

Ale... czy weźmie z sobą pieniądze Antośka, czy
nie weźmie? Możeby lepiej nie brać? A może na
wszelki wypadek wziąć?

W nocy, kiedy w czworaku wszyscy już spali
i Antosiek pod piecem na sienniku chrapał, Krysty-
na zsunęła się z pieca i boso, na palcach, ku drzwiom
komory skradać się zaczęła. Pochylona, skurczona,
krokiem złodziejki wsunęła się do komory i do skrzyn-
ki swój przypadła. Syn jej już tym razem zapaloném
łuczywem nie świecił. Jak złodziejka w ciemności
i cichutko skrzynkę otworzyła, pończochę z piędz-

mi na dnie jój namacała i nie rozwiązując, w zana-
drzu ją ukryła. Policzki jój płonęły, ręce trzęsły
się. Nigdy w życiu nie kradła nic. Teraz zdawało
się jój, że syna rodzonego okradła.

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznój!

IV.

Około godziny jedenastój zrana mały przedpokój
Kaprowskiego napełniony był ludźmi. Jurek, który
przed wschodem słońca do miasta już wrócił i z pa-
nem swym, w téj porze do domu wracającym, u drzwi
mieszkania spotkał się, siedział teraz na sienniku na-
dąsany, rozczochrany, z oczyma spuchniętymi od
płaczu. Czyścił eleganckie buciki pana swego i wciąż
jeszcze popłakiwał. Miał zaprawdę czego płakać!
Trzy mile tam i napowrót w niespełna dobę zbiegał,
z Bahrewiczową ciężką walkę stoczył, a gdy Kaprow-
skiemu o przygodzie z listem opowiedział, nietylko
przyobiecane rubla nie otrzymał, ale wyłajany
i tak za oba uszy wytargany został, że dotychczas
jeszcze zachowały one kolor piwonii. Z czerwonemi
tedy uszami, rozczochrany, bosy, bo go nogi od szyb-
ko odbytej podróży srodze bolały, czyścił buty i co
moment łzy z oczu i twarzy ocierał ręką, powalaną
szuwaksem, wskutek czego policzki i czoło okrywały

się rodzajem fantastycznego rysunku. Czyszcząc buty, płacząc i okrywając sobie twarz czarnym tatuażem, co chwilę w dodatku wypychał w usta pieczone kartofle, których mu Ulanka do kieszeni spencera i majtek sporo na drogę nakładła. Do ludzi znajdujących się w przedpokoju, przeciw wszelkiemu zwyczajowi swemu, zwracał się plecami; oni też na niego nie zważali.

W przedpokoju oprócz Jurka znajdowało się osób pięć. U okna stali, zcicha pomiędzy sobą rozmawiając, dwaj brodaci żydzi. Jeden z nich był faktorem w Ongrodzie mieszkającym i pełniącym tu względem Kaprowskiego funkcję zupełnie taką, jaką w Hrynkach pełnił Mikołaj; drugi, lichwiarzem, przybywającym do przedpokoju tego często, w celu upominania się o procenty od pożyczanych przez się kapitałów, wynoszące mniej-więcej 20 procent miesięcznie. Na tle starych i opylonych szyb okna, pochylające się ku sobie głowy faktora i lichwiarza zarysowały dwa ostre profile o długich nosach, brwiach gęstych i szczupłych, bladawych policzkach; dwie spiczaste ich brody, z których jedna była czarną a druga ogniście rudą, w zapale rozmowy podnosiły się wciąż i opadały; żydowski szwargot, którym ze sobą rozmawiali, podnosił się też czasem do głośnych, gardłowych wykrzyków i opadał do świszczącego szeptu.

Za czarnymi plecami faktora, przy opylonej ścia-

nie, stał wysoki, barczysty, ogorzały mężczyzna, w wysokim obuwiu i grubym, ale dostatniem ubraniu. Na butnego i zamożnego szlachcica zagrodowego wyglądający, stał przecież cicho i cierpliwie, odkąd go tu faktor przyprowadził, w jednej ze spuszczonej ręką czapkę barankową, w drugiej gruby zwój papierów trzymając. Głowę na piersi zwiesił, wzrok utkwiał w ziemi, twarde, płowe wąsy jeżyły się mu nad wargą; dumał i czekał.

W przeciwległym kącie, u glinianego, na żółto pomalowanego pieca, siedział na stołku Pawluk Harbar. Siwiejący ten chłop, w długiej siermiędze i butach wydających mocną woń skóry i dziegiu, trzymał także w obu rękach czapkę barankową i tak jak szlachcic zagrodowy, na pierś zwiesiwszy głowę, dumał i czekał. Dumając, drzemał trochę, a ilekroć żydzi u okna stojący głośniejszą trochę zaszwargotali, budził się, gęstą czuprynę podnosił, na drzwi bawialni spoglądał i ujrawszy, że wszystko jest jeszcze po dawnemu, znowu głowę na pierś opuszczał i oczy przymykał.

Pomiędzy Pawlukiem a drzwiami od bawialni, plecami o ścianę oparta, stała Krystyna. Głowa jej okryta była perkalową, czerwoną chustką, ukazującą z przodu dwa pasma kruczonych, srebrnymi niemi przetykanych włosów; z pod krótkiej siermięgi i dłuższej nieco samodziałowej spódnicy, ukazywały się nogi, okryte parą grubych i płytkich trzewików, jedyną pa-

ra, którą sobie przed piętnastu laty kupiła i kładła wtedy tylko, gdy do kościoła lub do miasta wejść miała. Przez całą drogę z Wólki do Ongrodu trzewiki te niosła w rękę i u wejścia do miasta dopiero, na ziemi usiadłszy, nogi w nie wsunęła. Teraz plecami do ściany przyparta, ręce wsunawszy w rękawy siermięgi, dumiała i czekała. Ciemne spuszczone powieki rzucały na chude jój policzki cień długich, czarnych rzęs; zwiędłe wargi zaciśnięte były z wyrazem cierpliwego smutku, na ogorzałém czole zmarszczki poruszały się czasem i falowały, odpowiadając jakby wewnętrznym ruchom ucuć i dumań.

Ciężka, nieuchwytna dolegliwość unosiła się w atmosferze, napełniającej cztery te brudne i ciasne ściany. Skurczone na sienniku, płaczące i zimne kartofle pożerające chłopię; niespokojnie szwargocący u okna i spiczaste brody swe miotający żydzi; barczysty a pokorny szlacheć; siwiejący, senny chłop i smutnie zadumana chłopka: cała ta słowem gromadka ludzi oczekujących i stroskanych zdawała się oddychać nudą i jakimś nieokreślonym, leniwie sączącym się udręczeniem. Za brudnemi, mętnemi szybami widać było dziedziniec, wiejący suszą i nudą. Na parkanach i ścianach oficynek wisiały tam płachty białego, nużącego światła, trochę czarnego dymu z kominów błakało się w powietrzu, drzewko jakieś mizerne, opylone, sterczało gałęzmi okrytymi rzadkiem i przez robactwo podziurawionem listowiem;

spiczaste, czerwonawe kamienie bruku zdawały się buchać skwarną jałowością.

Ciężkie, spieszne kroki dały się słyszeć na bruku dziedzińca i po chwili, przez uchylone drzwi przedpokoju ukazała się głowa mężka, z krótko ostrzyżonemi włosy, z twarzą okrągłą, rumianą, świecąją dwójgiem błękitnych, w téj chwili iskrzących się oczu, zjeżona byjnym i gniewnie starganym wąsem.

— A co? Jurek! czy pan twój śpi jeszcze?

— Śpi! — nie odglądając się, odburknął chłopiec.

W uchylonych drzwiach ozwało się gniewne zakłęcie.

-- A niechże was wszyscy dyabli...

Z niedokończoném zaklęciem tém do przedpokoju wszedł Bahrewicz. Wejście jego sprawiło niejakię wrazenie. Żydzi przestali szwargotać i badawczo oglądali go od stóp do głowy; stojący w kącie szlacheć szeroko oczy wytrzeszczył; Pawluk głową na znak powitania kiwnął; Krystyna zaś, na dźwięk jego głosu, z nogi na nogę przestąpiła, zmarszczki na czole poruszyły się, wargi drgnęły, lecz nie wyrzekłszy ani słowa, powieki spuściła znowu i mocniej jeszcze plecami przycisnęła się do ściany.

Przybyły, w czarnym tużurku i kamizelce po szyję zapiętej, z okrągłym, politurowanym kijem w ręku, barczysty, rumiany, w grubym dobrobycie widocznie wypasiony, zdawał się przybywać po to, aby obecnością swą uzupełnić grupę zgromadzonych

tu typów ludzkich. Na pierwszy rzut oka poznać w nim było można wiejskiego oficjalistę. Gniew i zniecierpliwienie tryskały mu z oczu. Na kiju wsparty do Jurka zwrócił się:

— Od godziny szóstej chodzę tu i chodzę, doczekać się nie mogąc, aby pan twój wstał z łóżka. Czy wy tu w mieście cały dzień śpicie...

— Ja nie śpię — odburknął Jurek.

— A pan twój?

— Czasem to i cały dzień śpi...

— No, to dajże mi choć stołek jaki, abym usiadł...

Chłopiec ze stęknieniem podniósł się z siennika i cienkim głosem zawołał:

— To może pan do *sali* pójdzie... Mój pan zawsze każe panów do *sali* prosić...

Ostatnie wyrazy ułagodziły nieco ekonoma.

Podobało mu się to, że go Jurek do panów zaliczał.

— No, to gdzież ta wasza sala? — zapytał.

A w duchu myślał:

— Phi! salę ma! sprytna bestya... do czego to on doszedł... salę ma!... wisielec!

Jurek drzwi otworzył, zagrodowy szlachcic, Pawluk i nawet Krystyna w kierunku tym zwrócili twarze i powyciągali szyje. Przed oczyma ich błysnęły złote ramy i zwierciadła, spłowiałe lecz urozmaicone barwy kobierca, brązowe gracki okrywające biurko...

Usta ich otworzyły się, powieki zamrugały jakby od olśnienia. W tej samej chwili z sypialni doleciał ochryply nieco, jednak donośny głos, wołający:

— Jurek!

— W ten moment! — przeraźliwie odkrzyknął chłopiec i porwawszy z siennika wyczyszczone buty, wpadł za Bahrewiczem do *sali*, drzwi jej za sobą głośnie zatraskując. Stojący w kącie szlachcic łokciem uderzył faktora w plecy.

— Obudził się — szepnął.

Pawluk podniósł wzrok na Krystynę.

— Ot i obudził się!

Ona twierdząco kiwnęła głową i ręce wsunięte w rękawy siermięgi zacisnęła mocno. Żydzi zaszwargotali głośnie. Szyderskie, wgardliwe uśmiechy przelatywały po szczupłych, nerwowych ich twarzach i wstrząsały spiczastymi brodami.

Kaprowski nie zawsze spał tak długo; wczoraj jednak doświadczył tak wielu miłych i niemiłych wrażeń, że czując się niemi wyjątkowo wycieńczonym, dłuższego nieco spoczynku potrzebował. Miłego wrażenia dostarczyło mu wygranie w sądzie niewielkiej wprawdzie sprawy, niewielkiego też obywatela wiejskiego, ale zawsze obywatela, co było dla niego niezmierną rzadkością i przytém piękną obietnicą na przyszłość. Byleby mógł raz z obywatelstwem wiejskiem stosunki zawiązać, ho, ho! jakżeby pozycja jego finansowa i społeczna zmienioną została! Chłop-

stwa by nie porzucił przeto, bo dostarczało mu ono dochody niezłe, ale miałyby zarazem klientów zaszczytnych, z którymi miłoby mu było czas spędzić i w których kole znalazłby może sposobność zarówno rychlejszego wzbogacenia się, jak też korzystnego pod każdym względem małżeństwa. Ze szczególną też gorliwością doglądał procesu owego feniksa, z którym znajomość zawdzięczał przebiegłej zręczności faktora, Jankla. Na rzecz procesu tego wyzyskał starannie wszystkie wiadomości prawne i całą oratorską zdolność. A choć sędziowie krzywo i podejrzliwie zazwyczaj spoglądali i na osobę jego i na sprawy, które prowadził, to jednak tym razem wziął się do rzeczy tak zręcznie i gorliwie, że proces obywatela wygrał. Pieniądze otrzymał za to niewielkie, bo do człowieka trochę oświeconego i otartego w świecie niepodobna było zastosowywać procederów, używanych względem maluczkich; ale obywatel szanownemu adwokatowi, który mu sprawę wygrał, ręce wyściskał i policzki wycałował, przyrzekając w okolicy sławę jego głosić i sąsiadów swych, mających procesy, do nikogo innego, tylko do niego przysyłać. Był to w zawodzie Kaprowskiego traf bodaj pierwszy, ale bardzo pomyślny i szerokie wrota najpiękniejszym nadziejom otwierający. Znaczną część otrzymanego zarobku wręczywszy Janklowi, który, dopóki by jój nie otrzymał, nie opuściłby go ani na sekundę, z pozostałą sumą udał się do cukierni, gdzie na ma-

lój estradzie znalazł już Klarkę, ubraną w fantastyczny czerwony kostium i przed kilkunastu gromadzonymi mężczyznami mistrzowsko śpiewającą swoje koncertowe: *Willst du spazieren gehen, miaul!* To *miaul!* wywierało na niego wpływ, nie dający się określić wyrazami żadnemi; wprost grało mu po nerwach i nawskroś przekłuwało serce. W karty téj nocy nie grał, bo cały zajęty był zwycięstwem, odniesioném nad cukierniową syreną, która najuroczyściej przyrzekła mu zabawić w Ongrodzie jeszcze tygodni parę. Wracał do domu w najlepszym humorze, wywijając laseczką i nucąc zcicha: *miaul! miaul!* gdy oto, wiadomość o historii zdarzonej w Leśnej, przez Jurka przyniesiona, zirytowała go znowu do stopnia najwyższego... Byłby się z chłopcem daleko srożej obszedł, gdyby mu Mikołaj nie przyszedł był na myśl. Soldacisko to przepadało za bębnami swemi, wiedział o tém. Gdyby chłopca jego skrzywdził, mógłby obrazić się i zerwać z nim stosunki—bardzo użyteczne. Ho, ho! takiego Mikołaja przyjęłoby za sprzymierzeńca wielu kolegów jego. Ale niedoczekanie ich! On jeden tylko umie sobie takich Jankłów i takich Mikołajów zdobywać! Powściągnął więc gniew, którym był na Jurka zapalał, ale przewidywana historia z rodzicami Karolki, z godzinę mu zasnąć nie dała... Teraz, gdy chłopak wszedł do sypialni, dość łagodnie go zapytał:

— Jest kto?

— Aj! aj! pełno! — odkrzyknął Jurek, przyjemnie łagodnością pana swego zadziwiony.

Kaprowski siadł na łóżku.

— Któż tam taki?

— Jankiel szlachcica jakiegoś z papierami przyprowadził...

Kaprowski uśmiechnął się. Już kiedy Jankiel kogo przyprowadzi, to zawsze coś nie do pogardzenia!

— Pawluk Harbar z Hrynek i ta baba z Wólki, Krystyna, czy jak ona tam nazywa się, przyszlć już dawno i czekają...

I to dobrze, wyśmienicie nawet, że ci chłopci przyszlć sami. Znaczyło to, że tym razem życzą oni sobie obejść się bez pośrednictwa Mikołaja, i to, że przyniesione pieniądze wręczą wprost jemu. Więc nie będzie potrzebował połowy ich oddawać zaraz żołdatowi. Ho, ho! żołdat mądry, ale chamy tym razem wyprowadzili go snadź w pole! Sami przynieśli pieniądze!... Jedna tylko bieda, że zapomniał zupełnie, kto to ta baba z Wólki i jakim być mógł ten interes, za który mu pieniądze przysyłała i przynosiła. Tu Jurek o kilka kroków odskoczywszy od łóżka, po paru sekundach milczenia, usta sobie dłonią przysłaniając, ze szczególną mieszaniną trwogi i filuterności, odpowiedział:

— Ten... proszę pana, przyszedł... z Leśnej... Bahrewicz!

Kaprowski głośno zawołał:

— Masz dyable tabakę!

Policzki i ręce drgać mu zaczęły.

Ubierać się zaczął, ale czynił to bardzo powoli, w głębokiem zamyśleniu pogrążony. I rzecz dziwna! Ubierał się tak starannie i wykwinicie, jakby miał wnet udać się na bal jakiś. Fraka tylko i białych rękawiczek nie włożył, ale w stosach odzieży swęj przebierał długo; bieliznę wziął na siebie najpiękniejszą, tużurek najnowszy, oblał się najwyszukańszą perfumą, przód koszuli i mankiety spiął naśladowającymi rubiny szkiełkami.

— Czy uprzątnąłeś salę? — zapytał Jurka.

— Sala jak szkoła! — odparł chłopak. — Stara Justyna wszystko wczoraj wytrzepała, wymyła...

Była to żona stróża, która w nieobecności Jurka obejmowała pieczę nad mieszkaniem jednego z lokatorów domostwa, i dnia wczorajszego właśnie, gdy ani pana, ani sługi w domu nie było, przez parę godzin trudniła się porządkowaniem i czyszczeniem tego mieszkania. Do oczyszczonej i uporządkowanej bawialni, noszącej nazwę *sali*, Bahrewicz wszedł rubasznie i zamaszysto, jak człowiek zaledwie mogący gniew swój powściągać. O parę jednak kroków od progu stanął i szerzej, niż zwykle, otwartemi oczyma wpatrzył się w ogólny wygląd sali. Nic równie wspaniałego w życiu nie widział. Salonik rządcy dóbr Krasnosielskich i jego bawialnia były bardzo piękne, ale co za porównanie z tą salą adwokata!

Phil! Lustro w złoconych ramach, taki wielki dywan, takie jaskrawe obrazki na ścianach, na biurku tyle pozłacanych cacek! Phil podłoga błyszcząca, wyfroterowana, czy co? A góry książek! Jakim sposobem ten człowiek wszystkie książki te mógł przeczytać! A papierów zagryzmołonych całe stosy! Muszą to być same ważne dokumenty! Jak to jednak ludzie wysoko trzymać o nim muszą, skoro tyle dokumentów mu napowierzali! Phil! Oto sprytna bestya! wi-sielec!

Uszanowanie i oburzenie, onieśmienie i rozzalenie utworzyły we wnętrzu Bahrewicza nierozwikłany chaos uczuć i myśli. Miał zrazu ochotę i zamiar szerokimi krokami przejść salę i kijem walnąć z całej siły w zamknięte drzwi sypialni, ale, postawszy chwilę, powolnietko i ostrożnie usiadł na brzeжку stojącej przy ścianie kanapki. Cacko to było, nie kanapka. Madzia wniosła mu do domu pomiędzy innymi sprzętami i tę kanapę, która dotychczas jeszcze stała w ich bawialni, obciążona poduszkami wyrabianymi *à la rakaka*. Ale co za porównanie! Było to gracisko wielkie, szerokie, twarde. Na tym zaś spręciku małym i miękkim, zaledwie usiąść śmiał. Zdawało mu się, że złamać się on musi pod ciężarem dobrze rozwiniętych kości i mięśni jego. Nie wiedział wcale o tém, że i bez tego już, cacko to miało we wnętrznościach swych połamane sprężyny, a jedną z brakujących nóg zastępowało przyparte do



W gabinecie Kaprowskiego.



*Janina
Kocha
Tadzia*

ściany polano. W myśli jego mieszały się i krzyżowały wyrazy i frazesy.

— Pan sobie całą gębą... łotrzysko! Mądra sztuka... gałgan! Świetna partya... wisielec! No, powiem-że ja jemu, aż mu za skórę pójdzie! Jak bo to z paniczem i mądralem takim klótnie zaprowadzać! Madzia-by potrafiła... oho! Dlaczegoż-bo Madzia sama na egzekucję tę nie przyjechała... ona to... aha!

W tém otworzyły się drzwi sypialni; Kaprowski wystrojony, klejnotami błyszczący, perfumą woniejący, z niezmiernie ugrzeczniwym uśmiechem na gąbkowatę i nerwowo drgającej twarzy, od wielkiej uprzejmości naprzód cały podany, witać zaczął swego niespodziewanego gościa. Z rozmachliwą elegancją, która drobną postać miotła w strony różne, ku gościowi podbiegł i w małe, białe dłonie pochwycił czerwone i mięsiste jego ręce, zatrzęsłszy niem parę razy i krzesło na kółkach ku kanapce przysuwając, mówił:

— Nie spodziewałem się przyjemności ujrzenia pana dobrodzieja w domu moim... pewno za intereskiem jakim do naszego miasteczka... a może-bym ja czemkolwiek służyć mógł, w czém dopomódz... Cze-kać musiałeś pan na obudzenie się moje... Stokrotnie przepraszam... otóż to, gościnność wiejska i miejska... Państwo dobrodzieństwo takeście mię tam w Leśnej fetowali, a ja... jak na toż dziś właśnie więcej niż kiedy zaspąłem... Ale to nie bez przyczyny! Klient

mój, Kaliński, wie pan, ten obywatel z waszych stron, zajął mi wczoraj cały dzień interesem swoim, który mu zresztą wygrałem... całą więc noc spędzić musiałem nad odczytywaniem aktów, które nadesłał mi klient mój, Ziębicki, sąsiad Kalińskiego... Interes gruby, rzecz idzie o cały prawie majątek Ziębickiego... Klient mój, Kaliński, wyjechał uradowany, zaprosił mię do siebie w jesieni na polowanie. „Zaprezentuję pana córeczkom moim, mówię, a także, sąsiadom, którzy wszyscy odtąd o pańską poradę i pomoc starać się będą...”

W ten sens Kaprowski prawił długo, prędko, płynnie, z uśmiechami, ukazującemi od chwili do chwili z za warg uwiedłych czerniejące zęby, z migotliwymi błyskami błękitnych szkieł i złotych pierścionków, z pewnym niedbałym elegancyi kołysaniem krzesła, na którym siedział, to w tył to naprzód. Bahrewicz na brzeżku kanapki siedział jak skamieniały, wyprostowany, z coraz więcej czerwieniącą się twarzą, z oczami wytrzeszczonemi i nieruchomo wlepionemi w ugrzecznionego, świetnego i wymownego pana domu. Kilka razy krwisty rumieniec wzbijał się mu z ogorzałych policzków aż na białe czoło, a nieruchome źrenice zapaliły się złością i zniecierpliwieniem; lecz kilka razy także pulchne jego wargi zwinęły się niby w kształt czerwonego pączka i mimowiednie pewno wydały świszczący dźwięk: Phil!

— Jego klient, Kaliński, obywatel dostatni... Phil!

Zaprosił go na polowanie i prezentować będzie córeczkom! Jego klient, Ziębicki, bogatszy jeszcze od Kalińskiego... z Dzielską żonaty... phil z jakimi ludźmi bestya ta ma do czynienia! wisielec! mądrala! phil

Nagle, we wnętrzu jego coś załkało i krzyknęło.

— Dam ja jemu córeczki Kalińskiego... a może dziecko to co?

Jakby czem podrzucony wstał i płynną mowę gospodarza przerywając zawołał:

— Ależ ja do pana z pretensją... z wielką pretensją... z wielką pretensją i żalem... zbałamuciłeś mi pan dziewczynę, a teraz porzucić ją chcesz... ja na to nie pozwolę... ja ojciec... ja przyjeżdżam upomnieć się o krzywdę, familli mojej wyrządzoną... ja pana zmuszę, abyś pan... abyś pan...

Nie mógł mówić dłużej. W gardle mu stanął i formalnie dławiał go żal szczery, serdeczny, wytryskujący łzami, które zrosiły mu oczy i potoczyły się po policzkach. Karolka jak zakłeta wciąż mu stała przed oczyma, tuż przy tym przeklętym wisielcu, który teraz ot wstał z krzesła, powoli sobie i z uśmiechem, niby nie...

— Ależ, łaskawy panie — zaczął — czegoż właściwie państwo ode mnie żądacie?...

Czego oni od niego żądali? Sprytna bestya taka, a domyslić się tego nie może.

— Do stu dyabłów! — krzyknął Bahrewicz — czego my od pana żądamy! naturalnie, że tego, abyś

pan wziął ślub z dziewczyną, którą zbałamuciłeś i zgubiłeś, jak ostatni...

Tu powstrzymał się. Na języku miał jak ostatni łotr i wisielec! Ale nie mógł wymówić tego, za nie nie mógł. Żeby Madzia na jego miejscu była, oho! ale jakże on takiemu człowiekowi... mógł takie rzeczy... bądź co bądź był to jednak taki człowiek...

— Powoli, mój panie łaskawy, powoli...—usuając się pod ścianę i nieznacznie zastawiając się krzesłem zaczął gospodarz domu;—taki człowiek jak ja, nie może tak sobie, jakby z pistoletu wystrzelił... ożenić się... Panną Karoliną zająłem się był istotnie... trochę może za żywo... nie przeczę... ale żenić się teraz jeszcze nie mogę... z czasem, kiedyś... nie mówię... może i do tego przyjdzie...

Bahrewiczowi krew z twarzy o mało nie wytryskiwała. Z piersi jego wydarł się rodzaj ryku, w którym złość mieszała się z płaczem.

— Na Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego! Kiedyś może! Ależ to śliczna obietnica! A co tymczasem stanie się z dzieckiem mojem! Ja chcę zaraz... natychmiast... do ołtarza... ja panu pokażę co to jest... ja pana zmuszę...

Kaprowski bardzo blady, plecami do ściany przyparty, z całej siły trzymał poręcz krzesła, gotów w każdej chwili podnieść je ku swęj obronie. Prosto wał się jednak i na ustach zachowywał w pół uprzejmy i w pół ironiczny uśmiezek.

— Mój panie łaskawy... — mówić zaczął — takiego człowieka jak ja, trudno do czegokolwiek zmusić... Mam rozum, stosunki i stanowisko... Od wszelkich napaści obronić się potrafię...

Bahrewicz umilkł nagle i przez chwilę usta jego zostały otwarte. — Prawdę szelma powiedział! Kto go tam może do czegokolwiek zmusić! Rozum, stosunki, stanowisko... Cóż wobec niego jaki biedny oficyalista wiejski znaczyć może?...

Jakby myśl tę pod blednącem czołem przeciwnika wyczytał, Kaprowski podniósł głowę, a zadarty nos jego nabrał wyrazu pewnej siebie zuchwałości.

— Chciéj pan zastanowić się... czy to być może, aby taki człowiek jak ja, tak zaraz... natychmiast... bez zastanowienia... dla jakiegóś ekonomówny świat sobie zawiązywał...

O! czy słowa te ku ostatecznemu pogębieniu przeciwnika wymawiając, nie zanadto już liczył na urok wyższości swęj, którą, jak piaskiem oczy mu zasypywał?

Bahrewicz sapnął strasznie, jęknął, porwał się z miejsca i ze stłumioném jakimś zaklęciem, z oczyma krwią zaszłemi, swój okrągły, politurowany kij podniósł w górę. Sekunda jeszcze, a nierówna walka wybuchając w sali, odgłosem swym przywołała-by ludzi, napełniających przedpokój. Ale w króciutkiem trwaniu téj sekundy, Bahrewiczowi stało się coś dziwnego. „Dla jakiegóś ekonomówny świat sobie za-

wiązywać!" Czarodziejskiemi były słowa te, że na-przód wściekłość w nim obudziwszy, potem oblały go jakby wiadrem zimnej wody. Co to znaczyło? On słowa te nie pierwszy już raz w życiu słyszał... z małą odmianą tylko, z małą odmianą... „Waryatem był-bym, gdy-bym sobie dla jakiegś chłopki świat za-wiżywał!"

— Och!

Stęknął głośno i w czerwonych, mięsistych rękach ukrył twarz okropnie wykrzywioną. Pod powiekami, które mocno grubemi palcami przycisnął, obok twarzy Karolki, młodziutki, udręczony, zawisa twarz druga, inna wcale, zestarzała, zmęczona, pokorna... Tylko co, tylko co właśnie twarz ta przemknęła przed jego wzrokiem. Przemknęła i nie zatrzymał na nią wzroku ani przez minutę. Teraz, stała przed nim jak żywa; czarne, ogniste, zbolące oczy w niego wlepiając i wyraźnie, wyraźnie szepejąc: „był-bym waryatem, gdy-bym dla jakiegś chłopki świat sobie zawiżywał!" Bahrewicz był pobożnym. Jedną ręką zasłaniając sobie oczy, drugą w pięść ścisnął i z łoskotem uderzył się nią w piersi.

— Boże Wszechmogący! za grzechy moje nie karz dziecka mego!

Wymówił słowa te głośno, z serdeczną skrucą człowieka, w którym sumienie przemówiło wyrzutem, z łkaniem ojcowskiej trwogi i żalości, z twarzą wzburzoną i wykrzywioną płaczem. Wykrzykowi temu

i łoskotowi silnej pięści uderzającej w niemniej silną klatkę piersiową odpowiedział przytłumiony, ironiczny śmieшек Kaprowskiego. Byстрыm rzutem oka spostrzegł zgnębienie przeciwnika i zrozumiał w części jego przyczyny; obronne stanowisko pomiedzy ścianą a krzesłem opuścił i uczyniwszy parę kroków, w obie swe małe, białe ręce ujął ściśniętą wciąż, czerwoną, jak kamień twardą, pięść ekonoma. Bahrewicz usta otworzył, wzrok w ziemię wlepił, ogłupiał i oniemiał. Przyjacielskim tedy, koleżeńskim jakby ruchem trzęsąc jego pięścią, przymilonym i trochę tylko świszczającym głosem Kaprowski mówił:

— A co to za grzeszki, kochany panie Bahrewicz, jakie to tam grzeszki przychodzą panu na myśl, że się tak w piersi bijesz i Boga Wszechmogącego na pomoc sobie wzywasz? Cha, cha, cha! Może i ja coś wiem o tych twoich grzeszkach młodości... cha, cha, cha! Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi! Teraz właśnie przypomniałem sobie chłopkę jakąś, która mi interes pewien synka swego powierzyła... a żołdat Mikołaj opowiedział mi o niej wszystko... Cha... cha... cha! wszyscyśmy w jednym kierunku grzeszni... kochany panie, wszyscy a wszyscy... na tém już świat stoi, i niema czego tak mocno bić się w piersi...

Czy Bahrewicz słuchał mowy téj? trudno było odgadnąć. Stał wciąż jak ogłupiały i niemy, z otwartymi ustami, skrzywioną twarzą, wzrokiem wbitym w ziemię.

— Chamka... — szepnął.

Kaprowski rękę jego z dłoni wypuścił i obie ręce w kieszenie ubrania wsunął.

— Panie kochany — łagodnie odpowiedział — ja państwu ubliżyć nie chcę... jesteście bardzo szanowni i moja przyjaźń dla was... mój szacunek... panna Karolina jest śliczną panią i podobała mi się nadzwyczajnie... Ale, widzi pan... niech pan tylko zastanowi się... bez gniewu... niech pan pomyśli... jeżeli pan uważał dla siebie za niestosowne ożenienie się z chłopką, to może i ja... uważa pan dobrodziej... w takiej samej pozycji znajduję się względem córki pana dobrodzieja.

— Ani słowa przeciw temu! Miał rację! Człowiek uczony, na pamięć wszystkie artykuły prawa jak rzepę gryzący, kawaler elegancki, na drodze do fortuny będący i który o takich obywatelach jak Kaliński i Ziębicki mówić mógł: moi klienci! miał prawo pretendować do świetnej partyi, tak, do świetnej partyi... Alboż on sam nie pojął Madzi właśnie dlatego, że ze stron pewnych była ona dla niego świetną partyą!... Tak, ani słowa przeciw temu. Miał rację. Jednakże, tak znowu to wszystko skończyć się nie może... Podniósł głowę Bahrewicz i kilka razy przemówił próbując, ani słowa wyrzec nie mógł. Z parobkami, chłopami i niższymi ofycyalistami przez całe życie do czynienia miał i języka w gębie, ani głosu w gardle

przed nimi nie tracił. Ale z tym ot... nie już nie poradzi.

— Wié pan co? — zdławionym głosem wyrzekł nakoniec; — wszystko to jest gałganstwo... I ja gałgan, i pan gałgan, ale Madzia, to zupełnie co innego...

Zaczynał mówić z płaczem, skończył ze złością i niejaką dumą.

— Madzia tu przyjedzie! — i kijem w powietrzu wywinął. — Oho! poczekaj to zupełnie co innego!...

Wypadł z sali do przedpokoju. w którym na widok jego powstał pomiędzy oczekującymi ruch wielki. Każdy z oczekujących mniemał, że po wyjściu ofycyalisty, na niego przychodziła kolej rozmówienia się z adwokatem, ale najbliższej drzwi siedzący Harbar, zerwał się ze stołka, łokciami odepchnął żydów i szlachcica, wparł się we drzwi sam i za rękaw od siermięgi wciągnął za sobą Krystynę. Jurek ze studkiem drzwi za nimi zamknął.

Do sali chłopci wchodzili zwykle jak do kościoła, powoli, ostrożnymi krokami, ze zgiętymi nieco karkami i pochylonymi głowami. Harbar nawet, który w charakterze delegata wsi hryneńskiej znajdował się tu już kilka razy, a dostatniejszym i zuchwalszym był od innych, z czapką w spuszczonej ręce, z krokiem naprzód podanym i zmaconymi nieco oczyma, u samego progu jak wryty stanął. Krystyna w zamian, tym razem okazała śmiałość niespodziewaną. Nie sama tylko myśl o pieniężnych stratach lub zy-

skach przywiodła ją tutaj. W sercu jęj wrzało i płakało coś, co ją uczyniło ślepą na wspaniałości, którym podobnych nie widziała jednak nigdy. Od samego już progu wlepiła wzrok w stojącego przy biurku małego człowieczka i prędko, ciężko, ze stukiem grubych podeszew przeszedłszy pokój, wprost na ziemię przed nim padła i kolana jego obu ramionami objęła. Kaprowski cofnął się nieco i wydzierając jęj ręce, które ona pochwyciła i pocałunkami okrywała, zniecierpliwionym głosem burknął:

— No, no, nie trzeba... nie trzeba... mów czego chcesz!

Mówił to głosem zniecierpliwionym, ale twarz jego wzburzona i zbladła po rozmowie z Bahrewiczem, trysnęła teraz zadowoleniem. Był on z tych, którzy lubią bliźnich u stóp swoich widzieć. Zadowolenie to przecież zmniejszyło się przez to, że zupełnie prawie nie wiedział, czego ta baba chce. Mętnie bardzo przypominał sobie: jakiś syn słabego zdrowia, żołnierz podobno, czy coś takiego? Ale może to nie ta z synem żołnierzem, lecz wcale inna... Marszcząc brwi powtórzył:

— Czego chcesz? Mów prędko.

Wyprostowawszy się i ręce u piersi splótłszy, prędko zaczęła mówić:

— Ja, panie jaśnie wielmożny, o mego Pilipka... Ze świtem dziś do miasta przysła i najpierw chciała z synkiem zobaczyć się... Ale potem zlekłam się, że

jaśnie wielmożnego pana nie zobaczę, przysłałam tu i czekałam...

— No to i dobrze, ale czegoż chcesz ode mnie?

— O synka mego Pilipka...

Kaprowski namyślał się.

— A gdzież ten twój synek? — zapytał.

Westchnęła ciężko.

— A gdzieżby on był, jaśnie wielmożny panie!

Kiedy ostatni raz widziały go oczy moje, w kazar-mach był... Słuszny jak topolka... Bładzieńki taki... W szyneliku sołdackim... Na schody wyskoczył, do nóg mnie *hrymnał*. Mameńko, ratuj! Żeby mnie tu zostawili...

Al! teraz, dość wyraźnie już przypominał sobie o co chodziło. Nie przerywał jednak mowy chłopce. Cierpliwe wysłuchiwanie klientów przynosiło mu nieraz różne korzyści. Krystyna prawila dalej.

— Ni mnie, jaśnie wielmożny panie, družki na dzieży sadzały, ni mnie do ślubu śpiewały, ni ja cha-ty własnej i ludzkiego uszanowania kiedy zaznała... Pracowała, harowała, skórę sobie z rąk zdierała i synków swoich, dwa słoneczka moje jedyne, hodo-wała—i lubiła... Oj, lubiła, żałowała i w pocziwo-ści hodowała. Ni oni złodzieje, ni pijaki, ludziom usługne i matce posłuszne... Prędzaj-by każdy rękę sobie uciął, niż matkę skrzywdził. Ot jak ich wycho-wała. Sama. Nikt nie pomagał.

Oczy jęj, wprzód przygasłe i strapione rozblęły

radością i dumą, czoło wypogodniało, wyprostowała się kibić.

Kaprowski pomyślał.

— Śliczna niegdyś chamka być musiała... i teraz jeszcze, dalibóg niczego... Co za oczy!

Ona posmutniawszy znowu, mówiła dalej:

— Do jaśnie wielmożnego pana, ja, jak do Pana Boga... Powiedział Mikołaj: Zanieś panu hrosze, on Pilipka wyratuje... Zaniósła najpierw te, co dla Pilipka zapracowała... Powiedział potem o tym *haficerze*, co to nie zgadzał się, ja i te *pieniądze*, co na śmierć sobie chowała, jemu oddała, żeby on jaśnie wielmożnemu panu dla tego *haficera* posłał. I już serce mnie radowało się, że Pilipek uratowany... W Ongrodzie go zostawią i na zimowanie do Hrynek przyszlą...

Aha! no! teraz Kaprowski zupełnie już wszystko przypomniał sobie o téj babie. Chciał przerwać jej mowę, aby prędkiej z nią skończyć, ale ona dodała jeszcze:

— A teraz, jaśnie wielmożny panie, ja *tut* przysłała, żeby o tym *prewoschoditielstwie* i o tym *siejiatielstwie* dowiedzieć się... Coby tu z nimi zrobić? Niech jaśnie wielmożny pan ratuje mnie biedną, żeby te *rewizory* Pilipka wysyłać nie żądali...

Masz dyable tabakę! Znowu najłżejszego pojęcia nie miał o tém, co znaczyły *prewoschoditielstwa*, *siejiatielstwa* i *rewizory*.

— A któż ci to o tych rewizorach gadał? — z niecierpliwością zapytał.

— Mikołaj, jaśnie wielmożny panie! A któż-by, jeżeli nie Mikołaj! Powiedział wczoraj: Pan *hadwokat* pisał do mnie tak i tak... Ja myślałam, myślałam, myślałam... Bożeż mój, Boże! Co ja zrobię! *Taj* wzięłam i przysłałam...

Kaprowski pomyślał chwilę.

— A mówił-że ci Mikołaj, że pieniędzy trzeba?..

Kobieta znowu pochyliła się mu do kolan, a wyprostowawszy się, strwożone oczy w twarz jego wlepiła. Wahającym się głosem mówić zaczęła:

— Panie jaśnie wielmożny, bądźcie nade mną litościwi... Zróbcie już teraz bez pieniędzy... Toż ja dała... I Pilipka pieniądze oddała i swoje śmiertelne oddała... Zróbcie już teraz tak bez niczego... Zkąd ja wezmę?

Kaprowski nachmurzył się i znowu zapytał.

— Czy Mikołaj ci nie mówił na co, dlaczego, ile potrzeba?

— Mówił, jaśnie wielmożny panie, wszystko mówił... Ale, panie najmilościwszy, zlitujcie się nade mną i zróbcie co z tymi rewizorami... Tak już, bez niczego...

Kaprowski zeszytniał, podniósł głowę, i wydał usta.

— Moja kochana — rzekł zimno — powiedz-że ty mnie: Czy ja jestem Panem Bogiem?

Na to dziwne pytanie, czarne, smutne, błagające oczy popatrzały na niego ze zdziwieniem i wstydliwie okryły się powiekami.

— No mów-że? Język przecież masz w gębie. Czy ja jestem Panem Bogiem?

Pięknie wykrojone, ale zwiedłe i blade usta ci chutko odszepnęły.

— Nie.

Kaprowski pytał dalej.

— Czy ja jestem cesarzem?

Czarne, smutne oczy znowu z lekliwém zdziwieniem podniosły się na twarz jego, a drżące wargi odpowiedziały:

— Nie.

— A no! Kiedy ja nie jestem ani Panem Bogiem, ani cesarzem, to jakże chcesz, ażebyś cokolwiek zrobić mógł bez pieniędzy. Pieniądze na tym świecie, to moja kochana wszystko, wszystko, a wszystko. Bez pieniędzy człowiek sam niczego nie wart i interes jego niczego nie wart...

Tu po oratorsku wyprężył ramię i poruszył dłonią.

— Czego można dostać na świecie bez pieniędzy? Człowiek bez pieniędzy moja kochana, to jak złamany kołek w płocie. Kto go podpierać będzie, aby nie upadł? Nikt. Prawda?

W ciągu przemowy téj zwróconej do Krystyny, spojrzenie jego z za szkieł błękitnych biegło ku stojącemu u drzwi Harbarowi. Chłop z siwiejącą czupry-

ną, w sutój siermiędze i z roztropnym, dość śmiałym wyrazem twarzy, wsłuchiwał się w mowę jego tak uważnie i z takiém wygięciem szyi, jakby każde słowo chciwie połykał. Przytém, od czasu do czasu, potwierdzająco głową wstrząsając, uśmiechał się i oczyma błyskał. Widoczném było, że wygłaszana przez *hadwokata* doktryna o wszechmocy pieniędzy i o tém, że one na świecie znaczą wszystko a wszystko, z łatwością torowała sobie drogę do umysłu Pawluka Harbara. Co o przemowie téj myślała Krystyna? Ani razu nie podniosła oczu, ani rąk u piersi złożonych nie rozplotła. Suchy i delikatny profil jęj twarzy nabrał wyrazu głębokiego zamyślenia. Może myślała, że gdyby miała pieniądze, nie była-by przez całe życie złamanym kołkiem w płocie, którego nikt nigdy podeprzeć nie chciał; najpewniér zaś myślała o tém, co w téj chwili pochłonoło ją całą, bo gdy Kaprowski przestał mówić, podniosła z wolna powieki i raz jeszcze swoje prawić zaczęła:

— Panie jaśnie wielmożny! zlitujcie się nademną, zróbcie już teraz tak... bez niczego...

Kaprowski uczynił gniewne poruszenie.

— Jeżeli pieniędzy nie masz, nie trzeba było przyłazić tu, aby mię nudzić i czas mi zajmować... Idź sobie! no, ruszaj z Panem Bogiem!

Krystyna zdretniała z trwogi. Można-by mniemać, że gniew *hadwokata* przemienił ją w słup niemy i martwy. Złękła się okropnie. Wypędza ją. Jeżeli wypędzi — to nic nie robi, a jeżeli nic nie robi,

to co będzie z Pilipkiem i z temi pieniędzmi, które już na niego wydała? Ręka jęj okryta skórą ciemną, pomarszczoną i pełną blizn, drżąc podniosła się ku piersi, a palce powykrzywiane z białemi paznogciami, dziwnych guzów pełne, wsunęły się za siermięgę, jakby z zanadru coś wydobyć miały. Jednak z palcami u przedniej klapy siermięgi, znie-ruchomiła znowu. Na myśl jęj przyszedł Antosiek. Bożeż mój, Boże! Toż to jego pieniądze, a on jest dzieckiem jęj tak samo jak i tamten! Przypomniła sobie szorstki głos jego, twardy giest i srogie spojrzenie, z jakim mówił jęj niegdyś, aby jego pieniędzy nie oddawała, za nic nie oddawała, bo do śmierci jęj tego nie zapomni! A nuż nie zapomni, i serce swoje od niej odwróci? A tamten?

Obejrzała się, i na Harbara zwróciła spojrzenie prawie nieprzytomne. Spojrzeniem tém zdawała się mówić.

— Ty *mużyk*, mądrzejszy ode mnie durnej baby! Jeżeli Boga masz w sercu, ratuj! poradź!

Harbar téż i sam już z radą pośpieszał.

Na palcach, po wyfroterowanej podłodze stąpając, przybliżył się ku Krystynie i z tajemniczą miną łokciem ją w bok parę razy szturchnął. Przytém szeptać jęj coś zaczął prawie do ucha. Szepcąc, wciąż ją łokciem szturchał i zdawał się z niej naśmiewać. Włościanie hryneńscy nie tyle co ona dali i dadzą jeszcze, a cóż? Kiedy trzeba to trzeba! Krystyna

śluchała szeptu dostatniego i roztropnego gospodara, o którym wszechstronnie bardzo wysokie miała wyobrażenie i wahała się jeszcze. Myśl o Antosku, o krzywdzie, jaką by mu wyrządziła i o możliwej stracie jego przywiązania, kłuła ją w serce i powstrzymywała rękę. Nagle podniosła oczy i wzrokiem spotkała się z główką dziecięcą, patrzącą na nią, z wiszącego na ścianie obrazka, oczyma zupełnie podobnemi do kwiatów lnu. O! ten promyk ideału, który załamał się w téj gnijącej wodzie! Przykuł on do siebie oczy téj chłopki niemającej na świecie nic, nic, nic i nikogo, prócz tych dwojga dzieciątek swoich, które w piersi swęj wyhodowała i krwawicą swą wykarmiła sama. Sama. Nikt nie pomagał. W dwóch tych kwiatkach lnu, które patrzyły na nią z obrazka, poznała oczki Pilipka, i taki sam pucaty był on i taki różowieńki, kiedy był jeszcze malutki i dopóki go ta gorączka, na którą pięć miesięcy leżał... Czysty Pilipek... Bożeż mój Boże! Onaż przysła do miasta, aby go zobaczyć... Morze tęsknoty rozplynęło się po jęj piersi. Wszystkie siły namiętności, mieszkające w spracowanym jęj ciele i sponiewieranęj duszy, te siły które ogniem buchały z czarnej źrenicy, a gdy dziewczką była, czarem upojeń związały ją z kochankiem, dreszczami teraz przebiegły po jęj plecach, pierś podniosły wysoko, zadrgały w ramionach, płomieniem rumieńca zapaliły twarz zwiędłą. Z dyszącą piersią i płomiennym na

policzkach rumieńcem, postąpiła ku ścianie i plecami do pokoju zwrócona, wydobywała z zanadru grubą, nicianą pończochę, u końca sznurkiem przewiazaną. Długo ją rozwiązywała, długo jeszcze i pomimo silnego wzruszenia ostrożnie wyjmowała z niej żółtkę papiery, aż znowu twarzą zwróciła się ku pokojowi i stukając grubemi podeszwami trzewików, ku biurku podeszła. Dźwięk wysypywanych na biurko monet, rozległ się po pokoju. Kaprowski patrzył, podrzucał w rękę złoty łańcuch zegarka i śmiał się.

— Ależ pieniądzel! Dwuzłotówki, czterdziestówki, złotówki, dziesiątki, szóstki nawet—wszystkiego pełno!... Cha, cha, cha, cha! Zkąd ty, babo, takich pieniędzy tyle nabrać mogłaś?

Rozsypane na biurko monety, wyraźnie, wyraźnie ziemniakami swemi twarzami mówiły: Za dzień plecia pszenicy, za dwa dni żniwa, za przynoszenie wody koromysłami, za dojenie krów u pachciarza, za rwanie gryki, za zbieranie kartofli... za grabienie siana... Przez lat dziewiętnaście... Przez lat dziewiętnaście, przez lat dziewiętnaście!...

Przedmioty nieżyjące miewają mowę swoją, często bardzo wyraźną. Pieniądze przez Krystynę na biurko wysypane, mówiły, opowiadały: o smutnej doli, o ciężkiej pracy, o wiecznym poście, o karku po dniach całych ku ziemi zginanym, o czole zlewanym strumieniami potu, o stopach bosych, o rękach bliźnami i guzami pokrytych, mówiły i opowiadały mo-

nety srebrne i miedziane i pogniecione papierowe ruble, które po chwili, z głuchym dzwonieniem, zsuwając się na dno szuflady, wydały dźwięk donośny i niesforny, niby ostatni akord wyśpiewanej przez się elegii. Ale Kaprowski, jakkolwiek wiedział o tém, że wyraz *rococo* oznaczał sposób, w jaki wznoszono różne budynki, na poematach rzeczy nieożywionych nie znał się wcale. Przed jego wzrokiem przesunęła się ruda broda, oczekującego na procenty lichwiarza, a w uszach zadźwięczał syreni głosik, na cukierniowej estradzie wyśpiewujący czarowne: *miau! miauu! miauu!* Wargi jego drgnęły uśmiechem wpół ironicznym, wpół zadowolonym, uczuł się znowu za kolana objętym.

— Czegoż chcesz jeszcze? — dość łagodnie zapytał.

— Panie jaśnie wielmożny! to już te rewizory, znaczy, nie nie robią?

— Nic, nic, nie robią, bądź spokojną i wracaj do domu...

— Panie najmiłościwszy! — zawołała — niech panu Pan Bóg Wszechmogący wynagrodzi... już ja więcej dokuczać panu nie będę... pójdę tylko z synkiem zobaczyć się, taj do chaty...

Radość twarz jej rozpromieniła, ale Kaprowski nagle zląkł się czegoś.

— Masz dyable tabakę...

Rzucił się niecierpliwie i ostro rzekł:

— Ani waż się, moja kochana, ani waż się... do syna iść... zobaczyć go teraz nie możesz...

Czy co z twarzy jego wyczytała? czy ten obrazek z dziecięcą główką, na który co chwila podnosiła oczy, po sercu jój grał, ale znowu rzuciła się ku białym, małym rękom, które ją odpychać usiłowały.

— Panie najjaśniejszy! — zawołała — pozwólcie mnie *ditie* moje zobaczyć... pozwólcie mnie jego zobaczyć choć na minutkę, na minuteczkę, choć żeby ja raz na niego spojrzała...

W ruchach jój, w wyrazie oczu, w całej grze rysów był taki gwałt pragnienia i prośby, że Kaprowski zmieszał się trochę.

— Masz dyable tabakę...

— Pozwólcie panoczku, pozwólcie, oj, pozwólcie choć na minuteczkę, żeby ja jego tylko zobaczyła, że on tu jest i *żyw*... oj! pozwólcie.

Teraz już upadła mu do nóg i nie tylko obejmowała, ale i całowała jego kolana, nie płacząc jednak, tylko gorejąc całą tym gwałtem uczuć, który włosy siwiejące nad czołem jój rozrzucił, twarz i oczy rozpłomienił i całą ją przyoblekł tragiczną pięknoscią. Zadarty nos Kaprowskiego stracił coś ze swęj zachwałości; gąbkowate policzki przez parę razy drgnęły. Zrozumiał jednak potrzebę zimnej krwi i stanowczości. Stanowczym tonem rzekł:

— Moja kochana! zobaczyć teraz syna swego nie możesz... uchodzi on za chorego i jest w takim miej-

scu, do którego nikogo a nikogo nie wpuszczają... Jeżeli nie chcesz, aby cały interes dyabli wzięli, wracaj co tchu do chaty, co tchu, zaraz, natychmiast i siedź cicho... ani się tu pokazuj... czy słyszysz?

Jakże-by słyszeć nie miała, kiedy słuchała uszami, oczami, całą duszą. Słuchała i rozumiała. Jeżeli napierać się będzie o zobaczenie Pilipka, interes dyabli wezmą. Powinna być kontenta z tego, że rewizory nie już nie robią i zaraz, co tchu, do chaty powracać. Podniosła oczy na obrazek. Czysty Pilipek, kiedy mały był! Oczy takie same i tak samo śmiał się... Cóż? nie widzieć go, to i nie widzieć, dla jego dobra! dlatego, żeby interesu dyabli nie wzięli! Nizkim pokłonem schyliła się przed Kaprowskim i cicho wyrzekła:

— Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu! Ja już kontenta i do chaty pójde! Żeby tylko te rewizory nie nie zrobili, znaczy, Pilipek na zimowanie do Hrynek przyjdzie. Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu.

Odwrociła się i ciężkim krokiem, grubemi podszwami stukając, wyszła z sali. Do biurka przybliżył się Pawluk Harbar. Dla tego chłopca Kaprowski miał uszanowanie pewne i o interesie, z jakim zwykle do niego przybywał, pamiętał wybornie. Hryńscy chłopci, których Pawluk delegatem bywał, przedstawiali cyfrę wcale inną, niż jakaś tam baba-wyrobnica i zresztą, zapominać o sobie nie pozwalali. Kaprowski wiedział nawet, w której szufladzie biurka spo-

czywały odnoszące się do sprawy ich dokumenty i szufladę tę wnet odsunął, proponując Harbarowi, aby wysłuchał ostatniego podania do sądu, które on w sprawie ich napisał. Podanie to napisaném było istotnie i jak Kaprowski mniemał, znakomicie. Ale Pawluk, nie chciał zrazu słuchać tego arcydzieła.

— Niech wielmożny pan posłucha; — rzekł — *tuju proźbu późniěj przeczytamo*, a teraz ja *na konto tego jenteresu* z Jasiukiem... Ja wiem, że wielmożny pan ten *jenteres* jemu prowadzi... i przyszedłem prosić wielmożnego pana... żeby pan tak poprowadził, żebym ja wygrał... Oł!

Błyszczące oko chłopca, z wyrazem lękliwěj trochę przebiegłości, tkwiło w twarzy *hadwokata*; uśmiechał się i prawą ręką w zanadrze sięgał.

— Wielmożny pan sam mówił, że człowiek bez pieniędzy, to jak złamany kołek w płocie? Na co go podpieierać? Już on czy tak, czy tak krzywy będzie. Jasiuk ten, *kał jeha paralusz kinun, kał jemu kości pakrucila, to taki zeuszycykiem* jak ten kołek... *Zaużydy* u mnie *bolisz hroszy* jak u niego...

Kaprowski na fotelu z wysoką poręczą usiadł i bębniąc po biurku palcami zdobnemi w pierścionki, żartobliwie zapytał.

— No, a wieleż ty tam przyniósł? ha? *pokaży!* może warto będzie ciebie podpieierać, a może nie warto! Zobaczymy!...

Kiedy po kwadransie Habar opuszczał salę, roz-

mijając się w progu z popychanym przez faktora barczystym, wysokim, zwój papierów trzymającym w ręku szlachcicem zagrodowym, Krystyna znajdowała się już za miastem. O parę staj od ostatnich domostw miejskich, aby dostać się na drogę, którą iść miała, przejść jēj trzeba było wązkim szlakiem, na którym leżały rzędy szyn żelaznych. Rogatka strzegąca drogi, którą przebiegały pociągi, zamkniętą była. Za kilka minut przechodzić miał tędy jeden z pociągów. Stróż ujrzawszy kobietę, szybko ku rogatce nadchodzącą, zawołał:

— Nie wolno!

O kilkanaście kroków od spuszczonego drzewca rogatki stanęła. Drobną tą przeciwność nie zrobiła jēj żadnej przykrości. Poczekać, to i poczekać. Na żółtłkłej i wydeptanej trawie stanęła i rozwiązawszy szmatkę płótna, którą w rękę niosła, wyjęła z niěj sporą kromkę czarnego chleba, którą szczyptą soli posypała i jeść zaczęła. Od wczorajszej wieczyry nic w ustach nie miała... Jadła więc i rozglądała się dokoła. Niedaleko od miejsca, na którém stała, wznosiły się mury dworca kolei żelaznej. Było to tak niedaleko, że dobrze rozeznąć mogła czarne kominy prowadzonych w różne strony lokomotyw, buchające z nich kłęby dymu i mnóstwo ludzi stojących i ruszających się na długiěj, wązkiěj, brukowanej platformie. Wrzały tam i rozchodziły się daleko szumy, świsty, gwary, krzyki. Dla wiejskiej kobiety był to

widok tak niezwykły, że zapatrzyła się na niego szeroko otwartymi oczyma. Wyraźnie tu od dworca dochodzące odgłosy odurzały i ogłuszały ją nieco, przez co twarz jęj nabierała wyrazu zaciekawionęj głupowatości, zwiększonęj tém, że patrząc i słuchając, jeść nie przestawała. Owszem zgłodniała będąc, pożerała raczej niż jadła twardą kromkę chleba. W tém, tuż za nią, męzki głos jakiś zapytał stojącego u rogatki stróża.

— Co to znaczy? W téj porze pociągi nigdy nie przechodzą. Jakiż to będzie pociąg?

Stróż odpowiedział jednym tylko wyrazem.

— Żołnierski.

Na dźwięk tego wyrazu, mętne i w mury dworca wlepione oczy Krystyny zamigotały, a ręka jęj, trzymająca połowę jeszcze kromki, od ust usunęła się ku piersi. Obejrzała się na rozmawiających. Pan jakiś w czarnym tużurku, z paltotem zarzuconym na ramię, patrzył na złoty zegarek, a stróż uchylając nieco czapki, w kształcie informacji, dodał jeszcze:

— *Nowobranców* gdzieścis powiozą...

Po ciemnéj, zwiedłéj twarzy kobiety, trzymającéj u piersi czarną kromkę chleba, przebiegły płomienie. W tém, na platformie dworca wybuchnął gwar ogromny i wązki ten brukowany pas ziemi pokrył się gęstém mrowiskiem ludzi. Nad ogromnym gwarem buchającym z tego mrowiska, unosiły się krótkie i donośne słowa wojskowéj komendy. Zarazem komin

lokomotywy, sterczący nad długim szeregiem powozów szumiał, burczał, dyszał i od czasu do czasu, rzucał w górę poszarpane pióropusze czarnego jak sadza dymu. Odległość dzieląca dworzec z rogatką była taką, że najbystrzejsze oko, w wirującym na platformie ludzkim mrowisku, rozpoznać-by nie zdołało twarzy żadnéj. Każdy jednak rozpoznać mógł, że byli tam sami żołnierze i że było ich mnóstwo. Krystyna stała jakby w słup przemieniona. Zapewne pytała sama siebie, czy to te żołdacy, z którymi Pilipek jęj na skraj świata odjechać miał? Myślała téż może, że gdyby nie jęj staranie, on także odjeżdżałby w téj chwili. Nie przypuszczała wcale, aby syn jęj znajdował się w tym tłumie, mającym wnet opuścić ojczyznie niebo. Chleba jednak już nie jadła. Wzruszał ją sam widok odjeżdżających żołnierzy. Nagle czarny komin zapiszczał przeraźliwie, długo; pisk ten powtórzył się jeszcze razy parę i pociąg z pod ścian dworca wysuwać się zaczął, coraz prędzej, coraz prędzej sunąć po żelaznych szynach... pół minuty, a za spuszczonej dziobem rogatki przeleciało wszystko... Długi szereg czarnych, zamkniętych wozów, zmaczona mozaika twarzy, otoczonych krótko przystrzyżonemi włosami, a tłumnie wytłaczających się na zewnątrz przez mnóstwo małych okienek i pieśń żołnierska, którą te wszystkie twarze śpiewały, huczna, hulaszczą, a jednak tu i owdzie przetykana jęklami tony, niby z rozhukanych piersi rwącemi się

krzykami bólu... Zaszumiało, zatentniało, zaśpiewało i — przeleciało. W oddali tylko, na zawrocie szyn, sunął jeszcze olbrzymi wóz czarny i wlokły się w powietrzu rzadniejące szmaty dymu...

Niedojedzona kromka chleba leżała na żółtłej trawie, u wrytych, zda się w ziemię stóp znieruchomiałej kobiety. Twarz jej stanęła w ogniu, a zmarszczki drgały na niej, jak struny gwałtownie targnięte. Ruch powietrza zmaconego przelatującymi wozami, rozwiewał jej nad czołem pasma siwiejących włosów i załamały się opuszczone ręce. Czegoż tak stała płonąc na twarzy, a drżąc w sobie jak listek osiki? Wszak wiedziała dobrze, że pomiędzy odjeżdżającymi Pilipka jej nie było! Nie to! Żelazne jakieś kleszcze ścisnęły jej serce i zdjęła ją taka żalność, że była-by z rykiem płaczu na żółtą ziemię upadła, gdyby stuk otwierającej się rogatki przytomności jej nie powrócił. Na stróża otwierającego rogatkę spójrzała takimi oczyma, jakby budziła się ze snu. Śniło się jej niby, że w jednym z tych czarnych wozów Pilipek na skraj świata odjeżdżał, że nawet w tłumie twarzy wytłaczających się przez okienka, dostrzegła jego twarz bladą, smutną, mizerną. Śniło się jej tak niby, a teraz obudziła się i przypomniała sobie, że Pilipek wyratowany, że go pan *hadwokat* gdzieśś przed re-wizorami schował, że skoro żołdaci już pojechali, a on z nimi nie pojechał, znaczy, już został i wcale nie pojedzie. Na ziemi usiadła, trzewiki z nóg zdjęła,

na plecach je sobie zawiesiła i zerwawszy się, przedkim, rażnym krokiem drogą poszła. Niedojedzona kromka czarnego chleba pozostała za nią na żółtłej trawie. Zapomniała o niej; widok odjeżdżających w daleki świat żołdatów zabił w niej głód.

Dla chłopki, przyzwyczajonej do ustawicznego trzymania się na nogach, trzy mile ująć było drobnostką, spełnioną prędko. Około zachodu słońca Krystyna była już w Wólce. Nastka i Józik powitali ją w czworaku z krzykami radości. Dała im po groszowym obwarzanku, kupionym dla nich w jednej z przydrożnych karczem i wnet krzątać się zaczęła około ognia i wieczery. Ogarnęła ją teraz wielka wesołość. Wszystko, dziękować Bogu, skończone. *Nowobranicy* pojechali, a Pilipek jej został. *Hroszy* wprowadzie nie ma już wcale; pusta pończocha za koszulę wsunięta piecze ją trochę przewidywaniem gniewu i skarg Antośka, ale za to zrobiła swoje. Synka uratowała. Tymczasem nie uczyniła tego sama. *Hadwokat* i Mikołaj dopomogli. Jak będzie miała czas, pójdzie zaraz Mikołajowi podziękować. Teraz, krzątając się około pieca, Jelenie o szczęściu swoim szeroko rozpowiadała. Józik z obwarzankiem wyleciał na dziedziniec, Nastka u pieca siedząc, kartofle obierała, a Jelena skurczona, mizerna, na przypiecku znowu siedziała i powolnym ruchem wychudłej ręki poruszała kołyskę ze śpiącym najmłodszym dzieckiem. Przerwała wkrótce ożywioną mowę Krystyny i prze-

wlekłym od słabości głosem skarżyć się zaczęła, że bardzo niespokojną jest o Jasiuka. Dowiedział się o tém, że *dziadźka* do miasta pojechał i domyślił się, że pojechał tam do *hadwokata*, chcąc go na swoje stronę *przekreć*... Poszedł zrana do karczmy, aby rozpytać się o zamiar Pawluka u chłopów i arendarza, na obiad wrócił troszkę pijany i *dziadźka* kłął, na czém świat stoi. Strach, jak on go teraz znienawidził. Żeby Jelena była wiedziała, że go taka nienawiść do *dziadźka* i ochota do wódki napadnie, nigdyby mu nie doradzała procesu tego rozpoczynać... Ale teraz... to już stało się! Pieniądzy na *jenteres* wydali dużo i choć zapożyczą się, a na swoim postawić muszą i ziemię od Pawluka odebrać! Na bladej jej policzki wybiły się ostre, suchotnicze rumieńce, a mowa stała się śpieszną, świszczącą. Krystyna zapylała ją, gdzie teraz był Jasiuk.

— A w karczmie! Mówił, że będzie póty siedział w karczmie, aż *dziadźkę* wracającego od *hadwokata* dopilnuje...

— A jak dopilnuje, to co?

— Oj, główko moja biedna! — jęknęła Jelena — albo ja wiem, co? Wiadomo pijany i strasznie nienawidzący!

Błękitne oczy szeroko otwierając, szepnęła ci-szej:

— Więcie, Krystyno? żeby on tylko jakiego broń Boże kryminału nie dopuścił się!

I zakaszlała się tak, że aż oddech traciła. Krystyna przysunęła jej do ust garnuszek z wodą.

— Napij się — mówiła — napijże się! a to jeszcze w tym kaszlu zamrzesz!

— Oj, zamrę to ci ja, zamrę prędko... — kaszel swój uspokoiwszy nieco, jęczała kobieta — ale co po mnie z tém mizeractwem stanie się... jeżeli Pawluk na swoją stronę *hadwokata przekreć* i interes wygra... Już my i tak zapożyczyli się...

Wyznała Krystynie, że nietylko posag jej został już na proces z Pawlukiem wydanym, ale jeszcze u ojca jej kilkanaście rubli i u arendarza drugie tyle pożyczyli. Okropny niepokój dręczył ją i o los tych wydanych pieniędzy i o to, aby Jasiuk, pijany i zły, nad *dziadźkiem* swoim nie dopuścił się czego złego. Krystyna uspakajała ją:

— *Hadwokata* dobry człowiek; Pawlukowi nie da się w inną stronę *przekreć*. Kiedy przyrzekł, zna-czy, dotrzyma. Jej przyrzekł i dotrzymał. Co zaś do Jasiuka, to co on złego zrobić może? Pawluk z miasta na piechotę idzie, ale idzie z kumem swoim, z którym spotkał się w mieście... I białe jeszcze dzień przecież, i karczma pełna ludzi, boć to nie-dziela...

Jelena uspokoiła się trochę i kazała Nastce wyjść na dziedziniec, brata do chaty zwołać. Dziewczynka wybiegła i nieprędko, w kwadrans może, wpadła do izby z wielkim impetem i krzykiem. Krzykliwie,

prędko i bardzo niezrozumiale, rozmachując rękami i w szczególny sposób wykrzywiając usta, opowiadała, że coś takiego, takiego dzieje się w karczynie, że aż jeden z parobków, który tam był, po pana namiestnika przyleciał, a pan namiestnik do karczmy poleciał, a *kole* karczmy taki krzyk, że tylko trochę za bramę wyszedłszy, słyszeć go można, a parobki co tam poleciecieli, mówili, że to chłopci okrutnie biją się, czy co? Nagle, umilkła i ciekawością niesiona, na nic i na nikogo uwagi nie zwracając, znowu z izby wypadła. Jelena załamała chude ręce, aż w stawach zatrzęszczały, a potem za głowę się schwyliła.

— Jasiuk! — jęczała — oj, Jasiuk... Jasiuk...

Krystyna ręce jój od głowy odjęła i w czoło ją pocałowała. Żalność ją zdjęła nad tą kobietą łagodną, chorą i o męża strwożoną.

— Zbiegam do karczmy, zobaczę co tam takiego dzieje się i duchem powrócę, żeby tobie oznajmić... No, nie frasuj się tak i nie jęcz, bo znów zamrzesz... Ot, żeby Antosiek *tut* był... a gdzie on?

— Do Leśnej po ordynaryę poszedł! — ledwie oddychać mogąc, odszepnęła Jelena.

Krystyna biegła już do drzwi, gdy otworzyły się one i z worem, zawierającym ośmiń żyta na plecach, wszedł parobczak. Krystyna pomogła mu wór zsunąć na ziemię, a potem za szyję go objęła i w czerstwe, ogorzałe policzki wycierała. On całował ją także.

— A co słyhać, mamó? Pilipek zdrów?

— Zdrów, gołąbku mój, zdrów! — śmiejąc się i białe zęby ukazując, mówiła kobieta. — *Soldaty* już pojechali, a on nie pojechał, gdzieś go pan *hadwo-kał*, daj jemu Boże zdrowie, przed rewizorami schował. Znaczy, został się w Ongrodzie i na zimowanie do Hrynek przyjdzie.

Parobczak ucieszył się tą wiadomością.

— Nu, to i dobrze — rzekł — a ja myślał, że on już pojechał...

— A czemuż ty tak myślał? — zapytała Krystyna.

Antosiek za siermięgę sięgnął.

— A bo ot, pismo jest do was... od niego... Jakób Szyłko dzisiejszj nocy, znaczy, zaraz potém jakęście ztąd poszli, z Ongrodu tędy jechał, do czworaku dostukał się i mnie te pismo oddał. „Do Krystyny, mówi, od Pilipka... onże sam mnie te pisanie oddał, mówi, i powiedział, że pilno!” Ja za nim w dziedziniec, żeby rozpytać się co i jak, a on na wóz siadł, *taj* pojechał... Do chaty, widać, przed świtem powrócić chciał, bo kobyłę wziął od pluga...

Krystyna stała jak skamieniała, list podany jój przez syna w ręku obracając. Biedny to był list, na sinym, zgniecionym, poplamionym papierze napisany i niezapieczętowany wcale. Zamierającym w gardle głosem, bystro synowi w oczy patrząc, Krystyna zapytała:

— To i cóż tu stoi?

Antosiek spuścił powieki i z niechętną miną twarz odwróciwszy, bez żadnej potrzeby nos palcami ucierać zaczął. Potém burkliwie odpowiedział:

— *A niewiedaju co tam stoi! Albo to ja pisane umiem czytać!*

Krystyna zapłonęła gniewem.

— *Było do Mikołaja pójść!* — krzyknęła.

— Albo to ja czas miał! — odrzucił parobek.

Kobieta porwała się z miejsca i syna za siermięgę pociągnęła. Twarz jęj znowu stanęła w ogniu i zmarszczki na twarzy drgały, jak targane struny. Do Mikołaja biegła i syna za sobą wołała. Mikołaj wszystkim prawie okolicznym chłopom czytywał otrzymane przez nich listy. Funkcya ta, co prawda, nie przysparzała mu wiele roboty, niemniej, była jedną z przyczyn, budzących dla niego szacunek i ufność. O kilkadziesiąt kroków od zabudowań folwarcznych, do uszu matki i syna, spiesźnie idących drogą, doleciały od strony karczmy wielkie krzyki i gwary.

— A tamże co takiego? — mruknął Antosiek.

Krystyna nie odpowiedziała. Co ją już teraz bijący się w karczmie chlopi obchodzić mogli? List od Pilipka w ręku trzymała, a nie wiedziała jeszcze, co w nim stoi. Wtém, zbliżając się do chaty Mikołaja, ujrzeni gromadę ludzi, w stronę folwarku zdążającą. Wkrótce rozpoznali kilku parobków folwarcz-

nych, szamoczących się z człowiekiem jakimś, którego przemocą prowadzili i który wydierał się im, wyzykując zmieszane straszliwe przekleństwa. Prodzonym tym człowiekiem był Jasiuk. Wyglądał szalenie. Pijany, bez czapki, z rozczochraną czupryną, twarz miał okrytą sinemi plamami od otrzymanych razów i podartą w kilku miejscach siermięgą. Miotał się, wrzeszczał, kłął okropnie, oczy krwią i łzami pianą mu zachodziły. Ani by w nim poznać można było spokojnego i rozważnego przed miesiącem kilku, zawsze trochę ponurego parobka. Miał też pozór zwierzęcia, którego rozniecona i rozdrażniona namiętność jakaś, we wściekłość wprawiała. Prodzający go parobcy, ze swjej strony krzyczeli także niezgiętem drogi idący namiestnik krzyczał, i spiejąc za tą gromadką dziesiątki bab i dzieci wiejących krzyczały, śmiały się, podskakiwały. Cała ta człowa niesforna i dzika rozbrzmiewała w czystém powietrzu sierpniowego wieczora, leciała daleko na wschód, żółte ścierniska i wysoko, pod blade, różocemi obłokami wysadzone błękity nieba... Antosiek duży z parobków zagabnąwszy, ciekawie rozpytywać zaczął, co to się stało z Jasiukiem i za co go tak, kłanowiąc do folwarku ciągną.

— Na dziadzkę swego po pijanemu napadł i zbił strasznie; po *stanowego* posłali... — odparł parobek.

Antosiek stał z otwartemi ustami.

— Al! — dziwił się — taki porządny człowiek był i nie pijący! No! tak się już jemu Pawlukowej ziem zachciało, czy co?

Z progu Mikołajowej chaty nagłaco wołała g. Krystyna. Jój co było do Jasiuka i jego szaleństwa i jego nieszczęścia? Ona chciała wiedzieć, co w łosci Pilipka stało.

Wchodząc do Mikołajowej chaty, pokłoniła się i wyrzekła:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki *wieków!* — odpowiedziały dwa głosy. Były to głosy Mikołaja i córki jego Ulany.

Ex-soldata ciekawość zobaczenia tego, co się dzieło w karczmie działo, nie wywabiła z chaty. Dowiedziawszy się od kogoś przechodzącego drogą, że biją się tam Jasiuk z Pawlukiem, i nie poszedł. Ulanka bieda chciała: rozkazał jój pozostać. Syn starszy nie wrócił jeszcze od Dzielskich, do których posłał go z interesem. To i dobrze. Ani on, ani nikt z rodziny go nie wda się w tę sprawę pomiędzy stryjem i synowcem. Teraz to już pomiędzy nimi i do kryminału dojść może, tak się obaj na siebie rozjedli. A jemu Mikołajowi, zdala od tych kłótni i bitew! On t *ni przyczem!* Siedział sobie na ławie i trąbę mosiężną czyścił szmatką płótna, umaczaną w mialkiej kredzi. Ta towarzyszka jego włóczegi po świecie błyszczała musiała zawsze, jak złoto. Usłyszawszy prośbę Krystyny o przeczytanie listu, wstał, ze starą, poda-

ł i zatłuszczonej książki do nabożeństwa wyjął ogromne okulary, a umieściwszy je na długim, spiczastym nosie, przy oknie siadł i siny, zgnieciony, podłamiiony papier rozwinął. Ulanka, drewniany stołek fartuchem otarłszy, przysunęła go ku Krystynie i zwyczajem dziewcząt wiejskich, starszą od siebie kobietę tytułem ciotki obdarzając, grzecznie zaprosiła:

— Siadajcie, ciotko.

Potém u pieca na ziemi przysiadła i na jasnoświecącego parobka z ukosa zerkiała. Ale ani Krystyna, ani syn jój na przysadzistą, czerwoną dziewczkę nie zwrócili żadnej uwagi. Oboje utonęli oczyma w twarzy Mikołaja, i ta tylko pomiędzy nimi zachodziła różnica, że parobczak dość żywo zaciekawiony, zupełnie prawie był spokojnym, a kobieta dyszała prędko i ciężko, w źrenicach mając trwożne błyski i namiętne ognie. Mikołaj sztywną i cienką postać w tył nieco podał i kawałek siniego papieru w wyprężonych ramionach zdala od twarzy trzymając, bardzo powoli, z wielką trudnością czytać zaczął:

„Przez Jakóba Szyłkę, tego, co to jego chata przy Hrabarowej stoi, posyłam wam, mameńko, to pisanie, a jeżeli nie przyjdziecie do mnie, jak tylko przeczytacie, to już i nigdy mnie na tym świecie nie zobaczycie. Wczoraj do naszego *komandira* przyszło *predpisanie*, żeby wszyscy *nowobranicy* wyjeżdżali tam, gdzie im przykazano. Oj, dalekoż, dalekoż im być przykazano! Już nas *tut nikoli* ani oko nie zobaczy,

ani ucho nie posłyszysz. Nie wszyscy my odrazu pojedziem. *Rotam* wyjeżdżać *prykazano*, a ta rota, do której ja *czyślę* się, pierwsza wyjeżdża. Jutro ja, mameńko, jutro ja na skraj świata już pojedę...”

Tu w izbie rozległ się i zająkliwe czytanie Mikołaja zagłuszył krzyk straszny. Lecz z czyjś-że wyszedł on piersi? Niktby nie przypuścił, że wydała go Krystyna, tak stała wciąż prosto i sztywnie, jakby w ziemię wrosła, jakby wszystko życie z niej uciekło. Tylko policzki, wprzód czerwone od płomieni rumieńców, stały się bardzo żółte i drgały, drgały tak, że aż zęby uderzać o siebie i dzwonić zaczęły. Ulan-ka nic prawie nie rozumiejąc, o co szło, zerwała się jednak z ziemi i stanęła, plecami do pieca przyparta, a Antosiek zlekka matkę łokciem trącił i szypiącym szeptem wymówił:

— Cicho, mamo, cicho!

Mikołaj czytał dalej:

„Gadają ludzie, żebym ja nie smucił się, bo jada inni na skraj świata i wracają. Ale nie mnie już jeździć i wracać się na tym świecie. W *żywocie* żadnej siły nie czuję i *hrudzi* bolą a bolą. W łazarecie miesiąc przebyłem i lepij mnie *stało*, ale teraz od wielkiego smutku znów gorzej. Jeżeli chcecie mnie, mameńko, jeszcze jeden razik na tym świecie widzieć, przyjdźcie do miasta, jak tylko pismo to przeczytacie. Niech ja jeszcze razik na twoją główkę popatrzę. I przynieście mnie z tych pieniędzy, któreście dla

mnie przeznaczyli, choć pięć rubli na drogę, żebym ja sobie za nich co kupił, kiedy mnie trzeba będzie, żeby *żywot* swój czem posilić, i na tytuń takż, i na uszycie butów z tej skóry, co żołdatom rozdają, a ja sam szyć nie umiem, to jest tu taki wojenny, co szyje buty żołdatom, a jemu trzeba co dać, żeby uszył. To wy mnie, mameńko, pięć rubli przynieście, albo może i dziesięć, z tych, coście dla mnie przeznaczyli. Zlitujcie się i ratujcie. Przyjdźcie na pożegnanie i pieniędzy przynieście. Już ja jutro pojedę, bo ta rota, do której ja *czyślę* się, pierwsza wyjeżdża. A teraz, kłaniajcie się odemnie Antośkowi, i Jasiukowi, i Jasiukowej żonce, i Maksymu, i Maksymowej, i Fiedoru Korbutu, córce Fiedorowej, Ewce, i Mikołaju, i synu Mikołaja Handruka, i córce Mikołajowej, Ulanie, i Pawłuku Harbaru, i żonce Harbarowej, Nastazyi, i Józefu Szyłku, i jego bratu.”

Tu Mikołaj ręce z kawałkiem sinego papieru na kolana opuścił i tak gwałtownie poruszył głową, że aż ogromne szkła okularów zsunęły się na spiczasty koniec nosa. Złął się. W izbie brzmiał krzyk długi, przeraźliwy i niski jój, czarny sufit, zdawał się prześwidrowywać. Zarazem rozległ się stuk padającego na glinianą podłogę ciała. Ze strasznym krzykiem owym Krystyna na glinianą podłogę upadła, a palce jej opłotły głowę i paznogciami wpiły się przez gęste włosy w skórę, okrywającą czaszkę. Nie zemdląła jednak, o, nie! Alboż to takim, jak ona, mdląć i na

kilka choćby minut o nędzach żywota pamięć tracić? I nie płakała także. Ręce od głowy oderwawszy, ramiona na glinianej podłodze rozpostarła i tak całą sobą do niej przyłgnęła, jakby jedyną jej w tej chwili żądzą było wgrzebać się w ziemię i schować się pod nią. Przytém z ust jej wychodził jeden tylko, nieustannie powtarzający się wyraz:

— O, Jezul! Jezul! Jezul! Jezul mój, Jezul!

Jeden ten nieustannie, nieustannie powtarzany wyraz, rozległ się po izbie gamą najrozmaitszych tonów, od przeraźliwego krzyku rozpacz, do skargi tak cichej, jak gdyby wychodziła z konającej piersi. Z tém obejmowaniem ziemi i rzutami ciała, dążącemi jakby do wgrzebania się w ziemię, z tém nieustanném powtarzaniem na różne tony jednego wyrazu, z roztarganemi włosami i suchemi, rozplamionionemi oczyma, miała w tej chwili pozór waryatki. Nie zwaryowała jednak, o, nie! Owszem, wybornie zrozumiała wszystko. Zrozumiała, że nie uratowała synka i że Pilepek pojechał już w te dalekie kraje, o których tyle okropnych rzeczy opowiadał Mikołaj...

— Jezul! Jezul! Jezul mój, Jezul!

Pojechał dziś właśnie, wtedy, kiedy ona w miescie była i nie pozwolili jej pójść do niego i jeszcze razik jeden na niego spojrzeć... Pojechał temi wozami, które tuż, tuż przed nią przeleciały, a ona nie wiedziała, że on tam był, i kiedy twarz jego *mięła* jej w oczach, w wielkiej gromadzie innych twa-

rzy, ona myślała, że tak przywidziało się, przysniło się niby... A on tam był... w tych czarnych wozach...

— Jezul! Jezul! Jezul mój, Jezul!

Napisał do niej: „mameńko! ratujcie! przyjdźcie do mnie na pożegnanie!” a ona nie przyszła... tak, jakby nie lubiła jego i nie żałowała; ani pożegnać się z nim, ani macierzyńską ręką pobłogosławić go nie przyszła... Była o kilka kroków od dziecka swego najmilszego i nie objęła go i nie zobaczyła...

— O, Jezul!

Mikołaj siedział pod oknem, milczał i tylko wąskie usta jego otworzyły się nieco i zaczerwienił się mocniej koniec długiego nosa. Ulanka sama nie wiedząc dlaczego, pod piecem szlochać zaczęła, a Antosiek, nad rozpostartą na ziemi matką stał sztywny, jak drąg, i monotonnym, do płaczu nastrojonym głosem, powtarzał:

— *Hodzi, mamó, hodzi, hodzi, hodzi już, hodzi!*

Ży kręciły się mu w oczach. On także żałował snadź brata, więcej jeszcze matki, i pocieszał ją, jak umiał.

— *Hodzi, mameńko, hodzi, hodzi!*

Ale Krystyna głośniejsze, niż wprzód, straszniej, przeciągliej krzyknęła:

— Jezul!

Zarazem przednia część jej ciała podniosła się z ziemi. W klęczącej postawie ramiona w górę wy-

prężyla i klasnąwszy w dłoń, że aż się po izbie rozległo, ręce załamała. Przypomniała się jój teraz jeszcze jedna rzecz straszna.

— A już wszystkie, wszyściuteńkie *hrosze* im oddała... co ja jemu teraz poszlę, żeby on miał czém *żywot* swój posilić?... zkąd ja jemu pić rubli wezmę... a u mnie już *hroszyka* niéma... ani jednego *hroszyka*... dla niego niéma... O, Jezuz mój! co ja zrobiła! Żebym ja wprzód była pod ziemię poszła... żeby mnie wprzód nogi odjęło, nim ja te *hrosze* oddała.. Oj! Pilipku mój, kwiatku ty mój, słoneczko ty moje bladzińkie, niéma już u mnie nic do posyłania tobie...

Teraz dopiero ryknęła płaczem, i Antosiek rozpłakał się także. Pochylił się ku klęczącej wciąż matce i za ramię targać ją zaczął:

— *Hodi*, mamó — szeptał — *hodi!* nie desperujcie tak! Weźcie już z moich pieniędzy pięć *rublow* i Pilipku poszlijcie! Cóż już robić! Już ja jemu tych pięciu *rublow* nie pożaluję. *Czujecie*, mamó, co ja mówię? *nu, czujecie?*

Słyszała. I czuła, że tu już przyszła na nią rzecz najstraszniejsza. Podniosła na syna utopione we łzach oczy, twarz jój wykrzywiała się spazmami bólesci i trwogi. Splecione ręce nad głową znowu wyciągając, zdławionym głosem wyszeptała:

— Synku! oj! synku! nie *hniwaj* *sia*, ja i te *hrosze*... te, co dla ciebie były... oddała!

Parobczak wyprostował się, oczy mu nagle oschły, a krwiste rumieńce do twarzy buchnęły.

— Kiedy? — krzyknął.

— Dziś *taki*, dziś w mieście, *hadwokatu* oddała...

Nastąpiła chwila głuchego milczenia. Po twarzy parobka przepływały płomienie gniewu, oczy roziskrzać się zaczęły. Od klęczącej wciąż kobiety kilka kroków odstąpił, pięście zacisnął i głosem grubym, takim, jakim nigdy dotąd nie mawiał, wybuchnął:

— No, kiedy tak, to ty suka jesteś, nie matka!... Ja tobie tego nigdy nie daruję!

Na ławie pod ścianą usiadł i łokcie wsparłszy na kolanach, twarz w dłoniach ukrył. Zarazem płakać głośno zaczął, a płacząc, wyrzekał. W wyrzekaniu tém zazdrość serdeczna mieszała się z grubijańskim gniewem. Szlochając, mówił:

— Jemu to wszystko, a mnie to nic... jakby ja nie jój dzieckiem był. Co on lepszego odemnie, żeby jemu wszystko było, a mnie nic... Czy ja tobie kiedy co złego zrobił?... taki sam był ja posłuszny i uważny, jak i on... Oj, żebym wiedział, że mnie Pan Bóg pokarał taką paskudną matką, nie byłbym takim... łajałbym *taj*, tłukłbym, jak inne chłopcy ze swemi matkami robią... łajać ciebie i tłuc, nie słuchać potrzeba... Kiedy ty taka *durna*, *zeuszyćkiem*, *taki* bez rozumu żadnego i taka suka, co jedno dziecko swoje liże, a drugie *kasa*...

Potém odkrył twarz i do Mikołaja zwrócony,

z gwałtownemi gościemi rozpowiadać począł, że jeden z gospodarzy hryneńskich, jedynaczkę córkę mający, chciał go z jego stoma rublami w *prymy* za zięcia wziąć... Dziewka, Maryanna nazywa się, tęga dziewczucha i gospodyni dobra... Za rok jaki, wesele byłoby... W *prymyby* poszedł i swoje gospodarstwo miał... A teraz, bez niczego, kto go w *prymy* weźmie? Jakóba Szyłka wezmą, a jemu: wieczne odpoczywanie!

Rzucił się znów ku matce.

— A prosił ja jój, żeby nie oddawała! Oddała. Szelma ta! Za co mnie ona drogę do szczęścia zagrodziła! Co ja jój złego zrobił? Czém ja gorszy od tamtego! Świnia ona, nie-matka!

I znowu zakrywszy twarz dłońmi, rozplakał się. Wtedy postać kobieca ku ziemi schylona, pokorna, pełznąć zaczęła po glinianej podłodze ku téj ławie, na której siedział rozżalony i rozwścieczony parobczak. Jedna połowa jój serca leciała za tamtym, nieszczęsnym, zgubionym, druga rozesłała się do stóp tego biednego, którego skrzywdziła sama. Gdyby w ten sposób wprzód kiedykolwiek przemówił do niej, byłaby go skarciła ostro, jak to nieraz za przewinienie każde z nimi obu czyniła. Ale teraz, płakała deszczem łez. Przypełzła ku niemu na klęczkach i ramionami objąć go chciała. Ale on, uczuwszy jój dotknięcie, zerwał się z ławy i pięścią w pierś

pchnął ją tak silnie, że aż zatoczyła się i znowu na podłogę upadła. Podniósł więc na nią rękę!

— O, Jezul o, Jezul Jezul!

Nie to. Dźwignęła się z ziemi i cała podała naprzód, z wyciągniętymi rękoma znowu szła ku niemu.

— Nie *hniewaj sia*, synku, oj, nie *hniewaj sia*! ty już teraz u mnie jeden jedyny zostałeś...

— *Poszła! Won!* ty... — krzyknął i tym razem pięścią ją w zgięte plecy uderzył.

— Jezul o, Jezul!

Jednego zabrali i pognali daleko... drugi ją wybił... Kiedy raz wybił, to już i zawsze bić będzie. Stracił dla niej serce i uszanowanie... Jezul!

Mikołaj wtedy z ławki wstał, parobka za rękaw od siermięgi schwycił i zmieszanego nieco tą interwencją za drzwi wypchnął. Potém zwrócił się do Krystyny:

— *Hodzi*, babo, płakać *taj* lamentować... pięć rubli pożyczę ci, abyś Pilipku posłała, jak dowiesz się, gdzie posyłać potrzeba... Na *odrobotek* pożyczę... odrobisz!

Bardzo głośno utarł palcami nos i rękawem koszuła długo wąsy ocierał. Był widać wzruszonym silnie.

Krystyna pochwyciła rękę żołdata i całowała ją namiętnie, długo. Będzie mogła pięć rubli posłać Pilipkowi! co za szczęście! Ale wnet rzuciła się ku drzwiom. Gdzie ten drugi? Czy on już z nią nie po-

godzi się... ten jeden, jedyny, który jój pozostał? Do-
kąd on poszedł? Wybiegła przed chatę i zmartwiałą
żrenicą patrzała, patrzała za Antośkiem, który z twa-
rzą zuchwale podniesioną, gwiżdżąc ze złości, spiesz-
nym krokiem ku karczynie szedł... Do karczmy po-
szedł... a ona, dąmoby już odwoływała go z drogi
i iść mu tam wzbraniała... Nie posłucha i jeszcze
obje...

— O, Jezus!

K O N I E C .



